

Cartland Barbara
Anioł w piekle

OD AUTORKI

Sposób, w jaki opisywano i potępiano Monte Carlo pod koniec dziewiętnastego stulecia, nie jest przesadny. Kler niemal we wszystkich krajach uważał je za piekło na ziemi.

Artykuły prasowe są autentyczne.

Dzisiaj Point de Cabeel znany jest jako Cap Estel. Znajduje się tam najcudowniejszy ze wszystkich hotelików, które kiedykolwiek odwiedziłam. Ogród wygląda dokładnie tak, jak go opisałam, i z tarasu wiesz do niego czterdzieści białych marmurowych stopni.

Użyłam starej nazwy Eza zamiast Eze, a St. Hospice to dzisiejsze Cap Ferrat.

Monte Carlo jest dla mnie wciąż tak piękne, romantyczne i pasjonujące, jak zawsze, odkąd Francis Blanc odkrył je w 1858 roku.

ROZDZIAŁ 1

1898

— Przykro mi, że to się skończyło tak nagle, Ancello — powiedział sir Feliks Johnson cichym głosem, dzięki któremu zdobył sobie sławę lekarza mającego najlepsze w całym Londynie podejście do chorych.

— Lepiej, że tak się stało — odpowiedziała hrabianka Ancella Winn. — Nie chciałabym, żeby papa dalej cierpiał i męczył się jak w ciągu ostatnich lat.

— Był bardzo trudnym pacjentem — zauważył sir Feliks — i mogę cię tylko pochwalić, Ancello, za to, że byłaś najbardziej troskliwą i niezwykłą córką, jaką kiedykolwiek spotkałem w swej długiej karierze.

— Dziękuję, sir Feliksie — odparła Ancella, lekko się uśmiechając. -

— Martwię się, że śmierć ojca była dla ciebie wielkim szokiem — rzekł życzliwie sir Feliks.

— Nie — zaprzeczyła Ancella. — Spodziewałam się tego.

Sir Feliks spojrział na nią ze zdziwieniem.

To prawda, że hrabia Medwinu niedomagał od dawna, ale zazwyczaj tego typu choroby ciągną się w nieskończoność.

Jakby wiedząc, że sir Feliks oczekuje wyjaśnień, Ancella, której policzki lekko się zaróżowiły, powiedziała:

— Czasami wyczuwam... takie rzeczy. Zanim moja matka umarła, wiedziałam, że nie ma... nadziei.

— Chcesz powiedzieć, że jesteś jasnowidzem?

— Chyba można tak to nazwać. Moja niania, która była Szkotką, mawiała w takich wypadkach, że jestem „niespełna rozumu”. Po prostu chodzi o to, że czasami mam głębokie, choć nie dające się wytłumaczyć przeświadczenie, iż sprawy przybiorą taki a nie inny obrót, i zawsze, nawet gdy byłam dzieckiem, okazywało się, że mam rację.

— To bardzo interesujące — stwierdził sir Feliks — ale chciałbym wiedzieć, czy przecucie mówi ci, co teraz powinnaś zrobić?

Ancella bezradnie rozłożyła ręce.

— To zupełnie co innego — oświadczyła — i szczerze mówiąc, nie mam pojęcia.

— Właśnie to mnie martwi — rzekł sir Feliks.

Przez ponad dwadzieścia lat był nie tylko lekarzem, ale także przyjacielem hrabiego Medwinu i szczerze lubił hrabiankę Ancellę Winn, która była jedynym dzieckiem hrabiego.

Patrzył na nią zamyślonym wzrokiem, gdy przecięta pokój i stanęła przy oknie, by spojrzeć na zaniedbany ogród, który w ponurym mroku styczniowego poranka sprawiał wrażenie opuszczonego.

Ancella była niezwykle piękna, a jej bardzo jasna cera stała się niepokojąco blada po nagłej śmierci ojca.

Jest cudowna, pomyślał sir Feliks, i gdy dziewczyna zwróciła ku niemu swe ogromne szare oczy, powiedział:

— Chyba powinnaś się zastanowić nad tym, co masz zamiar zrobić, zanim przyjadą twoi krewni i prawny spadkobierca przejmie posiadłość.

— Przypuszczam, że kuzyn Alfred nie będzie tutaj mieszkał — odrzekła. — Nigdy nie lubił tego domu i nie zamierza wydawać pieniędzy na jego remont lub utrzymywanie ogrodu w należyтым porządku. Jak zapewne panu wiadomo, sir Feliksie, papa, nawet gdyby żył, nie mógłby pozwolić sobie na to, żeby tu dłużej zostać.

— Zdaję sobie z tego sprawę — powiedział sir Feliks — ale i tak nie ulega wątpliwości, że nie mieszkałabyś tu razem ze swoim kuzynem.

— Za żadne skarby — potwierdziła szybko Ancella. — Nigdy nie lubiłam kuzyna Alfreda, papa też czuł do niego zdecydowaną niechęć!

— Często mi o tym mówił — przyznał sir Feliks. — A zatem cóż ci pozostaje?

— Ciotka Emily lub ciotka Edith — odpowiedziała Ancella. — Och, sir Feliksie, nie wiem, czy zdołam to wytrzymać!

Sir Feliks zrozumiał jej obawy. Pamiętał podstarzałe niezamężne damy o srogich twarzach, potępiające niezależność, jaką Ancella cieszyła się po śmierci swojej matki.

Ojciec pozwalał jej robić niemal wszystko, na co tylko miała ochotę, pod warunkiem że prowadziła dom i była obecna zawsze, gdy chciał, żeby słuchała jego narzekań na brak pieniędzy lub ciągłych oracji, które wygłaszał swoim krewnym.

Kiedy zachorował, nie chciał pielęgniarki — choć i tak nie mogłoby sobie na nią pozwolić — i całkowicie

zdał się na opiekę Ancelli, która od świtu do nocy była na każde jego zawołanie.

Prawdę powiedziawszy, także w nocy często ją budził; ale nigdy nie narzekała i sir Feliks czasami się zastanawiał, czy jakaś inna dziewczyna w jej wieku tak sprawnie i chętnie wypełniałaby polecenia ojca.

Teraz, kiedy rozmyślał o krewniaczkach Winnów, doszedł do wniosku, że mogłyby wyłącznie unieszczęśliwić Ancellę.

Wszystkie były bardzo ograniczone, pruderyjne, niemal purytańskie w poglądach i hrabia niewątpliwie miał rację, kiedy odnosił się do nich jak do „gromady obłudnych starych panien śpiewających nabożne pieśni”.

— Gdybym tylko miała jakieś uzdolnienia — powiedziała Ancella, wzdychając cicho. — Jeżdżę konno, szyję, tańczę — kiedy tylko mam okazję. I znam kilka języków. — Zaśmiała się cicho. — Chyba nie będę miała z tego żadnych pieniędzy,

— Mówisz po francusku? — spytał sir Feliks.

— Jak paryżanka — przynajmniej tak zawsze twierdziła ta stara *Mademoiselle*, która mnie uczyła — odpowiedziała z uśmiechem Ancella.

— Nasuwa mi to pewien pomysł — rzekł sir Feliks. — Możesz uznać to za impertynencję lub drwić ze mnie, że zaproponowałem ci coś takiego, ale może to jest rozwiązanie.

Ancella podeszła do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

— Wie pan, sir Feliksie, że wszystko, co pan proponuje, przyjmę jak życzliwą radę prawdziwego przyjaciela. Często się zastanawiałam, co poczęlibyśmy bez pana w ciągu ostatnich miesięcy, kiedy papa był

taki oporny i nie chciał robić tego, o co go proszono. — Westchnęła, ale po chwili zaczęła mówić dalej: — Był pan jedynym człowiekiem, do którego miał zaufanie, często uważałam, że nadużywa pańskiej uprzejmości i przyjaźni, bezustannie prosząc, by go pan odwiedzał, chociaż miał pan tak dużo zajęć w Londynie.

Sir Feliks położył rękę na jej dłoni.

— Moja droga, naprawdę się cieszę, że mogłam to wszystko zrobić.

— I co więcej — dodała cicho Ancella — nigdy nie przysłał pan nam rachunku.

— I nie zamierzam tego zrobić — odparł doktor. — Kiedy byłem młody, twój ojciec zaszczycił mnie przyjaźnią. W tamtym okresie, gdy jako nieznany człowiek borykałem się z przeciwnościami losu, wiele dla mnie znaczyła. Teraz mogłem mu się tylko w nieznaczny sposób odwdziaczyć.

Ancelli po raz pierwszy łzy napłynęły do oczu.

— Dziękuję panu, sir Feliksie — powiedziała. — Zawsze wiedziałam, że mam ogromne szczęście, iż jest pan tutaj i mogę liczyć na pańską pomoc.

— Zatem chcę z tobą porozmawiać jako przyjaciel i lekarz — rzekł sir Feliks. — Usiądź wygodnie, Ancello.

Posłuchała go i usiadła prosto na krześle, z rękami na kolanach jak dziecko, które za chwilę rozpocznie lekcję.

Sir Feliks usiadł naprzeciw niej po drugiej stronie kominka.

W długim surducie i wytwornie zawiązanym krawacie, w który wpięta była ogromna perła, robił tak imponujące wrażenie, jak przysłało na nadwornego lekarza

rodziny królewskiej, rozchwytywanego przez najwyższe sfery biorące przykład z królowej Wiktorii.

Ancella zdawała sobie sprawę, że sir Feliks, opuszczając Londyn natychmiast po otrzymaniu od parobka wiadomości o śmierci hrabiego Medwinu, prawdopodobnie wywołał zamieszanie wśród swych bogatych pacjentów, którzy w tym czasie spodziewali się jego wizyty. Posyłając po niego wiedziała jednak, że jej nie zawiedzie, i rzeczywiście przybył niemal w rekordowym tempie do Medwin Park w pobliżu Windsoru.

— Co chce mi pan zaproponować? — spytała Ancella. — Żebym została sekretarka?

Sir Feliks roześmiał się.

— Moja poczekalnia jest już wystarczająco zatłoczona bez wszystkich *tych jeunesse doree* eleganckiego towarzystwa. Byłoby tam więcej mężczyzn pragnących zasięgnąć twojej porady niż kobiet oczekujących mojej konsultacji, a to miałyby fatalny wpływ na moje samopoczucie.

Ancella parsknęła tłumionym śmiechem, który zakończył się kaszlem. Wyjęła chusteczkę i zakryła nią usta, krztusząc się jeszcze przez chwilę. Sir Feliks przyglądał się jej w milczeniu.

Kiedy mogli kontynuować rozmowę, powiedział:

— Już podczas ostatniej wizyty zwróciłem uwagę na twój kaszel. Jego przyczyną jest przemęczenie i długa, wyczerpująca zima w tym obrzydliwym klimacie.

— Czy sugeruje pan, że powinnam popływać po morzach południowych? — spytała Ancella.

— Nie, proponuję, żebyś pojechała na południe Francji — odrzekł sir Feliks.

Ancella znów się roześmiała.

— Teraz traktuje mnie pan jak jedną ze swoich bogatych i pięknych pacjentek, której zaleca się podróż jachtem po morzu z codzienną porcją ostryg i szampana lub willę w południowej Francji, gdzie nie trzeba nic robić, tylko wachać mimozy i patrzeć, jak rozkwitają tropikalne pnącza.

— Proponuję ci właśnie to drugie — rzekł sir Feliks.
— Z tą tylko różnicą, że miałybyś tam pewne zajęcie.

Ancella spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

— Wczoraj — wyjaśnił — dostałem list od mojego kolegi, który jest najbardziej wziętym lekarzem w Monte Carlo. Zdaje mi relację ze stanu zdrowia pacjenta, którego do niego posłałem, i tak pisze pod koniec listu.

Sir Feliks wyjął z kieszeni surduta złożoną kartkę papieru listowego i głośno przeczytał:

Może przypadkiem słyszał pan o jakiejś pielęgniarce, najlepiej damie, która mogłaby dotrzymać towarzystwa księżnej Feodogrowej Vsevolovski? Jej Wysokość jest silna jak koń, ale chce mieć pielęgniarkę, która chodziłaby za nią krok w krok. Nie mam zbyt wielu wykwalifikowanych dziewcząt i szczerze mówiąc księżna nie potrzebuje żadnej opieki. Udawanie inwalidy należy tu do dobrego tonu. Jeśli znalazłby pan kogoś — pieniądze nie grają roli — wyświadczyłby mi pan, drogi sir Feliksie, nieocenione dobrodziejstwo, gdyż te kobiety swymi bezustannymi i niepotrzebnymi wezwaniami doprowadzają mnie do szaleństwa. Nie mam przez nie chwili wolnego czasu!

Skończywszy czytać, sir Feliks złożył list i powiedział:

— No i cóż ty na to, Ancello?

— Pielęgniarka! Przecież nie mam do tego kwalifikacji.

— Doktor Groves mówi, że niepotrzebne są kwalifikacje i przypuszczam, że chodzi w rzeczywistości o posadę damy do towarzystwa. Gzy byłabyś w stanie zająć się kolejną starszą osobą, tym razem *malade imaginaire*?

— Naprawdę nie wiem — odparła bezradnie Ancella.

— Myślę nie tylko o pieniądzach, które jak pisze doktor Groves, nie grają roli — rzekł sir Feliks — chociaż wiedząc, jak stoją interesy twego ojca, sądzę, że bardzo by ci się przydały. Naprawdę martwię się twoim zdrowiem.

— Moim zdrowiem? — spytała Ancella z przerażeniem w oczach.

— Przez ponad rok żyłaś w ciągłym niepokoju, pod ogromną presją, i musiałaś pracować ciężiej niż wykwalifikowana pielęgniarka — wyjaśnił sir Feliks. — Schudłaś, Ancello, i szczerze mówiąc nie podoba mi się twój kaszel. Ale pewien jestem, że minie po kilku miesiącach pobytu w słonecznym klimacie. — Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: — Poza tym uważam, że mieszkając w bogatym domu, będziesz się odżywiać bardziej racjonalnie, mam bowiem wrażenie, że wszystkie specjały, jakie pojawiały się w tym domu, trafiały od razu na górę do sypialni twego ojca.

— Wie pan dobrze, że nie stać nas było na rozrzutność — powiedziała Ancella.

— To kolejny argument przemawiający za moją propozycją — kontynuował sir Feliks. — Dlaczego nie chcesz się odważyć na poddanie niewielkiej próbie?

W końcu, jeśli sytuacja będzie nie do wytrzymania, zawsze możesz wrócić do domu.

— To prawda — półgłosem przyznała Ancella — ale... Monte Carlo!

— Czy ta nazwa brzmi przerażająco w twoich uszach? — spytał sir Feliks. — Byłem tam w zeszłym roku i świetnie się bawiłem.

— Moje ciotki zawsze opisywały to miejsce jako rodzaj Sodomy i Gomory — odpowiedziała Ancella. — Wie pan, że w młodości papa przepuścił przy stole gry część swojego spadku? Nigdy o tym nie zapomniaty! Przeżywają to tak, jakby się wydarzyło dopiero wczoraj, i bezustannie wygłaszają mi kazania o fatalnych skutkach uprawiania hazardu.

— Nie namawiam cię, byś swe ciężko zarobione pieniądze — a nie mam wątpliwości, że będą ciężko zarobione — wyrzucała w kasynie — zaśmiał się sir Feliks. — Proponuję ci natomiast, żebyś jak najczęściej przebywała na słońcu, jadła za trzy, a kiedy będziesz wyglądała tak jak rok temu, wracaj, a znajdziemy ci odpowiedniego męża!

— Sir Feliksie! — Ancella wiedziała, że drażni się z nią tylko, ale mimo to na jej twarz wypłynęły rumieńce. — Mówi pan tak, jakbym pragnęła wyjść za mąż.

— Do tej pory miałaś nikłe szanse — rzekł oschle sir Feliks. — Powiedz mi, kiedy ostatni raz byłaś na balu, tańczyłaś walca?

— Dobrze pan zna odpowiedź — odrzekła Ancella.

— Tak, i bardzo nad tym boleję — oznajmił. — Jesteś śliczna, Ancello! Zawsze się tobą zachwycąłem, nawet kiedy byłaś małą dziewczynką, jesteś taka podobna do matki.

Ancella głęboko westchnęła.

— Mama naprawdę była piękna. — Milczała przez chwilę, po czym powiedziała: — Może dłużej by żyła, gdyby wyjechała tam, gdzie dużo słońca, zamiast cierpieć przez to obrzydliwe zimno.

— Dlatego nie mogę dopuścić, by historia się powtórzyła — oświadczył sir Feliks. — Ancello, pragnę, abys pozwoliła mi napisać do doktora Grovesa dziś wieczorem, że znalazłem idealną osobę dla księżnej.

— Na pewno jest Rosjanka.

— Na południu Francji aż się roi od Rosjan — rzekł sir Feliks. — Przystojni i pociągający wielcy książęta tracą tysiące funtów na obitych zielonym sukniem stolikach, budują ogromne wille i zabawiają najpiękniejsze i najrozkoszniejsze damy wszelkiej proweniencji.

Oczy mu błyszczały, gdy mówił, ale Ancella zauważyła:

— Będę wyglądała jak szary angielski wróbelek między rajskimi ptakami. — Po czym szybko dodała: — Oczywiście będę tylko oglądała wytworny świat, a nie należała do niego.

— Jestem pewien, że będziesz wyglądała ślicznie we wszystkim, co na siebie włożysz — pocieszył ją sir Feliks.

— Oto odwieczne słowa mężczyzny, który uważa, że dla kobiety strój nie ma żadnego znaczenia — zakpiła Ancella. — Ale przypuszczam, że jako pielęgniarza towarzysząca księżnej będę tak skromnie wyglądała, iż nikt mnie nie zauważy.

Osobiście sir Feliks uważał to za całkiem nieprawdopodobne, ale nic nie powiedział, nie chcąc niepokoić Ancelli.

Wstał oświadczając:

— Muszę teraz wrócić do Londynu. Mam nadzieję, że wysłałaś telegramy do swoich najbliższych krewnych i przynajmniej paru z nich przyjedzie dziś po południu. Pomogą ci przy pogrzebie, ale poleciłem już miejscowemu lekarzowi, żeby załatwił wszystko w zakładzie pogrzebowym i nie niepokoił cię, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

Ancella także wstała.

— Jeszcze raz dziękuję, sir Feliksie — powiedziała. — Bardzo bym chciała, by moi krewni byli tacy jak pan. Jestem wdzięczna za wszystko, co pan uczynił dla papy, a ponieważ kocham pana, zrobię to, co pan proponuje. Przynajmniej będzie to dla mnie jakaś przygoda.

— Jeszcze jaka — zgodził się sir Feliks. — Przyrzekam, że jeśli sytuacja wyda ci się nie do zniesienia, wystarczy, że do mnie zatelegrafujesz, a wyślę pieniądze na bilet powrotny albo sam po ciebie przyjadę. — Uśmiechając się dodał: — Przynajmniej miałbym wspaniały pretekst do odwiedzenia Riwiery, co chętnie bym uczynił.

Trzy tygodnie później ekspresem *Mediterrane* relacji Paryż—Lyon Ancella jechała na Lazurowe Wybrzeże, oddalając się od zimnego śniegu i lodowatego północnego wiatru.

Nawet teraz nie mogła uwierzyć, że wyjechała i nie uległa naciskom ciotek, które próbowały ją zastraszyć i zmusić do pozostania w Anglii.

Oczywiście nie powiedziała im, co zamierza zrobić, gdyż oboje z sir Feliksem uznali, że przysporzyłyby sobie tylko kłopotu.

Udawała, że otrzymała zaproszenie od przyjaciółki z południowej Francji i postanowiła z niego skorzystać.

Krewne wysuwały wszelkie możliwe zarzuty co do jej wyjazdu.

Nie powinna teraz wyjeżdżać, skoro jest w żałobie! To niestosowne, by młoda dziewczyna, która niedawno straciła ojca, tak się włóczyła! To nieprzyzwoite, żeby sama podróżowała! I najważniejsze — nie jest na tyle dorosła, by mogła obyć się bez ciągłego towarzystwa kogoś takiego jak one!

Tego zarzutu Ancella chciała przede wszystkim uniknąć, i to jeszcze bardziej umocniło w niej chęć ucieczki.

Razem z sir Feliksem zdecydowali, że nie będzie używała prawdziwego nazwiska.

Mimo wszystko Winnowie byli dużą rodziną i choć hrabia Medwinu niemal zawsze, odkąd Ancella dorosła, był zbyt chory, żeby podróżować, wciąż mógł znaleźć się jakiś daleki kuzyn lub przyjaciel, który rozpoznałby nazwisko Ancelli Winn.

— Będę się nazywała Winton — oznajmiła sir Feliksowi. — Nie ma sensu wymyślać zupełnie innego nazwiska, gdyż nigdy nie będę pamiętała, by na nie reagować.

Zgodnie z tym co ustalili, sir Feliks napisał doktorowi Grovesowi, że panna Ancella Winton zgodziła się objąć posadę u księżnej Feodogrowej Vsevolovskij i siódmego lutego przybędzie na stację w Beaulieu.

Ancella musiała powiedzieć ciotkom, że jej koleżanka mieszka w pobliżu Beaulieu i to wywołało kolejną awanturę.

— Beaulieu leży w pobliżu Monte Carlo! — wykrzyknęła ciotka Emily. — Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że nawet nie przyjdzie ci do głowy myśl, by przestąpić próg tego gniazda niegodziwości!

— Nie mogę uwierzyć, że to aż tak złe — odpowiedziała Ancella, przypominając sobie, co sir Feliks mówił na ten temat.

— Drogi biskup — rzekła ciotka Emily — napisał parę listów do *Timesa*, protestując przeciwko niegodziwości hazardu i nieszczęściu, jakie przynosi tym, którzy dopuszczają się takiego zła.

— Ludzie nie muszą uprawiać hazardu — stwierdziła hrabianka.

Zanim jednak Ancella opuściła Medwin Park, nadzedł album z wycinkami, po który ciotka poszła do domu, by poprzeć swe argumenty.

Przez lata zbierała zasuszone kwiaty, karneciki balowe, kartki z życzeniami świątecznymi, szkice, fotografie, aż w końcu wkleiła je wszystkie do albumu, który opatrzyła tytułem: „Pamiętki mojego życia”.

Przewróciwszy kilka stron, znalazła list, napisany parę lat wcześniej przez mężczyznę, który nazywał się John Addington Symonds i jako jeden z pierwszych Anglików odwiedził Monako.

List ten ukazał się w gazecie, z której wycięła go ciotka Emily. Oto jego fragment:

Jest tu olbrzymi dom grzechu błyszczący nocą od lamp gazowych, migoczący i jaśniejący nad wybrzeżem jak piekło lub siedziba jakiejś romantycznej wiedźmy... Na jej wspaniałym dworze w sali z zielonymi stolikami trwa niekończący się festiwal grzechu... Wspaniale ko-

biety o zuchwałych oczach, złotych włosach oraz szyjach jak marmurowe kolumny śmieją się, śpiewają, kuszą... Wewnątrz jaskini hazardu gra toczy się jak dobrze prosperujący interes. Ruletka oraz czerwone i czarne stoły są obiegane. Słyszać jedynie monotonne głosy krupierów, brzęk złota przesuwanego drewnianymi łopatkami i klekot kulki wirującej po ruletce... Krupierzy są albo grubymi zmysłowymi kormoranami, albo sępami o zapadniętych policzkach, albo podejrzliwymi lisami. Na twarzach tych mężczyzn, którzy trzymają bank, podłe, zmysłowe i nieograniczone skąpstwo podkreśla liczne ślady rozpustnej młodości spędzonej w ohydnych zawodzie.

Ciotka przeczytawszy głośno tekst niskim, przerażonym głosem, podniosła oczy i zdejmując binokle spytała:

— Rozumiesz? Właśnie tego musisz unikać!

Ancella z trudem powstrzymała się od śmiechu.

— Ciociu Emily, chyba zapomniałaś, że nie mam pieniędzy. Jak wiesz, papa nie zostawił mi ani grosza. Mam tylko sto funtów rocznie, które zapisała mi babka, i zapewniam cię, że to co zostanie z tej sumy, nie wystarczy na uprawianie hazardu.

— Nie wolno ci przekraczać progu tego rozpustnego miejsca. Rozumiesz, Ancello?

— Tak, ciociu Emily.

— Jeśli ktoś cię tam zaprosi, masz odmówić. Gdyby drogi biskup się dowiedział, że moją siostrzenicę widziano w Monte Carlo, chyba umarłabym ze wstydu!

— Postaram się nie zmuszać cię do tego, ciociu Emily.

— Mam nadzieję — odpowiedziała ciotka.

Ancella wiedziała, że list, który ciotka Emily właśnie przeczytała, został napisany wiele lat temu.

Ale przypomniała sobie, że całkiem niedawno w *Timesie* również opublikowano listy atakujące Monte Carlo.

Jednym z jej obowiązków było czytanie ojcu z gazet wszystkiego, co mogło go zainteresować, i teraz odtworzyła sobie list z *Pall Mall Gazette*, w którym lekarz mieszkający w Menton pisał:

Kilkakrotnie z głębokim bólem patrzyłem, jak spuszcza się do grobów pacjentów, którzy żyliby, gdyby ich nie zwabiła najzgubniejsza ze wszystkich podniet — hazard... Usunięcie tego potwornego zła z pięknego wybrzeża Riwiery z pewnością przyniosłoby korzyść naszym współobywatelom i przybliżyło chwilę, gdy na ziemi zapanuje Królestwo Niebieskie.

— Wierutne brednie! — krzyknął hrabia Medwinu, kiedy skończyła czytać.

W kolejnym liście, który Ancella przeczytała na głos, pytano:

A co z samobójstwami w Monako — zgony zarejestrowano jako nieszczęśliwe wypadki, choć bliższe prawdy było to, że nieszczęśnicy zostali „zamordowani przez Monte Carlo”?

— Gruba przesada — mruknął hrabia.

— Ale papo — powiedziała Ancella — we wczorajszym *Timesie* przeczytałam, że we francuskim parla-

mencie złożono petycję podpisaną przez cztery tysiące mieszkańców i gości Riwiery. Twierdzą, że Monako stało się Jaskinią zepsucia" i błagają francuski rząd, by zamknął kasyno.

— Przekłęci ludzie, muszą innym zepsuć zabawę! — wykrzyknął gwałtownie hrabia. — Do diabła, nie wiem, dlaczego nie potrafią żyć i dać żyć innym! Ludzie i tak muszą wydać pieniądze, jeśli nie w ten, to w inny sposób!

Porzucił ten temat, lecz Ancella nie była w stanie poskromić swej ciekawości i zastanawiała się, czy Monte Carlo rzeczywiście jest tak złe, jak wszyscy je opisywali.

The Daily News utrzymywało, że królowa Wiktorja, król Włoch i niemiecka rodzina królewska pragnęli położyć kres „fatalnym następstwom piekła takiego jak Monako”.

Ale hrabia nie chciał słuchać.

Może teraz będę miała okazję sama się o tym przekonać, pomyślała Ancella, kiedy pociąg pędził nocą, wioząc ją w kierunku tego, co na swój użytek określiła dziwacznie jako „piękne i złe”.

Była pewna, że tylko dzięki temu, co sir Feliks napisał do doktora Grovesa, podróżuje pierwszą, a nie jak się spodziewała, drugą klasą. Dlatego miała przedział sypialny; była urzeczona niewielkim łóżkiem, które służący sprawnie posłał, komfortowymi warunkami do mycia i faktem, że jechała sama.

Wiedziała, że damy z towarzystwa biorą ze sobą w podróż jedwabne lub płócienne prześcieradła, poduszki wykończone koronką, dywanik i wszelkie inne dodatki, zapewniające większy komfort.

Pamiętała, jak matka opowiadała jej, w jaki sposób podróżowali z ojcem po Europie.

Zazwyczaj zabierali ze sobą służącą i lokaja, którzy zajmowali się bagażami i przygotowaniem przedziałów sypialnych oraz dbali o to, żeby w pociągu, na statku czy w hotelu wszystko było zorganizowane zgodnie z ich życzeniem.

Ancella nie narzekała, choć nie podróżowała w tak wielkim stylu. Jej wątpliwości zostały ostatecznie rozwiązane, kiedy doktor Groves odpisał, że jest zachwycony propozycją sir Feliksa przysłania mu „panny Ancelli Winton” i donosił, iż przekonał księżną, by płaciła jej we frankach równowartość stu pięćdziesięciu funtów rocznie.

— To majątek! — wykrzyknęła Ancella, kiedy sir Feliks powiedział jej o tym.

— Przekonasz się, że w najbogatszym miejscu rozrywek w Europie nie wystarczy ci na długo — oznajmił. — Ancello, bądź zatem rozsądna i pamiętaj, żebyś nigdy nie wydawała własnych pieniędzy, ale zawsze oczekiwała, że ktoś za ciebie zapłaci.

— Mam nadzieję, że będę się zachowywała jak dobrze wyszkolona długoletnia służąca — roześmiała się Ancella.

— Pamiętaj, że służący oczekują hojnej zapłaty za swoje usługi i nigdy, w żadnych okolicznościach, nie sięgają do własnych kieszeni.

— Zapamiętam — obiecała Ancella.

Ale uznała, że będzie bogata, i sprawiła sobie parę sukien.

Nie była rozrzutna, ale kupowała tak, jak zawsze robiła to jej matka — ze smakiem i rozeznaniem, dzięki

czemu każdy funt został wydany z największym pożytkiem.

Dyskutowała z sir Feliksem o tym, czy powinna chodzić w żałobie, czy może to być nieprzyjemne dla jej pracodawczyni.

— Znam osobiście Riwierę i uważam, że czarny kolor będzie dla ciebie za ostry i za ponury — powiedział sir Feliks. — Wszędzie jest kolorowo i ty też będziesz chciała tak wyglądać.

Ancella wiedząc, że doktor kieruje się zdrowym rozsądkiem, nabyła białą suknię oraz jasnofiołkoworóżową i zabrała ze sobą tylko jedną czarną wieczorową toaletę, którą kupiła po śmierci matki.

Była to raczej kosztowna suknia, którą rzadko nosiła od tamtej pory i chyba szkoda by było jej nie wykorzystać, choćby podczas obiadu w willi, gdyby przypadkiem została zaproszona przez swoją pracodawczynię.

Naprawdę nie wiedziała, czego może się spodziewać i w tym wypadku sir Feliks nie mógł jej pomóc.

Nie umiała przewidzieć, czy rzeczywiście będzie traktowana jak wykwalifikowana służąca, która ma oddzielnie spożywać posiłki, czy zostanie zaproszona do jadalni. Muszę po prostu cierpliwie czekać, pomyślała sobie, uważając, że nie ma znaczenia, gdzie będzie jadła.

Naprawdę ważne było, że jechała sama i to tam, gdzie jest dużo słońca.

Sir Feliks słusznie zauważył, że jest przepracowana i wycieńczona.

Teraz, kiedy umarł jej ojciec, miała wrażenie, że straciła główny cel w życiu, a zmęczenie i osłabienie,

które postanowiła ukrywać wtedy, kiedy była mu potrzebna, ogarnęło ją obecnie jak przypływ morza.

Rzeczywiście była nadmiernie wyczerpana i pragnęła mieć trochę czasu, by przyjść do siebie, zastanowić się nad przyszłością i spokojnie zaplanować to, co będzie musiała zrobić, kiedy skończy się jej niespodziewana praca.

Odłożę każdego pensa, którego zarobię, postanowiła. Na pewno mi się przyda, kiedy wrócę do Anglii.

Znowu pomyślała o życiu pod jednym dachem z którąś ze swych ciotek i zadrżała.

Przypominałoby to rozmyślne wchodzenie do grobu, stwierdziła, a gdyby raz się w nim znalazła, to nie byłoby już dla mnie ucieczki.

Zasypiała słuchając stukotu kół, wyobrażając sobie, że pociąg jest powozem wywożącym ją z ciemności do światła. Mam szczęście, pomyślała, ogromne szczęście.

Był jeszcze wczesny ranek, kiedy Ancella nagle się przebudziła, słysząc krzyki bagażowych i uświadamiając sobie, że pociąg z Paryża wjechał na pierwszą stację.

— St. Raphael! St. Raphael!

Usłyszała nazwę miejscowości i podniosła zasłonę w oknie.

Na moment oślepiło ją słońce. Potem ujrzała lazurowe morze na tle bladego nieba, wciąż okrytego lekką poranną mgiełką, i pomyślała, że jest w raju.

Za miasteczkiem rozciągały się góry, których stoki u podnóża były gęsto porośnięte lasami.

Ancella wiedziała, że właśnie do tego niewielkiego portu przybił Napoleon, wracając z Egiptu w 1799 roku i piętnaście lat później odpłynął stąd na Elbę, gdzie był więziony.

Jestem w historycznym miejscu, powiedziała do siebie, nie posiadając się z radości.

Machinalnie się ubierała, jednocześnie obserwując nieznaną jej świat, który ukazał się jej oczom. Widziała kwitnące krzewy mimozy. Kwiaty pnące się po ścianach, wypełniające skrzynki w oknach i okrywające dzikie trawy na zboczach gór. Widziała domy o jaskrawoczerwonych dachach i białe wille, które wyglądały jak lukrowane torty. Od czasu do czasu migały w oddali wysokie góry o poszarpanych ostrych szczytach, wciąż pokrytych białym zimowym śniegiem.

Wszystko było tak zachwycające i zapierające dech w piersiach, że zrozumiała, iż nigdy dotąd kolory nie wzbudziły w niej równie silnych emocji.

— To cudowne! Cudowne! — krzyknęła i opuściła okno, żeby poczuć na policzkach łagodne, ciepłe powietrze.

Pociąg jechał wzdłuż wybrzeża, zatrzymując się w znanych miejscowościach.

Cannes, miasto o burzliwej przeszłości, w którym jak słyszała, często zatrzymywał się książę Walii; zniszczone przez Rzymian w odwet za zamordowanie kilku osadników, a także dwukrotnie zburzone przez Saracenów.

Potem pociąg stanął w Antibes i Ancella zobaczyła rozłożone na peronie urny, czary i dzbanki w rozmaitych odcieniach błękitu, dzięki czemu, jak powiedział sir Feliks, odżywała sława romańsko-etruskich wyrobów garncarskich.

Nicea — przypomniała sobie — słynęła z kwiatów i stąd Napoleonowi Bonaparte wysyłano co tydzień do Paryża skrzynki z goździkami, liliami, fiołkami i różami.

W zatoce Villefranche, z dala od wybrzeża, stały zakotwiczone francuskie i brytyjskie okręty wojenne; Ancella usłyszała, jak konduktor krzyknął:

— Następny postój: Beaulieu!

Pospiesznie zebrała swoje rzeczy, a kiedy przejrzała się w lustrze, by sprawdzić, czy wygląda stosownie do roli, jaką ma odegrać, stwierdziła, że jest gotowa do opuszczenia pociągu.

Nie stać jej było na kosztowną suknię podróżną, ale ta, którą miała na sobie — fiołkową jak leśne fiołki — pasowała do jej szczupłej sylwetki i nadawała bardzo elegancki wygląd.

W pudle na kapelusze przywiozła ze sobą kilka nowych słomkowych kapeluszy, które kupiła po umiarkowanej cenie u Petera Robinsona i sama przystroiła.

Ale teraz włożyła odświeżony mały czeppek z fiołkami parmeńskimi, o ton jaśniejszy od fiołkoworóżowej sukni.

Mam nadzieję, że nie wyglądam zbyt elegancko, pomyślała, przyjrząwszy się swemu odbiciu, po czym uśmiechnęła się na myśl o własnej próżności. — O tej porze roku na Riwierę przyjeżdżają najbogatsze kobiety na świecie i w porównaniu z nimi na pewno nie wypadnę korzystnie.

Od czasu kiedy wiedziała, dokąd jeździe, z przyjemnością oglądała stare numery *Illustrated London News* i *Graphic*, których wcześniej ojciec nie pozwalał wyrzucać.

Znalazła zdjęcia wszystkich wybitnych ludzi posiadających wille w południowej Francji; w jednym z czasopism przeczytała, że Hotel de Paris gościł między innymi cesarza i cesarzową Austrii, wdowę po

carze Rosji, króla Szwecji, królową Portugalii i króla Belgii.

Wątpię, żebym obracała się w towarzystwie tak sławnych ludzi, rzekła do siebie z uśmiechem. Ale doszła do wniosku, że chciałyby ich zobaczyć, szczególnie cesarzową Austrii, która uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie.

— Beaulieu! — krzyczeli bagażowi, gdy pociąg wjechał na stację.

Ancella stała w przedziale, wyglądając przez okno, jeden z bagażowych w luźnej bluzie z niebieskiego płótna dał jej znać, że jest wolny.

Kiwnęła głową podnosząc rękę, a numerowy stanął przed jej przedziałem, czekając, aż posługacz opuści okno i poda bagaże należące do Ancelli.

Przed wyjazdem do Francji zadała sobie trud i spytała sir Feliksa, jaki powinna dać napiwek; rozmieniła parę funtów w Calais i teraz dała mężczyźnie nieco więcej, niż oczekiwał, za co ten wynagrodził ją mówiąc: *Merci beaucoup M'mselle!*

Wysiadła z pociągu i w chwili gdy podchodziła do numerowego, zbliżył się do niej z ukłonem mężczyzna w nieskazitelnej liberii.

— *Vous etes M'mselle Winton?* — spytał po francusku.

— *Oui* — odpowiedziała Ancella.

— Zechce pani pójść ze mną, *M'mselle*? Jej Wysokość poleciła mi oczekiwać pani, powóz stoi przed stacją.

— Dziękuję — rzekła Ancella.

Sir Feliks zapewnił ją, iż ktoś po nią wyjdzie, mimo to obawiała się, że nie zostanie uznana za wystarczają-

co ważną osobę, a wiedząc, że willa położona jest dość daleko od dworca, zastanawiała się, czy jeśli wynajmie powóz, to powinna sama zapłacić woźnicy, czy poprosić o to służących.

Teraz problem sam się rozwiązał — przed stacją czekał bardzo wygodny i ku uciechu Ancelli, otwarty powóz. Służący, który po nią wyszedł, pomógł jej wsiąść i ułożywszy mniejsze bagaże na przeciwległym siedzeniu, przywiązał kufer z tyłu. Po czym wspiął się na kozioł i ruszyli.

Ciepłe promienie słoneczne pieściły blade policzki Ancelli.

Teraz, kiedy słońce już wzeszło, morze tak się iskrzyło, że nie była w stanie sobie wyobrazić, iż może istnieć na świecie piękniejsze miejsce.

Na drogach było tłoczno od powozów i rozmaitych wehikułów. Niektóre, bardzo wytworne, zajmowały niezwykle eleganckie damy, które osłaniały się parasolkami, nie chcąc się opalić.

Muły ciągnęły zwykłe wozy i ku radości Ancelli często widać było dwoje białych zwierząt zaprzęgniętych razem.

Beaulieu, osłonięte lasami, obfitowało w drzewa pomarańczowe i cytrynowe, ogrodzone wysokimi żywopłotami z róż oraz wonnego geranium.

Ponad olbrzymimi, różowymi pionowymi urwiskami, których kontury rysujące się na tle nieba obramowane były sosnami, warstwy wapienia układały się na przemian z warstwami czerwonego piaskowca.

Były tam także wspaniałe stare drzewa oliwkowe, niektóre, jak Ancella przeczytała w przewodniku, liczące ponad tysiąc lat.

Po opuszczeniu Beaulieu powóz jechał drogą zwaną Lower Corniche. W niektórych miejscach była wyrębana w skale i kiedy przejeżdżali przez krótki tunel, oczy Ancelli musiały przyzwyczajać się to do częściowej ciemności po olśniewającym słońcu, to znów do jasnego światła.

Obok biegły tory kolejowe i zanim Ancella zdążyła się oddalić, pociąg, którym przybyła z Paryża, minął ich zmierzając, jak się zorientowała, do Monte Carlo, które było końcową stacją.

Wiedziała, że trzydzieści lat temu, w 1868 roku, linię przedłużono, doprowadzając ją do Monte Carlo, co miało piorunujący skutek. Każdego dnia z pociągów wylewały się do kasyna tłumy podróżnych.

Po wyjeździe z Paryża Ancella zauważyła, że większość osób jadących ekspresem jest bardzo elegancka i bogata.

Z pewnością wszyscy zapewnili sobie wygodną podróż. Widziała, jak wnoszono do ich przedziałów lub zostawiano przed drzwiami olbrzymie kosze, słyszała, jak strzelają korki od szampana, a rano zauważyła mnóstwo pustych butelek wystawionych na korytarz po to, by służący je uprzątnęli.

Ależ oburzona byłaby ciotka Emily, pomyślała, lekko się uśmiechając.

Nagle powóz skręcił z głównej drogi i zaczął zjeżdżać bardzo stromym podjazdem, który prowadził w dół obok urwiska.

Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że nie jadą już wzdłuż torów kolejowych, ale są między torami a morzem.

Kiedy spytała sir Feliksa, gdzie mieszka księżna Feodogrova, odparł, że w willi d'Azar, w Point de

Cabeel w pobliżu Ezy, i Ancella poszukała tego miejsca na mapie.

Zobaczyła, że jest to niewielki przylądek między Monte Carlo a Beaulieu.

Był tak mały, że znalazła go dopiero po dłuższym szukaniu na bardzo szczegółowej mapie Francji, którą miał ojciec.

Teraz, gdy powóz skręcił w dół ocienionego podjazdu otoczonego z obu stron murem, spowitym różowym i purpurowym geranium, w dole zobaczyła duży budynek z płaskim dachem odcinającym się od zielonych drzew i błękitnego morza.

Powóz zatrzymał się przed masywnymi drzwiami wejściowymi, które z obu stron były ozdobione doniczkami z koralowymi azaliami.

Hol był przestronny i przewiewny; okazały major-domus uklonił się z szacunkiem, po czym poprosił, by poszła za nim.

Ancella, wchodząc szerokimi schodami na górę, poczuła się nieco przestraszona i zdenerwowana.

Na pierwszym piętrze majordomus skręcił w lewo i zapukał do zamkniętych drzwi.

Otworzyła je siwowłosa służąca o nieprzyjemnym, według Ancelli, wyrazie twarzy.

— *M'mselle* z Anglii — powiedział majordomus.

Służącą spojrzała na nią, po czym ruszyła przed siebie, spodziewając się, że Ancella pójdzie za nią.

Otworzyła kolejne drzwi i przez moment Ancellę oślepiło słońce wlewające się przez okna z dwóch stron pokoju.

Potem zobaczyła, że na olbrzymim okrytym jedwabiem łóżku siedzi starsza kobieta, oparta o stos poduszek.

— Zatem przyjechałaś — powiedziała niezadowolonym głosem po angielsku, lecz z lekkim obcym akcentem. — Najwyższa pora! Już myślałam, że zgubiłaś się po drodze!

Ancella podeszła do łóżka.

Teraz dokładnie zobaczyła siedzącą na nim osobę i ogarnęło ją zdumienie.

Kobieta, podparta z tyłu poduszkami, sprawiała wrażenie bardzo starej. Jej twarz, pokryta głębokimi bruzdami, wyglądała jak stary chiński pergamin. Ale na wystających kościach policzkowych widniały ślady różu, a usta były jaskrawo pomalowane. Niewątpliwie na głowie miała ciemną perukę, z której pobłyskiwało w słońcu kilka diamentowych gwiazdek. Blask potęgowały ognie rzucane przez bransoletki na chudych nadgarstkach i pierścionki na palcach. Szyję owijały sznury wspaniałych pereł, tak wielkich jak ptasie jaja. Ramiona okrywała etola uszyta, jak zdołała się zorientować Ancella, z bezcennych rosyjskich soboli, a na łóżku z boku leżało gronostajowe futro.

Hrabiankę tak zdumiał wygląd księżnej, że przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

Księżna niewątpliwie była stara, ale miała przenikliwe oczy i kiedy Ancella weszła do pokoju, obejrzała ją od stóp do głów, badając wzrokiem każdy szczegół.

— Jesteś zatem Ancella Winton — odezwała się po chwili. — Spodziewałam się, że będziesz starsza.

Ancella poczuła się trochę winna.

Sir Feliks rozmyślnie unikał podania jej wieku, gdyż obawiał się, że doktorowi Grovesowi może wydać się zbyt młoda do objęcia tak odpowiedzialnej funkcji.

— Nie skłamiemy — powiedział Ancelli — ale z własnej woli nie podamy tej informacji. W końcu tylko ja wiem, jakie masz doświadczenie w pielęgnowaniu chorych i jak sprawnie działasz w trudnych warunkach.

— Przykro mi, że Wasza Wysokość jest rozczarowana — rzekła Ancella, odzyskując głos po dłuższej przerwie.

— Tego nie powiedziałam, prawda? — rzuciła oschle księżna. — Lubię młodych ludzi, jeśli znają swoje miejsce i wiedzą, jak się zachowywać.

— Mam nadzieję, że to potrafię — rzekła Ancella.

— Jesteś piękna, zbyt piękna na taką pracę — zauważyła księżna. — Dlaczego nie wyszłaś za mąż?

Ancella miała przemożną chęć się roześmiać.

— Nikt mi się nie oświadczył — powiedziała i zobaczyła, że księżna ściągnęła usta, jakby ją to rozbawiło.

— Musieli cię zatem zamknąć w klasztorze albo wtrącić do więzienia — stwierdziła. — Jadłaś śniadanie?

— Piłam kawę w pociągu — odpowiedziała Ancella.

— Będziesz głodna.

Księżna potrząsnęła złotym dzwoneczkiem, który leżał obok niej na łóżku.

Natychmiast otworzyły się drzwi i pojawiła się służąca.

Weszła tak szybko, że Ancella nie mogła pozbyć się podejrzeń, iż podsłuchiwała.

— Podaj *Mademoiselle* Winton coś do zjedzenia — rozkazała księżna. — Zobaczę się z nią później, jak się rozpakuje i przebierze.

Służąca skinęła głową. Z pewnością nie lubiła dużo mówić.

Ancella dygnęła i wyszła z pokoju ze świadomością, że księżna nie spuszcza z niej oczu.

Służąca poprowadziła ją na drugą stronę willi przez podest wieńczący schody. Minęły wiele pokoi, aż w końcu otworzyły jedne drzwi i Ancella ujrzała niewielki pokój z oknem wychodzącym na drugą stronę cypla.

Natychmiast się zorientowała, że znów widzi Beau-lieu i półwysep St. Hospice, wyłaniający się z morza w Villefranche.

Widok był tak piękny, że z trudem zmusiła się do odwrócenia głowy i spytania służącej:

— Czy mam przyjść do pokoju Jej Wysokości, kiedy się rozpakuję i przebiorę?

Służąca nieco protekcyjnie kiwnęła głową i wyszła z pokoju.

Jest zazdrosna, powiedziała do siebie Ancella. Wiedziała, że wszystkie garderobiane nienawidzą pielęgniarek i innych obcych ludzi, którzy mogliby osłabić ich wpływ na pracodawczynię. Może później mnie polubi, pomyślała i ponieważ była sama, znów skierowała się do okna.

Zdążyła do niego podejść, kiedy rozległo się pukanie i do pokoju weszli dwaj lokaje z jej rzeczami oraz starszy mężczyzna.

Od razu wiedziała, że jest Rosjaninem; był bardzo brzydki, a ogromna, łysa jajowata głowa, wystające kości policzkowe i głęboko osadzone oczy nadawały mu dziwny wygląd.

Zdawało się, że jedynie pilnuje lokajów i wydaje im polecenia, ale przez cały czas przyglądał się Ancelli,

która czuła, że próbuje ją ocenić, lustrując w oburzający i arogancki sposób.

Lokaje odpięli rzemień od kufra i kiedy się wyprostowali, Rosjanin spytał po francusku:

— Czy przyniesiono już wszystko, co panienka ze sobą przywiozła?

Miał chrapliwy głos i kiedy mówił, Ancella czuła, że jest w tym mężczyźnie coś niesympatycznego.

— Dziękuję, wszystko — rzuciła obojętnym tonem.

— Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę zwrócić się do mnie. Nazywam się Boris.

— Dziękuję — odpowiedziała Ancella.

Celowo poszukała jego wzroku, czując, że próbuje ją zastraszyć, ale nie rozumiała przyczyny. Przez chwilę patrzyli na siebie, po czym Boris odwrócił głowę.

Wyprzedził obu lokai przy wyjściu, jeden z nich zamknął drzwi.

Co za straszny człowiek, pomyślała Ancella.

Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że było w nim coś złowieszczonego — coś niebezpiecznego, coś, czego nie potrafiła wytłumaczyć.

ROZDZIAŁ 2

Ancella zmieniła suknię i pomogła francuskiej pokojówce, która przysłała rozpakować rzeczy, ułożyć ubrania w odpowiedni sposób, po czym wróciła korytarzem do pokoju księżnej.

Kiedy dotarła na miejsce i zapukała, drzwi otworzyła jej stara służąca.

Spojrzała na Ancellę tak wrogo, że dziewczyna popieszyła z wyjaśnieniem:

— *Madame la Princesse* prosiła, bym wróciła, kiedy się przebiorę. Przypuszczam, że chce się ze mną zobaczyć.

— Jest zajęta — powiedziała służąca ostro. Odezwwała się po raz pierwszy od przyjazdu Ancelli. Mówiła po francusku z prowincjonalnym akcentem i dziwnym zaśpiewem, hrabianka podejrzewała więc, iż musi służyć u księżnej od dawna i pewnie wiele lat spędziła w Rosji.

Wiedziała, że wśród rosyjskiej arystokracji przyjął się zwyczaj zatrudniania francuskich pokojówek, francuskich guwernantek do dzieci i mówienia po francusku, kiedy się było *en familie*.

W St. Petersburgu rzeczywiście francuski był językiem „eleganckim” i Ancella jadąc do Francji nie obawiała się tego, że nie porozumie się ze swoją pracodawczynią.

Była zupełnie pewna, iż księżna będzie automatycznie rozmawiała po francusku nie tylko z nią, ale również ze swymi krewnymi.

Nie doceniła jednak językowych zdolności Rosjan: teraz mogła przyznać, iż powinna była przewidzieć, że księżna będzie doskonale знаła angielski.

Ojciec mówił jej, że Rosjanie są dobrze wykształceni. — Mogą być nieokrzesani wobec swoich chłopów i warstw uboższych — rzekł kiedyś — ale ci, których stać na naukę, są gruntownie wykształceni i sporo wśród nich mężczyzn i kobiet o ogromnej kulturze.

Ancella nigdy przedtem nie spotkała Rosjan. Teraz im więcej myślała o księżnej, tym bardziej wydawała jej się ekscentryczna.

Nigdy nie przypuszczała, że kobieta może nosić tak dużo wspaniałej biżuterii, a na wilę patrzyła jak na szczyt luksusu. Nawet w sypialni Ancelli meble wyglądały jak muzealne eksponaty, a w pokoju księżnej, w holu i na korytarzu hrabianka zauważyła wspaniałe przykłady stylu Boulle i intarsji, miała też pewność, że obrazy na ścianach są arcydziełami.

Wierzyła, że znajdzie później czas, by je dokładnie obejrzeć.

Teraz zwróciła się do służącej:

— Czy mam pójść do swojego pokoju?

— Nie, proszę poczekać, *M'mselle* — odpowiedziała służąca. — *La gitane* niedługo wyjdzie.

Oczy Ancelli rozszerzyły się ze zdumienia.

La gitane znaczyło Cyganka i dziewczyna doszła do wniosku, że musiała się pomylić.

Jakim cudem księżna mogła być zajęta z Cyganką w swojej sypialni? Wiedziała, że we Francji, podobnie jak w Hiszpanii i wielu innych krajach europejskich, Cyganów uważa się za wyrzutki społeczeństwa.

Stara służąca zauważyła jej zdziwienie.

— Dowiesz się, że najważniejsza jest *la chance* — powiedziała mrukliwie.

— Księżna uprawia hazard? — spytała Ancella.

— Dowiesz się — powtórzyła stara pokojówka.

Ancelli zrobiło się wstyd, że plotkuje ze służącą.

Jednocześnie paliła ją ciekawość.

— Powiesz mi, jak masz na imię? — spytała miłym, delikatnym głosem.

— Maria — odpowiedziała służąca.

Ancella uśmiechnęła się.

— Mam nadzieję, Mario, że mi pomożesz. Nigdy nie byłam zatrudniona w takim charakterze i jestem pewna, że bez twojej pomocy popełnię mnóstwo błędów.

Widać było, jak z twarzy starszej kobiety znika wyraz podejrzliwości i agresji.

— Jesteś zbyt młoda — dorzuciła po chwili milczenia.

— Wiem — zgodziła się Ancella rozbrajająco — ale dorosnę i gdzieś muszę zacząć.

Wydawało jej się, że na twarzy Marii pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech, kiedy mówiła:

— Musisz po prostu robić to, czego żąda Jej Wysockość. To wszystko, czego od ciebie oczekuje.

— Z pewnością będę to robiła — odpowiedziała Ancella. — W końcu za to mi płacą.

Maria zerknęła na drzwi do pokoju księżnej, które wciąż były zamknięte.

Po czym otworzyła inne.

— *M'mselle* może posiedzieć w moim pokoju — powiedziała. — *La Bohemienne* nie zostanie długo. Ucieknij, gdy tylko dostanie pieniądze.

— Czy księżna zawsze się jej radzi? — spytała Ancella.

— Jej i wielu innych szarlatanów — odparła Maria. — Są jak gromada harpii.

Mówiła z takim obrzydzeniem w głosie, że Ancelli chciało się śmiać.

Właśnie gdy miała zadać Marii kolejne pytanie, rozległ się dźwięk złotego dzwoneczka księżnej i starsza kobieta podeszła do drzwi.

Ancella zobaczyła ogorzałą Cygankę z olbrzymimi kolczykami w uszach, w czerwonej chusteczce na głowie, obwieszoną złotymi brzęczącymi łańcuchami, którą skierowano na podest, gdzie czekał Boris, by sprowadzić ją na dół.

Wyglądała na zbyt bogatą i zbyt dobrze ubraną, żeby prowadzić wędrowne życie jak Cyganie, których Ancella widziała w Anglii, kiedy przejeżdżali przez Windsor; wielu z nich udawało się na plantacje chmielu w hrabstwie Kent.

Jako dziecko zachwycała się ich czarnymi oczami i ciemnymi włosami, ich srokatymi końmi i kolorowymi wozami, ale niania zawsze ją ostrzegała przed nimi i straszyła, że ją porwą i zabiorą ze sobą.

Nigdy w to nie wierzyła, gdyż zawsze jej się wydawało, że mają za dużo własnych dzieci, lecz zdawała sobie sprawę, iż są dziwni i obcy.

Wiedziała, że wieśniacy boją się Cyganów i obwiniają ich nie tylko o kradzież drobiu podczas przejazdu przez okolicę, ale przypisują także ich „złemu oku” każdą chorobę, jaka spadała na nich nawet wiele miesięcy po odjeździe taboru.

Ancella zastanawiała się, czy *la gitane* naprawdę może udzielić księżnej skutecznej rady.

Była niemal pewna, że jeśli Jej Wysokość wygra, przypisze to wróżbiarskim zdolnościom Cyganki, a jeśli przegra, usprawiedliwieniem będzie niekorzystny układ planet czy też niesprzyjająca pora dnia.

— Jej Wysokość już oczekuje ciebie, *M'mselle* — oświadczyła Maria i Ancella wstała z krzesła, by przejść do sypialni.

Księżna wciąż była w łóżku, ale teraz na ślicznej i niezwykle kosztownej koronkowej narzucie leżały kartki papieru, wykresy astrologiczne i zniszczona talia kart.

Stara kobieta popatrzyła na Ancellę roziskrzonymi, przebiegłymi oczami.

— Grałaś kiedyś w bakarata albo w ruletkę? — spytała.

— To w Anglii zabronione — odpowiedziała Ancella.

— Wiem — rzuciła oschle księżna. — Ale gra się w nie w domach prywatnych, a także u waszego księcia Walii.

— Tak, to prawda — zgodziła się Ancella. — Zapomniałam.

— Nie sądzę, żeby cię zapraszano na takie przyjęcia — uznała księżna. — Jacy są twoi rodzice? Cieszą się dużym szacunkiem?

— Moi rodzice nie żyją — wyznała Ancella cicho.
— Ale Wasza Wysokość ma rację — byli bardzo szanowani.

— I chyba przewróciliby się w grobach, gdyby się dowiedzieli, że jesteś *une habituee* kasyna w Monte Carlo?

Ancella uśmiechnęła się.

— Moje ciotki z pewnością byłyby zgorzone.

— Dobrze, że się o tym nie dowiedzą — stwierdziła księżna — gdyż właśnie tam będziesz dziś wieczorem!

— Ja?! — krzyknęła zdumiona Ancella.

— Oczekuję, że będziesz mi towarzyszyła — rzekła księżna. — Codziennie wieczorem odwiedzam po kolacji kasyno i gram tam przez dwie, trzy godziny. A ponieważ z fotela na kółkach niewygodnie jest sięgać do stołu, chcę, żebyś obstawiała za mnie.

— Oczywiście, *Ma'am* — zgodziła się Ancella.

Jednocześnie wyobraziła sobie, jak przerażone byłyby jej ciotki, Emily i Edith, gdyby się o tym dowiedziały.

— Ciekawa jestem, czy masz dar przewidywania — powiedziała księżna z zadumą. — Petula, Cyganka, która tu była przepowiedziała, że spotkam kogoś, kto widzi przyszłość. Myślisz, że chodzi o ciebie?

— Nie mam pojęcia, *Ma'am* — odparła Ancella.

— Wydaje mi się, że mówiła o mężczyźnie, ale to możesz być ty — ty!

— W jaki sposób Cyganka przepowiada pani przyszłość? — spytała Ancella.

— Wróży mi z kart i kryształowej kuli — odrzekła księżna. — Ale mam astrologa, przypuszczam, że jest lepszy niż Petula, który cały czas pracuje nad mo-

imi horoskopami i z położenia gwiazd odczytuje mi przyszłość. — Przerwała na moment, po czym rzekła: — Wszystko zależy od losu. Tylko to się liczy, a jeszcze nigdy nie spotkałam nikogo, kto naprawdę potrafiłby dokładnie przewidzieć, jak los oddziałuje na kolejność kart czy zatrzymanie się kuli w ruletce.

Ancella była skłonna z tym się zgodzić, ale w tej chwili myślała tylko o jednym: że ma pójść z księżną do kasyna.

Właśnie tego pragnęła.

Kurczowo czepiała się nadziei, że będąc tak blisko Monte Carlo, uda jej się odwiedzić słynne kasyno, które wywoływało tak liczne kontrowersje i jeśli wierzyć pogłoskom, powodowało, że mężczyźni i kobiety przepuszczali całe majątki.

Trudno było uwierzyć, że mogą być aż tak nierozsądni, i Ancella pomyślała, iż pewnie to tylko chwyt reklamowy.

Kiedy ciotki Emily i Edith pomstowały tak zawzięcie na Monte Carlo, Ancella przeczytała jego historię.

Była zachwycona, dowiedziawszy się, w jaki sposób jałowy płaskowyż, podziobany pieczarami jaskiniowców i rzadko usiany uschniętymi drzewami oliwnymi stał się w ciągu dwudziestu lat najdroższym kawałkiem ziemi w całej Europie.

Monako, zajmujące osiem mil kwadratowych powierzchni, z pewnością przyciągało swym stylem życia uwagę wszystkich cywilizowanych stolic.

Nie było w tym nic dziwnego, pomyślała Ancella, skoro Monte Carlo było jedynym miejscem, w którym bogaci, ważni i znani mogli legalnie i publicznie uprawiać hazard.

Powiedziała sobie, że powinna się bardziej zainteresować starożytną historią księstwa i legendą głoszącą, że założyli je żeglarze, którzy przybyli tu z greckiej kolonii Marseilles i nazwali je Monoiko.

Odwiedzali je także Fenicjanie, którzy wszędzie, gdziekolwiek się znaleźli, sadzili palmy.

Po Rzymianach pozostały ruiny kilku wspaniałych budowli, które Ancella miała nadzieję zobaczyć; dowiedziała się również, że właśnie w Monako Juliusz Cezar zgromadził swoją flotyllę przed bitwą z Pompejuszem Wielkim.

W Anglii to wszystko wydawało się jej tak fascynujące, lecz w głębi duszy pragnęła zobaczyć kasyno, które w 1861 roku zostało otwarte przez Monsieur Francisca Blanca.

Kasyno, początkowo egzystując na granicy opłacalności, stopniowo stawało się coraz bardziej popularne, aż w końcu zaczęło przyciągać najbogatszych, najbardziej znanych ludzi na świecie.

— Chyba masz suknię wieczorową? — spytała ostro księżna, wrywając Ancellę z zamyślenia.

— Tak, oczywiście, *Ma'am*.

— Większość ludzi chce się jak najlepiej prezentować w Monte Carlo — powiedziała Jej Wysokość. Zaśmiała się cicho i dodała: — Z wyjątkiem waszego premiera, markiza Salisbury'ego, który ma w pobliżu wspaniałą willę. Któregoś popołudnia nie wpuszczono go do kasyna, ponieważ wyglądał bardzo podejrzanie.

Ancella roześmiała się.

— Słyszałam, że lord Salisbury jest bardzo roztrągniony i źle ubrany. Ale jest także wspaniałym człowiekiem. Mój ojciec często o nim opowiadał.

— Wszyscy mężczyźni są wspaniali, kiedy posiadają władzę — zauważyła księżna. Przerwała i dodała jakby do siebie: — Władza! Tego właśnie chce mężczyzna, a kobieta zazwyczaj mu to uniemożliwia.

W głosie księżnej zabrzmiała nuta goryczy, co nie uszło uwagi Ancelli.

Jakby podążając za jej tokiem myślenia, starsza dama potrząsnęła dzwoneczkiem. Maria pojawiła się natychmiast.

— Gdzie jest Jego Wysokość? — spytała księżna.

— Już mówiłam, ale Wasza Wysokość musiała zapomnieć — odpowiedziała Maria. — Dzisiaj odbywają się regaty żeglarskie.

— Tak, tak, oczywiście — przyznała księżna, — Czy wszyscy z nim poszli?

— Towarzyszy mu markiza — odparła Maria — i jej wesoły przyjaciel, kapitan Fredrick Sudley. Nie wiem, co robią inni panowie oraz baron Mikhovovitch.

— Wiem, gdzie jest — rzekła księżna. — Zastanawiałam się tylko, co się dzieje z innymi.

— Jego Wysokość powiedział, że wróci dopiero po południu, zatem najlepiej by było, gdyby pani zjadła lunch i odpoczęła. To konieczne, jeśli Wasza Wysokość zamierza długo grać dziś w nocy.

— Skąd wiesz, że mam taki zamiar? — spytała księżna.

— Czy wysłuchawszy tej Cyganki, Wasza Wysokość kiedykolwiek zrobiła coś innego? — pogardliwie spytała Maria. — Ona opowiada pani bzdury — oto, co robi! Moim zdaniem to po prostu łatwy sposób zarobienia ludwika.

— Nie pytałam cię o zdanie — rzuciła księżna nerwowo. — Ale oczywiście jestem głodna, Mario. Powiedz Borisowi, by przyniósł tutaj lunch dla mnie i tacę dla panny Winton. Mam dosyć jedzenia w samotności.

— Powie to pani Jego Wysokości, kiedy wróci do domu?

Mówiła z poufałością starej oddanej służącej i Ancella odniosła wrażenie, że te dwie kobiety lubią się ze sobą sprzeczać.

Jednocześnie zastanawiała się, kim jest książę — mężem czy synem księżnej?

Odpowiedź miała poznać chwilę później.

— Dzieci są zawsze takie same! — krzyknęła księżna. — Urodzeni egoiści! Myślą tylko o sobie! Vladimir doskonale wie, że chcę, aby przychodził tu na posiłki, ale nic sobie z tego nie robi! Jeździ na regaty żeglarskie, wyprawy w góry, wycieczki do Cannes, a o mnie zapomina.

— Może się boi, że dla pani byłoby to zbyt męczące — zasugerowała Ancella — jeśli mówi pani o swoim synu.

— Oczywiście, że o nim mówię — odparła księżna. Po czym łagodniejszym już głosem dodała: — Chłopak ma dobre serce, ale z charakteru przypomina swego ojca, aż za bardzo go przypomina!

Ancella niewiele z tego rozumiała, zatem milczała, a księżna mamrotała coś pod nosem, najpierw o Vladimirze, potem o Serge'u — tak miał na imię jej zmarły mąż, jak później zorientowała się hrabianka.

Rozejrzała się po sypialni, w której znajdowały się rozmaite ozdoby: *objets d'art*, porcelana, hebanowe rzeźby i piękne puzderka Fabergego; ale nie zauważyła nawet jednego zdjęcia czy portretu.

Do dobrego tonu należało ustawianie fotografii na każdym stole, pianinie, biurku oraz przenoszenie ich z domu do domu i zabieranie ze sobą w podróż, tak jak czyniła to królowa Wiktoria.

Ale choć pokój księżnej przypominał komnatę Aladyna, pełną zachwycających skarbów, nie było w nim żadnych zdjęć, które pomogłyby Ancelli się zorientować, jak wyglądał książę Serge w ostatnich latach życia, lub wyobrazić sobie księcia Vladimira.

Po lunchu księżna, jakby chcąc wyrzucić wrażenie na Ancelli, pokazała jej swoją biżuterię.

Ancella nigdy nie przypuszczała, że jakaś kobieta może posiadać takie bogactwo kamieni, jakie ujrzała w ogromnej, obitej skórą kasetce, którą Maria położyła obok łóżka.

Były tam diademy, które wyglądały niemal jak korony, wysadzone szafirami, diamentami, rubinami, turkusami i perłami. Szmaragdy, zdobiące jeden z nich, były tak ogromne, że jak pomyślała Ancella, gdyby nie nosiła ich księżna, wszyscy by podejrzewali, iż są fałszywe.

Do każdego diademu dobrano naszyjnik, broszkę, bransoletkę i pierścionki. Każdy był piękniejszy i bardziej drogocenny niż poprzedni; błyszcząły w słońcu, dopóki Ancella nie poczuła się przez nie oślepiąca.

Były tam także komplety topazów i ametystów oraz naszyjniki z nefrytów tak stare, że zapewne wykonano je w Chinach, kiedy Brytyjczycy malowali się jeszcze urzetem.

Były sznury pereł, takie jak ten, który księżna miała owinięty wokół szyi, wszystkie półprzeźroczyste, promieniujące egzotycznym pięknem Wschodu. Ancella

zaczęła się zastanawiać, jakież niezwykle historie mogłyby opowiedzieć, gdyby umiały mówić.

Wkrótce księżna znudziła się klejnotami i zabrała się do oglądania swych horoskopów i talizmanów, które pokazywała Ancelli z taką samą dumą jak biżuterię.

Wydobywała kolejno koniczynę polną, złotą monetę na szczęście, żab wieloryba, kawałek korala o dziwnym kształcie, skórę jadowitego węża, sporo srebrnych medalionów poświęconych przez papieża i pazur orła.

Zasuszone serce nietoperza wyglądało okropnie, lecz księżna wyjaśniła Ancelli, że kupiła je za horrendalną sumę od krewnych kobiety, która rozbiwszy bank, zmarła na atak serca.

Ancella nie mogła się oprzeć wrażeniu, że serce nietoperza nie przyniosło szczęścia jego poprzedniej właścicielce, ale nie chciała głośno tego powiedzieć.

— Jak myślisz, co to jest? — spytała księżna, wyjmując kawałek sznurka.

— Z pewnością jest to sznurek, *Ma'am* — odpowiedziała Ancella. — Czy ma jakieś szczególne znaczenie?

— Dostałam go od rosyjskiego pułkownika — wyjaśniła księżna. — Jest to kawałek sznura, na którym wieszano ludzi podczas masowych egzekucji w Turkestanie!

— Jakież to okropne! — krzyknęła Ancella, zanim zdołała się opanować.

— Pułkownik powiedział, że przyniesie mi szczęście, ale w to wątpię — rzekła księżna.

— Proszę to wyrzucić! — zawołała Ancella. — Jestem pewna, że przynosi pecha!

— Dlaczego tak myślisz? — spytała księżna.

— Ponieważ nie wierzę, że coś, co przyniosło śmierć jednemu człowiekowi, może przynieść szczęście innemu.

Przez chwilę Ancella myślała, że księżna będzie się na nią złościła za ten stanowczy ton, ale ku jej zdziwieniu powiedziała:

— Pewnie masz rację. Wyrzucę to.

Wyciągnęła rękę do Ancelli spodziewając się, że dziewczyna weźmie od niej sznurek, ale ta czuła, że nie dotknie czegoś tak okropnego. Rozejrzała się natomiast po pokoju i zauważywszy kosz na śmieci, przyniosła go księżnej i poczekała, aż wrzuci sznurek do środka.

— Wydaje mi się, że talizmany, które mają przynosić mi szczęście, nie zrobiły na tobie wrażenia — powiedziała księżna.

— Nie wierzę, żeby mogły w czymś pomóc — odrzekła Ancella.

— W kasynie zobaczysz jeszcze dziwniejsze rzeczy. — Księżna uśmiechnęła się. — Jeden z graczy, znam go dobrze z widzenia, ma pudełko zapalek pomalowane w połowie na czerwono, w połowie na czarno. W środku jest pajak. Kiedy ten pajak próbuje wyjść z pudełka po czerwonej stronie, jego właściciel obstawia czerwone, kiedy przechodzi na czarną połowę, on stawia na czarne!

Ancella roześmiała się. Po prostu nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

— To absurdalne!

— Nikt nie będzie słuchał takiego gadania — oświadczyła księżna. — Wielu graczy wkłada do kieszeni surduta łyżeczkę soli, żeby szła im karta.

— Jak mogą wierzyć w takie bzdury? — dziwiła się Ancella.

Księżna dotknęła serca nietoperza.

— Jeśli ktoś chce wygrać — rzekła — będzie wierzzył we wszystko.

— Jeśli Wasza Wysokość nie odpocznie — dobiegł od drzwi głos Marii — to nie będzie miała okazji udowodnić, że dzisiaj sprzyja jej szczęście!

— No dobrze — westchnęła księżna. — Włóż moje skarby do torby, spróbuję usnąć.

Ancella zerknęła w kierunku okna.

— Czy pozwoli mi pani pójść do ogrodu? — spytała.

— Oczywiście — odpowiedziała księżna. — Teraz masz czas dla siebie. Możesz robić, co chcesz. Będę cię potrzebowała o piątej, żebyś mnie zabawiła, dopóki nie będziemy musiały się przebrać do obiadu.

— Czy będę jadała razem z panią?

— Zjesz obiad na dole i zorientujemy się, co ta kobieta knuje przeciw mojemu synowi — odparła księżna.

Zobaczyła, że jej słowa wywołały zdziwienie na twarzy Ancelli, i spytała:

— Nie słyszałaś o wielkiej angielskiej piękności, markizie Chiswicku?

— Chyba nie.

— Zobaczysz ją dziś wieczorem i później mi powiesz, co o niej myślisz.

— Niech pani się teraz nie martwi markizą — powiedziała Maria. — Z tego co słyszę, jest tu po prostu gościem, takim samym jak inni. Nie musi się pani nią przejmować.

— Znam takie jak ona — oznajmiła półgłosem księżna — i nie zapominaj, Mario, że kiedyś sama byłam piękną.

— Jeszcze jaką, Wasza Wysokość — przyznała Maria ze szczerością w głosie. — W St. Petersburgu żadna kobieta nie dorównywała pani urodą.

Schowała pokazną kasetkę z biżuterią i Ancella, czując, że nie jest już potrzebna, dygnęła i wyszła z pokoju.

Gdy schodziła po schodach, czuła się jak mały chłopiec, którego wypuszczono ze szkoły.

Słuchała księżnej z ogromnym zainteresowaniem, była nią oczarowana. Ale jednocześnie chciała obejrzeć ogród i popatrzeć na morze.

W holu pełniło służbę paru lokai, kłaniali się Ancelli, kiedy ich mijała. Przez wspaniały salon bez trudu trafiła na taras, który widziała z okna sypialni księżnej.

Gdy wyszła na słońce, stwierdziła, że willa została zbudowana w nietypowy sposób. Ponieważ z jednej strony opierała się o zbocze skały, parter był dwa piętra wyżej niż ogród, i z tarasu, na który wychodziło się z salonu, biegło czterdzieści białych marmurowych stopni.

Po obu stronach schodów znajdowały się inne pokoje willi zbudowanej bezpośrednio na skale, ogród zaś obejmował cypel Point de Cabel, otoczony jodłami, drzewami oliwnymi i chleba świętojańskiego o szeroko rozpostartych błyszczących liściach.

Ancella pamiętała, jak ojciec, który świetnie znał się na lasach, opisywał jej te drzewa, a teraz podekscytowana, schodząc po marmurowych schodach, widziała je z bliska.

Przypomniała sobie, jak mówił, że Beaulieu i jego najbliższa okolica słyną z drzew chleba świętojańskiego. — Nazwano je tak od Arabów, którzy sprowadzili je na Riwierę — powiedział. — Oni także nazywali się

Chlebem Świętego Jana, gdyż mieli dostarczać strąki szarańczynu, będące pożywieniem Jana Baptysty na pustyni.

— To pasjonujące, papo — rzekła Ancella, gdy opowiedział jej o tym. — Chciałabym zobaczyć takie drzewo i zjeść jego chleb.

Hrabia roześmiał się.

— Nie smakowałyby ci — stwierdził. — W Afryce Środkowej strąki szarańczynu są pożywieniem koni i mulołów; czasami jedzą je ludzie, ale są twarde jak skóra i mają nieprzyjemny smak.

Przy okazji innej rozmowy o drzewach chleba świętojańskiego powiedział jej, że strączki, które jadły świnię w przypowieści *Syn marnotrawny*, były niewątpliwie strąkami szarańczynu i dlatego stanowiły karę za złe zachowanie syna marnotrawnego.

— Jak myślisz, papo, na co on wydał pieniądze? — spytała. — Sądziś, że przepuścił je przy stole do gry?

Chyba tylko Ancella odważyła się nagabywać hrabiego o wydarzenia z przeszłości, na których punkcie był szczególnie drażliwy, gdyż jego siostry długo dukały mu z tego powodu.

— Przypuszczam, że wydał je na przysłowiowe wino, kobiety i śpiew — odpowiedział. — Ale być może pewną ich część stracił we wschodnim odpowiedniku Monte Carlo.

— Ciekawa jestem, jakie gry uprawiali? — spytała Ancella, lecz tego ojciec jej nie wyjaśnił.

Spacerowała w cieniu drzew, zbliżając się do morza. Z jednej strony małego cypla ogród zamknięty był wysokim kamiennym murem, z drugiej — rozciągał się

wspaniały widok na zatokę Moors, do której przybijali zazwyczaj piraci z wybrzeża algierskiego.

Nad nią wyrastały wysokie skały wznoszące się coraz wyżej ku ostremu szczytowi, który nazywał się Eza, co wiedziała z mapy.

Ogród pełen był kwiatów, wśród których była fontanna. Ancella podeszła do balustrady ciągnącej się nad morzem i odwróciła głowę, by spojrzeć na piętrzące się za nią pionowe skały z żółtego wapienia. Nie widać było słynnej, niegdyś niebezpiecznej, osobliwej Corniche Road, jedynej drogi, jaką podróżni mogli przedostać się z Nicei do Monte Carlo. Groziły im osuwające się skały, wiatry i niskie temperatury, mogące doprowadzić do zamarznięcia w alpejskim śniegu podczas niebezpiecznej wędrówki do Monte Carlo, a także bandyci i rozbójnicy gotowi uwolnić ich od ciężaru wygranej w drodze powrotnej.

Musieli sądzić, że uprawianie hazardu było tego wszystkiego warte, pomyślała Ancella.

Całe wybrzeże wyglądało bardzo pięknie z tropikalnymi krzewami i drzewami porastającymi podnóże skał oraz wąwozy; Ancella widziała łagodną zieleń traw usianą niebieskim ogórecznikiem, żółtymi i czerwonymi żonkilami oraz anemonami.

Ale mam szczęście, powiedziała do siebie, po czym przechyliła się przez balustradę i spojrzawszy w morze o szmaragdowym kolorze, pobłyskującym barwą szafiarów, wsłuchiwała się w pluskające pod nią fale.

Oto przepojone historią Morze Śródziemne, które od początku cywilizacji inspirowało poetów, malarzy i pisarzy.

Ancella nie wiedziała, jak długo tak stała, zasłuchana w szum fal, odurzona unoszącym się w powietrzu

zapachem kwiatów z ogrodu, lewkonii, róż, hiacyntów oraz azalii. Poczwała się tak, jakby dzięki nim i słońcu pozbyła się nie tylko kaszlu, ale także zmartwień i lęku o przyszłość. Miała wrażenie, że to piękno trzyma ją w ramionach i chwilowo nic nie może jej zmartwić.

Nagle jej uwagę przyciągnęła kępka czerwonych wodorostów, którą fale rzuciły na skałę. Ancella chciała jej się przyjrzeć dokładniej i jeszcze bardziej przechyliła się przez balustradę. Zapragnęła zabrać ze sobą leżącą kilka stóp niżej kępkę wodorostów i powiesić ją za oknem swego pokoju, by — sucha lub wilgotna — wskazywała jej, jaka będzie pogoda w ciągu dnia.

Kiedy pochyliła się do przodu, odpięta się jej mała broszka kameliowa zdobiąca kołnierzyk nowej liliowej sukni. Dziewczyna usłyszała, jak broszka zadźwięczała upadając na skały, i zobaczyła ją niedaleko kępki wodorostów, tuż poza zasięgiem fal.

Przez moment uparcie się w nią wpatrywała, po czym rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu ogrodnika lub kogoś, kto pomógłby jej odzyskać klejnot.

Miała bardzo mało biżuterii, a tę broszkę, kiedyś należącą do jej matki, szczególnie lubiła.

Wokół nie było nikogo, w ogrodzie panowała pustka, przeszła więc wzdłuż balustrady, by sprawdzić, czy przypadkiem nie ma gdzieś schodów, którymi mogłaby zejść na skały.

Nigdzie ich nie znalazła, ale zauważyła metalową drabinę prowadzącą po murze obronnym do niewielkiej starej wieżyczki, która kiedyś mogła być wykorzystywana jako wieża strażnicza.

Rozejrzała się dokoła upewniając się, że nikt jej nie widzi, potem podwinęła suknię, przeszła przez balustra-

dę i postawiwszy nogę na szczeblu metalowej drabiny bez trudu zeszła po niej na ziemię.

Gdy dotarła do skał, przekonała się, że zbudowano nad nimi balustradę tak, że mogła iść pod jej osłoną, nie będąc narażona na bryzgi fal, choć skały były nieco śliskie.

Ancella, wychowana na wsi, przywykła do spacerów oraz wspinaczek i choć zdawała sobie sprawę, że jeśli się poślizgnie, wpadnie do morza, powoli, z plecami przyciśniętymi do skały, dotarła do broszki. Wzięła także pęk wodorostów. Jeszcze nigdy nie widziała tak pięknych morskich roślin, do których przyczepione były malusieńkie muszelki, postanowiła więc zanieść je do willi.

Przyglądała się im, ukryta pod balustradą, gdy nagle usłyszała czyjś głosy; natychmiast zastygła w bezruchu.

Czuła, że wyglądałoby dziwnie, gdyby się teraz ktoś pokazała; nawet ogrodnik pomyślałby, że to niezwykłe, aby dama schodziła po drabinie, nieprzyzwoicie odsłaniając kostkę, tak że mógłby ją ktoś zobaczyć!

Przeto z broszką w jednej ręce, wodorostami w drugiej wcisnęła się jeszcze głębiej pod balustradę i zniechęciła.

— Myślałem, że cię tu znajdę — powiedział mężczyzna.

— Miałam nadzieję, że wpadniesz na myśl, żeby za mną pójść, Freddie — odparła kobieta.

Ancella domyśliła się, że Freddie to zapewne kapitan Sudley, o którym Maria mówiła z taką zjadliwością.

— Wiesz, że pragnę porozmawiać z tobą — dodał Freddie. — O Boże, Lily, jak długo będziemy ciągnęli to przedstawienie?

— Przypuszczam, że dopóki Jego Wysokość nie podejmie decyzji.

Ancella pomyślała, że ten nieco afektowany, dramatyczny głos należy do markizy Chiswicku.

— Chyba potrafisz postawić na swoim? — spytał Freddie.

— Zależy, co masz na myśli.

— Dobry Boże! Nie proponujesz...

— Niczego nie proponuję, Freddie — przerwała mu markiza. — Zamierzam poślubić Vladimira i im szybciej to zrozumie, tym lepiej. Ale jeśli to znaczy, że najpierw muszę zostać jego kochanką, nie ma o czym mówić.

— Jak myślisz, co będę czuł w takiej sytuacji?

— Chyba to co zawsze. Muszę mieć bogatego męża i jest mało prawdopodobne, abym znalazła kogoś bogatszego od księcia.

— Niech go diabli wezmą! — krzyknął Freddie. — Dlaczego nie mogę choć raz w życiu rozbić banku?

— Nawet gdybyś rozbił tuzin banków, na długo by ci nie starczyło — odpowiedziała markiza zmęczonym głosem. — Oboje dobrze wiemy, że pieniądze przelatuja ci przez palce niczym piasek, czy jak się to mówi.

— Ciebie też się długo nie trzymają, kochanie — zauważył Freddie.

— Dlatego Vladimir musi tak tańczyć, jak mu zagram, a im szybciej, tym lepiej.

— Nie rozumiem, dlaczego tak zwleka — rzekł Freddie. — W Londynie wydawało się, że jest pełen zapału.

— Chyba dlatego, że jest tu jego matka. Nienawidzę jej i ona mnie nienawidzi! Wiem, że ta groteskowa

kreatura, Boris, wszystko jej powtarza. Dlatego musimy uważać. Kiedy którejś nocy przyłapałam go na podsłuchiwanie pod moimi drzwiami, zrozumiałam, że nie wolno nam ryzykować.

— Tak, masz rację, Lily — zgodził się Freddie.
— Ale jeśli myślisz, że odpowiada mi sytuacja, iż mogę na ciebie patrzeć, a nie wolno mi cię dotknąć, to grubo się mylisz! Oszaleję, jeśli nie spotkam się z tobą sam na sam. — W jego głosie zabrzmiała nuta namiętności, od której wibrowało powietrze. Przerwał, by po chwili dodać: — Pozwól mi przyjść do swego pokoju dziś w nocy. Nikt się o tym nie dowie.

— Oszalałeś — stwierdziła krótko markiza. — To by wszystko zepsuło! Jestem zupełnie pewna, że ten potwór Boris śpi z otwartym okiem i gdyby nas przyłapał i powiedział o tym Władimirowi, nasze plany runęłyby z hukiem, mój drogi Freddie. Wiesz, że mam rację.

— Sądzę, że to księżna jest niebezpieczna — ostrożnie zauważył Freddie. — Przypomina czarownicę! Rzuca czary na każdą kobietę, do której czuje sympatię jej syn. Zatem lepiej bądź ostrożna.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Słyszałaś, co przydarzyło się dziewczynie, z którą był zaręczony?

— Co? — spytała markiza z zaciekawieniem.

— Znalaziono ją utopioną, nie tutaj, lecz w ich willi w pobliżu Monte Carlo.

— Nie wydaje mi się, żeby Władimirowi naprawdę na niej zależało — rzekła markiza. — Na pewno było to jedynie z góry zaplanowane małżeństwo.

— Przypuszczam, że tak — powiedział Freddie.
— W tym samym czasie tancerka, którą utrzymywał,

miała *przykry* wypadek. Jak się nazywała? Olga Ja-
kałam.

— Olga Konveroski — przypomniała markiza.

— Tak, zgadza się. Pamiętam, że kiedyś widziałem ją w tańcu. Naprawdę sprawiała wrażenie, jakby unosiła się na scenie.

— Co się z nią stało?

— Miała wypadek. W St. Petersburgu wypadła przez okno i skręciła sobie kark. Wiele pisano o tym w prasie, gdyż odniosła właśnie ogromny sukces w Paryżu. Na pewno czytałaś jakieś relacje.

— Nie sędzę, żeby mnie to interesowało — odpowiedziała markiza. — Wtedy nie znałam jeszcze Vladimira.

— To już przeszłość — powiedział Freddie. — Założyłbym się o ostatniego pensa, że do tej pory ci się oświadczy.

— Też tak myślałam — zgodziła się markiza. — Och, Freddie, cóż zrobimy, jeśli nam się nie uda?

— Szczerze mówiąc, nie wiem — odpowiedział Freddie. — Sytuacja staje się kłopotliwa. Jeśli wrócę do Anglii, komornicy będą już tam na mnie czekali.

— To mi przypomina — zawołała markiza — że coś mam dla ciebie! Wczoraj wieczorem Vladimir dał mi tysiąc franków, żebym zagrała. Powiedziałam mu, że je zgubiłam, i osiemset mam dla ciebie. Wyjmij je z torebki.

— Dziękuję ci, kochanie. Naprawdę są mi bardzo potrzebne. Nie wydaję ani pensa więcej niż to konieczne, kiedy jestem w towarzystwie księcia, ale czasami nie da się tego uniknąć. Zdarza się, że muszę postawić komuś drinka lub dać napiwek w kasynie.

— Oczywiście, że musisz! Wiem, jakie to przykre dla ciebie, ale wszystko się zmieni, gdy tylko Vladimir poprosi mnie o rękę. Będziesz miał kucyki do gry w polo, przyzwoite mieszkanie, wszystko, co chcesz, jeśli tylko zdobędę jego pieniądze.

— Niech cię Bóg błogosławi! — Głos Freddiego przepełniony był serdecznością, która zniknęła, gdy zaczął mówić dalej: — Czytałem w gazecie, że tej tancerce z baletu podarował szmaragd wielkości znaczka pocztowego. Wydaje mi się, że ciebie chce zbyć tanim kosztem.

— To dlatego, że teraz jestem ni pies, ni wydra! Nie poprosił mnie, abym została jego żoną lub kochanką. Większość mężczyzn, mój drogi Freddie, nawet jeśli są Rosjanami, nie płaci, dopóki kobieta nie wywiąże się z umowy.

— Nienawidzę, kiedy tak mówisz, Lily — powiedział Freddie z wyrzutem. — Kocham cię! Cholernie dobrze wiesz, że cię kocham! Nie mogę znieść myśli, że będziesz należała do innego mężczyzny!

— Nie mamy wyjścia, prawda? Jak długo jesteśmy w sobie zakochani?

— Od chwili gdy po raz pierwszy cię ujrzałem, jeszcze kiedy byłaś żoną tego nudnego starucha o przedpotopowych poglądach — odparł Freddie. — Prawo powinno zabraniać dziewczętom wychodzenia za mąż za starców — mogących być ich dziadkami — tylko dlatego, że mają wysoką pozycję.

— Był markizem — rzekła markiza — i ostatecznie, gdybym mogła mieć dziecko, wszystko wyglądałoby inaczej.

— Wiem! Wiem! — rzucił ze złością Freddie. — Cały majątek został zapisany na pierworodne dziecko,

oprócz tego zadbano w testamencie o interes wszystkich pozostałych dzieci, ale wdowa nie dostała nic. To wszystko było diabelnie niesprawiedliwe!

— Wciąż mam tysiąc funtów rocznie.

Freddie roześmiał się i nie zabrzmiało to przyjemnie.

— Moja droga, ta suma akurat wystarcza ci na drobiazgi i tak czy owak oddałaś ją w zastaw na pięć lat z góry!

— Tak, wiem — bezradnie rzekła markiza — ale bardzo cię kocham, Freddie! Do żadnego mężczyzny nigdy nie czułam tego, co do ciebie! Z natury chyba jestem zimną kobietą!

— Jesteś stworzona dla jednego mężczyzny — ostro powiedział Freddie. — Ale jeśli ten mężczyzna nie ma grosza przy duszy i może się poszczycić tylko mierną karierą wojskową, którą z braku pieniędzy musiał porzucić, niewielkie są szanse, abyśmy razem byli szczęśliwi.

— Ale będziemy — skarciła go łagodnie markiza.
— Gdy tylko bogato wyjdę za mąż.

— Na to właśnie liczę — przyznał Freddie. Zamilkł na chwilę, po czym dodał pokornym głosem: — Pozwól mi przyjść do ciebie dziś w nocy, moja ukochana.

— Nie ryzykujemy. Jutro Vladimir będzie zajęty żeglowaniem czy czymś innym. Możemy wybrać się na przejażdżkę do lasów St. Hospice lub na wzgórze.

— I cóż z tego — spytał zawiedziony Freddie — skoro pojedzie z nami woźnica i niewątpliwie lokaj na koźle?

— Możemy się wybrać we dwoje na spacer; nie ośmiela się pójść za nami.

- Mówisz poważnie?
- Oczywiście! Wiesz, że pragnę być z tobą tak bardzo jak ty ze mną, i Freddie...
- Tak, mój skarbie?
- Jeśli uznam, że **nie** jest to zbyt niebezpieczne, przyjdę do ciebie w nocy, ale będziemy musieli zachować ostrożność, daleko idącą ostrożność.
- Będę na ciebie czekał, wiesz o tym. Gdybyśmy tylko mogli Borisowi wlać do szklanki krople nasenne! Markiza roześmiała się.
- Musisz już wracać. Za długo tu rozmawiamy. Na pewno jesteście obserwowani. Możemy być wdzięczni, że nikt nas nie podsłuchuje.
- Tak, musimy być wdzięczni za każdy uśmiech losu — zauważył oschle Freddie. — Zegnaj, kochanie, i dziękuję ci za pieniądze!
- Jeśli mi się uda, wieczorem dam ci więcej, ale nie będziesz grał, prawda, Freddie?
- Nie mogę sobie pozwolić na takie szaleństwo
- powiedział niemal z wściekłością.
- Ancella usłyszała, jak Freddie odchodzi, ale bała się poruszyć, wiedząc, że markiza, oparta o balustradę, stoi tuż nad nią.
- Tkwiła tak prawie pięć minut, zanim usłyszała odgłos zbliżających się kroków; potem jakiś nowy głos, niski, miły i pełen wdzięku, którego nie wyczuwało się w głosie Freddiego, powiedział:
- Dlaczego tu przyszłaś, Lily? Myślałem, że będziesz chciała się położyć.
- Tu jest tak pięknie — odparła cicho markiza.
- Cudownie się bawię, Vladimirze, i jestem ci ogromnie wdzięczna.

— Chcę, żebyś była szczęśliwa.
— Naprawdę?
— Oczywiście. Kobiety tak piękne jak ty zawsze powinny być szczęśliwe.

— Mówisz to zbyt lekko jak na komplement, którego oczekiwałam.

— Wiesz, że jesteś piękna. Kiedy wchodzisz do kasyna, wszyscy odwracają głowy, żeby spojrzeć na ciebie. Wczoraj w nocy wydawało mi się, że wyglądasz jak jedna z bogiń namalowanych na suficie.

— Drogi Władimirze! Zawsze tak na mnie działasz, że mam ochotę mrużyć jak kot — rzekła marki-za. — Chciałabym ci się zrewanżować komplementem i powiedzieć, że jesteś o niebo przystojniejszy i bardziej atrakcyjny od wszystkich mężczyzn, których spotkałam w życiu.

— Naprawdę tak myślisz?

— Wiesz, że tak!

— Lily...

Książę wymówił jej imię z pewną natarczywością.

— Jego Wysokość wybaczy — przerwał im czyjś gardłowy głos.

— O co chodzi, Borisie? — spytał z pewną irytacją książę.

— Jej Wysokość kazała mi przekazać, że już nie śpi i chciałaby porozmawiać z Waszą Wysokością, zanim zacznie się przebierać do obiadu.

— Powiedz Jej Wysokości, że zaraz u niej będę — rzekł książę.

Służący w odpowiedzi chyba się uklonił, gdyż An-cella usłyszała, jak odchodzi.

— Muszę iść do mamy.

— Chcesz mnie opuścić? Rozmowa zaczęła być interesująca — powiedziała cicho markiza.

— Później ją dokończymy — obiecał książę. — Zostajesz tutaj czy wracasz ze mną? Uważam, że powinnaś odpocząć, abyś dziś olśniła wszystkich swą urodą jeszcze bardziej niż poprzednio.

— W kasynie większość mężczyzn nie oderwałaby oczu od stołu, nawet żeby spojrzeć na Wenus z Milo — roześmiała się markiza.

— Ale na ciebie spojrzę, tak samo jak ja — odpowiedział książę.

Odeszli, gdyż ich głosy zamilkły w oddali. W końcu zaległa cisza.

Ancella uświadomiła sobie, że przez cały czas kiedy stała ukryta pod balustradą, przysłuchując się rozmowie, była napięta. Dopiero teraz się rozluźniła i spróbowała dotrzeć po śliskich skałach do drabiny. Intrygowało ją to, co przed chwilą usłyszała, naprawdę zrobiło na niej silne wrażenie. Kto mógł przypuszczać, pomyślała, że markiza Chiswicku może się tak zachowywać? Było coś bardzo nieprzyjemnego w tym, że próbowała zdobyć księcia, jednocześnie kochając kapitana Sudleya.

Ancella doszła jednak do wniosku, że to śmieszne tak się oburzać. Przecież zawsze uważała, że w ten sposób postępuje się w eleganckim świecie.

Wystarczająco dużo plotek krążyło o „Grupie Marlborough” i romansach jej członków.

Nawet prowadząc z ojcem spokojne życie, wiedziała, że książę Walii zakochał się najpierw w ślicznej pani Langtry, później w lady Brooke, a teraz obdarza uczuciem panią Keppel.

O pięknych kobietach plotkują ci, którzy są zazdrośni, oburzeni lub ciekawscy.

Czasami nawet w gazetach robiono aluzje do romanśów, które były dobrze znane wszystkim londyńczykom, i o których powoli dowiadywano się na wsi; hrabiemu opowiadali o nich goście, gdy chcieli go rozerwać.

Ancella słuchała tych opowieści, choć skandale nie bardzo ją interesowały, gdyż nie znała ludzi, których dotyczyły. Poza tym wydarzenia z życia towarzyskiego wydawały jej się bardzo odległe i nie mające nic wspólnego z nią czy jej życiem.

Ale teraz, po paru godzinach pobytu na południu Francji, nieoczekiwanie natknęła się na towarzyską intrygę, która nie tylko ją zdziwiła, ale i oburzyła.

Jak dama może się w ten sposób zachowywać? spytała się w duchu.

Ogarniało ją także oburzenie na myśl o mężczyźnie, który powinien być dżentelmenem, a brał od kobiety pieniądze, jakie otrzymała od innego mężczyzny.

Ancella weszła po drabinie i przechyliła się przez balustradę, żeby zobaczyć, czy nie ma nikogo w ogrodzie. Potem, mając nadzieję, że z willi nikt jej nie widzi, szybko zeskoczyła na taras. Z czerwonymi wodorostami morskimi i broszką szybko wróciła w cień drzew.

Woda z fontanny mieniła się w purpurowopomarańczowych promieniach słońca i Ancella miała nadzieję, że zanim dojdzie do willi, widok ten przyciągnie uwagę każdego, kto mógłby ją zauważyć.

Nie miała zamiaru wchodzić do domu po białych marmurowych schodach. Dotarła na górę ścieżką, która biegła obok budynku i jak się spodziewała, znalazła otwarte drzwi.

Przeszła różnymi korytarzami, zanim natrafiła na schody prowadzące do tej części domu, w której mieściła się jej sypialnia.

Weszła do swego pokoju i zamknęła drzwi, przekręcając klucz w zamku. Chciała pomyśleć o tym, co się stało, chciała się poczuć bezpiecznie, z dala od prowadzonych tu intryg.

Podeszła do toaletki i otworzyła szufladę, do której włożyła skórzane pudierko na broszkę.

W tym momencie odniosła dziwne wrażenie, że ktoś był w jej pokoju.

Nie miała pewności, ale czuła, że ktoś przeglądał jej osobiste rzeczy i nie ułożył ich dokładnie tak jak ona.

Kto to mógł być? I dlaczego?

ROZDZIAŁ 3

Gdy Ancella przebrała się do obiadu, wydało się jej zupełnie nieprawdopodobne, że wybiera się na wielkie przyjęcie, a potem do kasyna gry w Monte Carlo.

Kiedy umarł ojciec, sądziła, że jej ciche i spokojne życie stanie się jeszcze bardziej monotonne.

Dopóki sir Feliks nie wystąpił ze swą propozycją, jedyne na co mogła liczyć, to wspólne życie z którąś z nieprzyjemnych i pruderyjnych ciotek, uważających, że każda przyjemność jest zła po prostu dlatego, że można się dobrze bawić.

Nawet w najśmielszych marzeniach nigdy sobie nie wyobrażała, że znajdzie się na południu Francji, gdzie wystarczy tylko wyrzeć przez okno, aby podziwiać piękno, doskonale i zapierające dech w piersiach.

Już tylko to mogłoby wystarczyć każdemu, pomyślała.

Ale ona miała w dodatku odwiedzić najbardziej kontrowersyjne i sensacyjne miejsce w Europie, a także zobaczyć, może nawet spotkać, parę wybitnych i znanych w tym czasie osobistości, co było dla niej czymś nieprawdopodobnym.

Od księżnej dowiedziała się, że niemal każdego wieczoru zjeżdżało do niej na obiad mnóstwo przyjaciół mieszkających w hotelach i sąsiednich rezydencjach, mimo że w willi stale gościło wiele osób.

— Ale dzisiaj wieczorem będzie mało gości — powiedziała księżna — ponieważ syn mnie uprzedził, że zaproszono go na obiad do Wielkiego Księcia Rosji Michała, gdzie ma się spotkać z księciem Danii. Nie mógł odrzucić takiego zaproszenia i dlatego muszę się zająć jego gośćmi, a z nim zobaczę się później w kasynie.

— Czy wieczorem wszyscy chodzą do kasyna?
— spytała Ancella.

— Wszystko co zabawne, dzieje się w Monte Carlo — odparła księżna. — Ale jeśli któregoś wieczoru będziemy się mogli oderwać na chwilę od stolików, pójdziemy do teatru.

— W kasynie jest teatr?! — zawołała zdumiona Ancella.

Księżna uśmiechnęła się.

— Został zbudowany przez Charles'a Garniera, który zaprojektował gmach paryskiej opery — odrzekła. — Jest tam, podobnie jak w Paryżu, wiele złoczonych posągów przedstawiających olbrzymów i nagich chłopców oraz figury niewolników trzymających złote kandelabry. — Księżna zaśmiała się cicho i dodała: — Zawsze opowiadają o tym, jak żona Francisca Blanca zobaczywszy je powiedziała zgryźliwym tonem: „Wszystkie te wulgarne i ostentacyjne złocenia będą tylko przypominały gościom, ile złota stracili przy stolikach!”

— Z rozkoszą poszłabym do teatru — przyznała Ancella.

— Będziemy musiały zobaczyć, kto występuje — odparła księżna. — W zeszłym roku byłam na *Fauście*, widziałam też Sarah Bernhardt w jakiejś sztuce, zapomniałam tytułu. — Zachichotała. — Boska Sarah nie miała szczęścia przy stole.

— Czy była wspaniała na scenie? — spytała Ancella.
— Niektórzy tak uważali.

Zakończyła rozmowę, a Ancella pomyślała, że księżna teraz żałuje, iż tak wspaniałomyślnie zaproponowała jej pójście do teatru.

Podczas obiadu hrabianka miała się dowiedzieć, że teatr nie był jedyną niespodzianką, jaka czeka ją w Monte Carlo.

Zanim zeszła do jadalni, długo się zastanawiała, w co powinna się ubrać.

Za radą sir Feliksa kupiła parę sukien: białą i liliową do noszenia w ciągu dnia oraz dwie białe suknie wieczorowe. Nie kosztowały wiele, ale były bardzo twarzowe, choć skromne w porównaniu z modnymi, wymyślnymi kreacjami z tiulu, koronki, satyny i muślinu, zdobionymi krezą i falbanami.

Ancella uznała, że w czarnej sukni będzie wyglądała ponuro, ale kiedy włożyła białą, pomyślała, że w niej za bardzo przypomina debiutantkę.

Przeraziła się, że księżę pomyśli, iż jest za młoda i za mało doświadczona, by opiekować się jego matką.

A jeśli, przeraziła się, będzie nalegał, żeby mnie odprawić i poprosi doktora o znalezienie kogoś starszego?

Popatrzyła na siebie w lustrze i zaczęła się zastanawiać, co zrobić, żeby wyglądać na bardziej odpowiedzialną. Po czym pomyślała z uśmiechem, że przecież nikt nie zwróci na nią uwagi.

Na przyjęciu będzie jedna z najpiękniejszych kobiet w Anglii, kto więc zauważy, a co więcej zaszczyci rozmową pannę Winton, która jest tylko pielęgniarką i damą do towarzystwa Jej Wysokości.

Jednak nie mogła nie zauważyć, że jej szare oczy wydawały się bardzo duże w porównaniu z drobną twarzą, a jasne, „bielsze niż świt” włosy połyskiwały w świetle wpadających przez okno ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Suknia podkreślała szczupłą talię Ancelli, miękki szyfon układał się w fałdy na białych ramionach, a długa szyja pozwalała jej dumnie nosić głowę.

Chcąc ożywić biel sukni, wyjęła z kwiatów ułożonych na stole w sypialni dwa bladoróżowe pączki róż i przypięła je do kokardy na piersiach.

Pomyślała, że dzięki nim sprawia wrażenie mniej *ingenue*, a bardziej doświadczonej.

Jeszcze raz powiedziała sobie, że powinna jak najmniej rzucać się w oczy, i wyszła z pokoju poszukać księżnej. Tego wieczoru miała się dowiedzieć, że księżna może chodzić, jeśli chce. Chociaż na dół znieśli ją w fotelu dwaj lokaje, była na tyle silna, żeby samodzielnie przejść do jadalni, a stamtąd do salonu.

Zebrało się tam już parę osób i Ancella pomyślała, że nawet gdyby nie rozpoznała nieco przeciągłej wymowy markizy Chiswicku i tak by się zorientowała, kim jest ta wyjątkowo piękna dama.

Nigdy nie wyobrażała sobie, że kobieta może być uosobieniem rzymskiej Junony.

Markiza była wysoka, nawet w porównaniu z posagowymi pięknościami tego okresu — księżną Sutherlandshire i księżniczką Plesseu, których zdjęcia

zamieszczały wszystkie czasopisma. Ich podobizny sprzedawano również jako pocztówki.

Miała jasnozłote włosy niczym łan dojrzałej pszenicy, a oczy tak niebieskie jak błękit Morza Śródziemnego. Poruszała się z gracją, a suknią, którą miała na sobie, podkreślała jej pełne piersi, wąską talię i krągłe biodra. Kiedy księżna weszła do salonu, markiza zbliżyła się do niej majestatycznym krokiem, dygnęła i wylewnie powiedziała:

— Wasza Wysokość! Przez cały dzień bardzo nam pani brakowało. Tak mi przykro, że nie mogła pani zobaczyć wyścigu jachtów. Był fascynujący!

— Z pewnością — oschle odparła księżna. — Zwłaszcza jeśli wygrał mój syn.

— Oczywiście, że wygrał — rzekła markiza. — Czy ktokolwiek mógłby udaremnić Jego Wysokości zrobienie tego, czego pragnie z całego serca?

Było coś niewinnego w sposobie jej mówienia i wyglądała tak czarująco, że Ancella z trudem mogła oderwać od niej wzrok, by wśród eleganckich dżentelmenów w białych gorsach i długich frakach odnaleźć kapitana Fredricka Sudleya.

Nietrudno było go rozpoznać.

Usłyszała jego szorstki głos oraz donośny śmiech i zobaczyła, że rzeczywiście jest przystojny, ma ciemnobrązowe włosy, wąsy, a swą postawą zdradza wojskowe wyszkolenie.

Z początku Ancella nie mogła się zorientować, którzy goście mieszkają w willi, a którzy przyjechali, żeby spędzić tu wieczór.

Została przedstawiona baronowi Mikhovovitchowi, i później, kiedy przy obiedzie siedział obok niej, odkry-

ła, że jest czarującym starszym panem o wytwornych manierach, kiedyś pracującym w służbie dyplomatycznej.

W salonie stała dyskretnie tuż za księżną i choć markiza wyraźnie ją ignorowała, wielu mężczyzn chciało być jej przedstawionych albo zaczynało z nią rozmowę, nie czekając na oficjalną prezentację.

Muszę bardzo uważać, żeby nie wysuwać się na pierwszy plan, pomyślała Ancella, lub w jakiś inny sposób nie zwrócić na siebie uwagi.

Była pewna, że gdyby to zrobiła, markiza przywołałaby ją do porządku, a nie potrafiła przewidzieć reakcji księżnej.

Jej Wysokość zajmowała przy stole honorowe miejsce. Ancella siedziała między baronem Mikhovitchem, który opowiadał jej ciekawe rzeczy o Rosji, wprawiając ją tym w zachwyt, a skorym do flirtu mężczyzną w średnim wieku.

Spotkała już mężczyzn jego pokroju i kiedy dała mu wyraźnie do zrozumienia, że nie ma zamiaru odpowiadać na jego nieprzyzwoite aluzje, poczuł się nią znudzony i odwrócił się, by porozmawiać z sąsiadką z drugiej strony.

Obiad zaskoczył Ancellę, gdyż żyjąc skromnie na wsi nigdy nie zdawała sobie sprawy, że w domach zatrudniających najprzedniejszych mistrzów kucharskich panuje taki przepych.

Podawano jedno danie za drugim, każde bardziej egzotyczne i będące większą rozkoszą dla podniebienia niż poprzednie. Zorientowała się, że to kuchnia francuska, gdyż ojciec opisał jej kiedyś najsmaczniejsze potrawy tego kraju.

Po dwóch pierwszych daniach nie mogła już więcej jeść i każdej następnej potrawy tylko próbowała, ale obecni na przyjęciu panowie zjadali wszystko.

Nic dziwnego, że wielu z nich już w średnim wieku miało nadwagę, skoro dzień w dzień folgowali sobie w ten sposób.

Był szampan i inne najprzedniejsze wina i Ancella żałowała, iż nie ma tu jej ojca, gdyż wiedziała, jak bardzo by mu smakowały.

Zastanawiała się, czy powinna się wzbraniać od picia. Doszła do wniosku, że we Francji nikogo nie zdziwi fakt, iż pije to, co jej podano, skoro nawet najbardziej wieśniak wypija do posiłku butelkę *vin ordinaire*.

Toczyła się wesoła rozmowa na rozmaite tematy, w trakcie której Ancella zauważyła, że markiza jest obiektem uwagi nie tylko swych najbliższych sąsiadów, ale także innych mężczyzn siedzących przy stole.

Była ożywiona i sądząc po jej śmiechu, rozbawiona. Kiedy Ancella przypadkowo usłyszała parę uwag, zorientowała się, że są dwuznaczne i niezbyt dla niej zrozumiałe.

Jaka głupia muszę się wydawać tym ludziom, pomyślała, po czym surowo się skarciła, że myśli tak, jakby traktowali ją na równi ze sobą.

Dla nich była tylko służącą i dopóki będzie uprzejmie odpowiadała, kiedy raczą z nią rozmawiać, niczego innego nie będą od niej oczekiwać.

Baron Mikhovovitch powiedział jej, że oglądał zawody tenisowe.

— Odbywają się w Monte Carlo? — zdziwiła się Ancella.

— A jakże! Jest tu pięć mistrzyń, które wspaniale grają. Musi je pani zobaczyć.

— Bardzo bym chciała! — zawołała Ancella.

— Gdybym był młodszy — szarmancko oświadczył baron — nie tylko zabrałbym panią na korty, ale poprosił, aby zechciała pani wziąć udział ze mną w pierwszym samochodowym *Concours d'elegance*.

— A cóż to jest? — spytała Ancella.

Raz czy dwa prowadziła samochód należący do przyjaciela ojca i było to dla niej porywające przeżycie.

— Kierowca samochodu, który zostanie uznany za najpiękniejszy, oraz towarzysząca dama otrzymują nagrody.

— Musi być duża konkurencja.

Baron się roześmiał.

— Proszę sobie wyobrazić, że nie! Każdy jest pewien, że otrzyma pierwszą nagrodę, gdyż w księstwie nic nie może być drugiej lub trzeciej kategorii.

Ancella także się roześmiała.

— Miło to słyszeć! — wykrzyknęła.

Gdy tylko zjedzono obiad, księżna wraz z innymi damami opuściła salon i natychmiast zapragnęła pojechać do kasyna.

— Nie ma żadnego pośpiechu, Wasza Wysokość — powiedział jakiś mężczyzna.

— Jest, a jakże! — odpowiedziała księżna. — Mam przeczucie, że dzisiaj wygram!

— A zatem, powodzenia — życzył. — Pójdę w pani ślady. Wczoraj straciłem mnóstwo pieniędzy!

— Pan nie jest dobrym graczem, milordzie — ostro rzuciła księżna.

— Kto nie ma szczęścia w kartach, ten ma w miłości — rzekł zrucając Ancelli szelmowskie spojrzenie.

Powóz księżnej pierwszy opuścił wilę i Ancella ze zdumieniem zauważyła, że ciągną go cztery konie.

Jakby odpowiadając na pytanie, które nie padło, księżna powiedziała:

— Szkoda tracić zbyt dużo czasu na podróż do Monte Carlo. Końmi dojadę tam najszybciej.

Kiedy powóz ruszył, Ancella zdała sobie sprawę, że księżna jest w stanie pewnego podniecenia i wszystkie swoje talizmany wiezie ze sobą w czarnej aksamitnej torbie.

Patrząc przy obiedzie na księżną, pomyślała, iż nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że kobieta może nosić aż tyle biżuterii lub tak bogato wyglądać.

Księżna dosłownie błyszczała od diamentów: miała na sobie potrójny naszyjnik, który pokazała rano Ancelli, pełen diamentów dużych jak angielskie monety sześciopensowe!

Jak ktoś tak bogaty może pragnąć jeszcze więcej pieniędzy? zastanawiała się Ancella.

Pomyślała, że może to, co pisano w gazetach o „hazardowej gorączce” i „obsesji szkodliwej dla umysłu i zdrowia”, nie było tak bardzo przesadzone, jak jej się wydawało z początku.

Była jednak zbyt zafascynowana celem podróży, by myśleć dłużej o czym innym.

Dzięki dużej prędkości, z jaką jechały, wnet zobaczyła światła Monte Carlo. Gdy dotarły do miasta, ujrzała port pełen ogromnych kosztownych jachtów, których jaśniejące w ciemności światła odbijały się w wodzie.

Widok był przepiękny, lecz ledwo zdążyły rzucić nań okiem, a powóz już zaczął wjeżdżać pod górę zalaną morzem światła, gdzie wreszcie zatrzymał się przed biegnącymi wysoko w górę schodami.

Przyjechali!

Ancella zobaczyła kasyno z dwiema miedzianymi wieżami, dokładnie takie samo jak na zdjęciach, które oglądała — podobne do tortu weselnego, ogromnego, tłustego, białego jak cukier.

Na widok powozu księżnej lokaje, czekający na górze, zaczęli pospiesznie schodzić po schodach, znosząc na dół wyściełany aksamitem fotel na kółkach, który postawili na chodniku.

Ancella, pamiętając Jej Wysokość zupełnie swobodnie poruszającą się po willi, nie mogła powstrzymać się od podejrzliwego spojrzenia, a księżna, jakby czytając w jej myślach, powiedziała:

— Zapewniam cię, moja droga, że jeśli ktoś jest stary, najwygodniej mu się tu poruszać w fotelu na kółkach. Jest wtedy w centrum zainteresowania, a poza tym każdy mu schodzi z drogi.

Ancella roześmiała się, ale wkrótce zobaczyła, że księżna mówiła prawdę; gdy pchano ją przez olbrzymi, hałaśliwy salon gier, rzeczywiście wszyscy schodzili jej z drogi.

Ancella popatrzyła na wysoki malowany sufit, ogromną ilość połączonych ozdób z brązu i parę stołów do ruletki, wokół których tłoczyli się najrozmaitsi ludzie — bogaci i mniej zamożni.

Oprócz kolorowych cudzoziemców w różnym wieku były tam wymalowane kobiety w ogromnych kapeluszach ozdobionych strusimi piórami lub egretami,

a także biedni urzędnicy, ocierający się o zamożnych *bourgeois*.

Księżną szybko przewieziono obok nich, choć Ancella miała wielką ochotę zatrzymać się i rozejrzeć dookoła, by wszystko lepiej obejrzeć.

— *Faites vous jeux, Messieurs et Mesdames. Les jeux sont faits. Rien ne va plus.*

Słyszała monotonne głosy krupierów i ciszę, która nagle zapadała przy stole, gdy kulkę puszczano w ruch, ale księżną wieziono dalej, w kierunku *Salle Touzet*.

To pomieszczenie, jak się Ancella później dowiedziała, zostało dobudowane, ponieważ oryginalna sala gier, znana teraz jako „Kuchnia”, nie mogła już pomieścić wszystkich chętnych do gry.

Na podłodze leżał dywan w jasno- i ciemnoniebieskie kwiaty, a na wyłożonych boazerią ścianach wisiały miłe dla oka obrazy. Tutaj zachęcano do gry najznamienitszych i najbogatszych gości kasyna.

W przeciwieństwie do „Kuchni” *Salle Touzet* sprawiała wrażenie cichej, ale Ancelli wydawało się, że atmosfera jest tu bardziej napięta, a widok o wiele barwniejszy.

Nigdy nie przypuszczała, że w jednym miejscu zobaczy tyle pięknych i wspaniałe ubranych kobiet.

Wszystkie w wieczorowych kreacjach, u wielu we włosach połyskiwały diamenty, inne chlubiły się piórami rajskich ptaków czy obfitością egret, a ich suknie były bardzo *decollete*. Dosłownie skrzyły się od klejnotów, a niektóre naszyjniki, broszki i bransoletki były prawie tak wspaniałe jak biżuteria księżnej.

Ancelli wydawało się, że gdziekolwiek spojrzy, widzi wysokich, przystojnych, starannie ubranych džen-

telmenów, z których wielu paliło grube cygara, trzymało kieliszki z szampanem, rozmawiając z innymi lub obserwując kręcącą się kulkę.

Księżną, jak zdażyła się zorientować Ancella, przewieziono do jej ulubionego stolika.

Krupierzy powitali ją z szacunkiem i odstawiwszy jedno z dwudziestu krzeseł o złoto-czerwonych siedzeniach, zrobili miejsce dla jej fotela na kółkach.

Więcej jednak osób stało, niż siedziało; księżna wyjęła jakieś kartki papieru, zanim położyła na stole banknoty wartości dziesięciu tysięcy franków i zażądała, aby je wymieniono.

Czterysta funtów, wykrzyknęła w duchu Ancella.

W kierunku księżnej popchnięto ogromny stos złotych żetonów i od tej chwili interesowały ją wyłącznie kawałki papieru, które jak wcześniej się zorientowała Ancella, dal jej astrolog.

— Dzisiejszej nocy posłucham, co mówią planety — rzekła księżna, a gdy Ancella rzuciła jej zdumione spojrzenie, dodała ostro: — Na pewno zdajesz sobie sprawę, że są liczby i symbole związane z prawami kosmosu?

— Nie, *Ma'am*, nie mam o tym pojęcia — odpowiedziała. — Czy mogłaby mi pani to wyjaśnić?

Księżna pokazała jej wykresy i Ancella dowiedziała się, że każda planeta ma ustalone liczby, którym należy się podporządkować w odpowiednie dni miesiąca.

— Dzisiaj jesteśmy pod wpływem Wenus — tłumaczyła księżna. — To znaczy, że muszę stawiać na sześć, piętnaście, dwadzieścia cztery i trzydzieści trzy. Ale Słońce też ma pewien wpływ, co oznacza, że nie mogę lekceważyć jedyńki i czwórki.

Wszystko to wydawało się Ancelli bardzo dziwne. Usilnie starała się skoncentrować na tym, co mówi księżna, ale bezwiednie zaczęła się zastanawiać, czy to możliwe, żeby Saturn, Jowisz, Mars i Merkury naprawdę mogły wpływać na trzydzieści sześć numerów ruletki.

Księżna jednak z pewnością w to wierzyła, gdyż przez jakiś czas przypatrywała się pilnie swoim wykresom, po czym kazała Ancelli postawić na numery Wenus. Ancella biorąc żeton za dwadzieścia franków wykonała polecenie.

— Ciekawa jestem, czy przyniesiesz mi szczęście?
— wymamrotała księżna. — Zobaczmy, jaką liczbę ma twoje imię i nazwisko? Ancella to siedem. Winton — sześć. Razem trzynaście. Postaw pięćset franków na trzynastkę. Może wyjdzie! Mówią, że kobieta zawsze wygrywa, kiedy pierwszy raz gra w ruletkę.

Ancella się zawahała.

Chyba, pomyślała, nie można wierzyć w te zabobony? Ale jeśli coś w nich jest, to jej prawdziwą liczbą jest jedenaście, a nie trzynaście!

Nie mogła oczywiście wyjaśnić tego księżnej, która znów zajrzała do swoich wykresów i poleciła jej dorzucić na stół sto franków tu oraz sto franków tam, po prostu jako zabezpieczenie.

— *Rien ne va plus* — powiedział krupier, trzymając prawą rękę na tarczy, a małą białą kulkę między kciukiem a palcem wskazującym.

Płynnym ruchem obrócił tarczę i gdy kulka gwałtownie się potoczyła zewnętrzną stroną ponumerowanych przegródek, Ancella nabrała nagle całkowitej pewności, że wygra numer jedenaście.

Jak powiedziała sir Feliksowi, czasami przeczuwała takie rzeczy i teraz, choć nie miała ku temu powodu, była przekonana, że księżna przegra wszystko, co postawiła.

Miała rację!

Kulka z brzękiem wpadła do przegródki i krupier zatrzymawszy tarczę, oświadczył:

— *Onze, noir, impair et manque.*

— Cóż, twoje imię z pewnością nie przyniosło mi szczęścia — zauważyła zgryźliwie księżna.

— Przykro mi, *Ma'am.*

— Niech zobaczę, co mam teraz zrobić — powiedziała księżna, szeleszcząc swoimi papierami, nie przejmując się z pozoru tym, że krupier zgarnął wszystkie żetony z wyjątkiem tych niewielu należących do paru szczęściarzy, którzy postawili na jedenastkę.

Ancella wykonywała polecenia księżnej.

To było niesamowite, ale próbowała nie słuchać wewnętrznego głosu, który podpowiadał jej kolejny numer.

Popatrzyła dokoła siebie.

Wszędzie gdziekolwiek spojrzała, widać było surowe twarze, na których malowała się chciwość.

Było coś obrzydliwego w sposobie patrzenia grających kobiet i mężczyzn na wirującą tarczę ruletki, kiedy każdy ich nerw drżał od szalonego napięcia.

Jeśli wygrali, to wyciągali swe ręce jak szpony, by porwać pieniądze w obawie, że znikną na ich oczach niczym czarodziejskie złoto.

Nawet ci z gości, którzy podczas obiadu w willi sprawiali wrażenie zwykłych, uroczych ludzi, teraz gdy zniknęły ich pieniądze, przypominali sępy.

Potem ponurzy, z surowo zaciśniętymi ustami, przechodzili do innego stolika w poszukiwaniu szczęścia.

Ancella spełniała polecenia księżnej prawie przez pół godziny. Potem do Jej Wysokości podszedł jakiś dżentelmen i ująwszy jej dłoń w swoją podniósł do ust.

— Andre! — wykrzyknęła. — Sądziłam, że będziesz w Monte Carlo dopiero za tydzień!

— Udało mi się opuścić Paryż wcześniej, niż przewidywałem — powiedział. — I jak mógłbym nie przyjechać, wiedząc, że tu jesteś?

Księżna roześmiała się kokieteryjnie.

— Wiesz, że nie mogłam się ciebie doczekać.

— A ja ciebie — odpowiedział. — Przestań tracić pieniądze i chodźmy porozmawiać. Tyle chciałbym się dowiedzieć!

Księżna, ku ogromnemu zdumieniu Ancelli, wyraziła na to zgodę.

Dała sygnał lokajowi, by przesunął jej fotel od stołu w kierunku sąsiedniego pokoju, gdzie były wygodne kanapy i fotele, w których siedziało kilka osób popijając rozmaite trunki.

Ancella szła za księżną prowadzącą ożywioną rozmowę z siwiejącym mężczyzną w średnim wieku, wciąż atrakcyjnym dzięki wspaniałej sylwetce.

Kiedy lokaj zatrzymał przy stole fotel z księżną, jakby nagle przypomniała sobie o obecności Ancelli.

— Moja nowa dama do towarzystwa i pielęgniarka — zwróciła się do mężczyzny. — Panna Winton, hrabia Andre de Valpre.

Ancella dygnęła, a hrabia się uklonił.

— *Enchante, Mademoiselle!* — powiedział odruchowo.

— Vladimir będzie mnie szukał — rzekła księżna — i zdziwi się, zobaczywszy, że nie ma mnie na zwykłym miejscu. Niech pani znajdzie księcia, panno Winton, i powie mu, gdzie jestem.

Gdy księżna skończyła mówić, odwróciła się do hrabiego, który usadowił się obok niej w fotelu, i zaczęła mu coś szybko opowiadać tak poufale, że Ancella nie śmiała im przerywać,

Nie miała pojęcia, jak wygląda książe, gdyż nie uczestniczył w obiedzie.

Kiedy weszła do pokoju gier, pomyślała, że może zapytać jednego z wielu lokai w liberii, stojących dookoła sali i spełniających życzenia gości.

Na pewno znają księcia i mogą go wskazać.

Potem zaczęła się zastanawiać, jak powinna sformułować pytanie, by nie sugerowało, że z własnej woli szuka księcia.

Wtedy ujrzała markizę Chiswicu i zorientowała się, że rozmawiający z nią mężczyzna najprawdopodobniej jest księciem.

Sposób mówienia markizy i pieszczotliwy gest, w jakim wyciągnęła rękę w białej rękawiczce, upewniły Ancellę, że ma przed sobą księcia.

Kiedy do nich podeszła, zobaczyła tylko tył jego głowy i szerokie ramiona. Był wysoki, wąski w biodrach, szczupły i zarazem atletycznie zbudowany — takiej sylwetki nie miał żaden Anglik.

Markiza podniosła na niego oczy, miała śliczną twarz, niemal oślepiająco piękną w padających światłach, a jej wargi poruszały się tak, jakby o coś prosiła.

Gdy Ancella stanęła obok nich, poczuła zakłopotanie i zawstyżenie, że musi im przerwać rozmowę.

Jednocześnie pomyślała, że powinna zrobić to, co poleciła jej księżna.

Nieruchomo stanęła za księciem.

Dostrzegła ją markiza; czuło się, że jej oczy nabrały surowego wyrazu, a głos ostrości, kiedy spytała:

— Czego pani chce, panno Winton?

— Mam wiadomość dla Jego Wysokości, księcia Vladimira — odpowiedziała Ancella.

Nie myliła się. Mężczyzna rozmawiający z markizą odwrócił się.

— Dla mnie? — spytał.

Bez wątpienia był najprzystojniejszym i najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała!

Nie wiedziała, czego się spodziewać po rosyjskim księciu, ale z pewnością nie mężczyzny wyglądającego tak jak książe Vladimir.

Trudno było się zorientować, skąd miała pewność, że jest cudzoziemcem; nie był szczególnie śniady i podobnie jak ona miał szare oczy, tyle że z domieszką zieleni. Może ze sposobu, w jaki zaczesywał do tyłu włosy znad wysokiego czoła, a może zdecydował o tym prosty nos o doskonałych proporcjach i kwadratowy podbródek. Najbardziej chyba z jego twarzy, pełnej ekspresji, i z lekko wykrzywionych ust, które jakby śmiały się z życia mając jednocześnie do niego cyniczny stosunek.

Ancella patrzyła nań rozszerzonymi oczami, nie zdając sobie sprawy, że wpatruje się w niego i że on także utkwiał w niej wzrok.

Przez chwilę zdawało się, że spotkali się już kiedyś w wieczności, że zawsze wiedziała, iż na świecie istnieje taki mężczyzna jak on.

Nie potrafiła wytłumaczyć tego, co czuje. Wiedziała po prostu, że jest inny, niż się spodziewała, inny niż mężczyźni, których do tej pory poznała.

Miała uczucie, jakby nie było tu ani markizy, ani kasy, a tylko oni, rozmawiający ze sobą bez słów.

Usłyszała, jak książę powiedział głębokim, sympatycznym głosem, któremu przysłuchiwała się wcześniej skulona na skałach pod balustradą:

— Kim pani jest?

— Jest nową pielęgniarzką twojej matki, przyjechała z Anglii — wtrąciła markiza, a Ancelli wydawało się, że jej głos dobiega z bardzo daleka.

— Jak się pani nazywa? — spytał książę, nie odrywając oczu od Ancelli.

— Ancella Win...ton, Wasza Wysokość.

Zająknęła się nieco na drugiej sylabie wyrazu „Winton”, czując, że chce powiedzieć mu prawdę.

— Zatem muszę panią powitać w naszej rodzinie, panno Winton.

Uśmiech zdawał się rozjaśniać twarz księcia, a Ancella zdała sobie sprawę, że śmieją się nie tylko jego usta, ale i oczy.

— Dziękuję — wyszeptła i dygnęła, myśląc, że powinna zrobić to wcześniej.

— Ma pani dla mnie jakąś wiadomość? — spytał łagodnie, jakby chciał pomóc zdenerwowanemu dziecku.

— Tak. Jej Wysokość prosiła, abym powiedziała, że jest z przyjacielem w sąsiednim salonie. Pomyślała, że może pan zauważyć, iż nie ma jej przy tym stoliku co zwykle.

— Właśnie zamierzałem jej poszukać — wyjaśnił książę.

— Twoja matka z pewnością cię nie potrzebuje
— rzekła markiza, zanim Ancella zdążyła się odezwać.
— Zagrajmy razem w bakarata. Jestem pewna, że przyniosę ci szczęście!

— Matka może mnie potrzebować — odparł książę.

Wciąż patrzył na Ancellę, a markiza uświadamiając sobie, że nie na niej skupia całą uwagę, powiedziała ze złością:

— Nie bądź śmieszny, Vladimirze. Skoro jest z przyjacielem, nie będzie cię potrzebowała. Chodź, chcę zobaczyć, jak rozbijasz bank!

Niechętnie, jak wydawało się Ancelli, książę pozwolił odciągnąć się markizie, która wsunęła mu rękę pod ramię.

Ruszyli w przeciwną stronę sali, a Ancella patrząc na nich stała jeszcze przez chwilę, po czym obróciła się, by wrócić do księżnej.

Nie wiedziała dlaczego, ale czuła się tak, jakby przeżyła jakiś szok, coś ją wstrząsnęło w sposób, którego nie potrafiła sobie wytłumaczyć.

Automatycznie przeszła przez pokój wśród tłumu ludzi. Zobaczyła księżną pogrążoną w rozmowie z hrabią i poczuła, że jeśli się do nich przyłączy, z pewnością będzie *de trop*.

Wtedy zobaczyła otwarte drzwi balkonowe, w których podmuchy wiatru lekko poruszały zasłonami, i rozsunawszy je wyszła na taras.

Natychmiast uległa czarowi nocy; nad nią świeciły gwiazdy, w mroku rysowały się olbrzymie liście palm, a w dole falowało morze.

Przesunęła się do przodu i zobaczyła port z oświetlonymi jachtami, które widziała przy wjeździe do miasta.

Z drugiej strony widoczna była olbrzymia skała, a na niej sylweta pałacu królewskiego, w którym władce Monako, księcia Charles'a, strzegło dziewięćdziesięciu karabinierów noszących, jak Ancella dowiedziała się z przewodnika, niebiesko-purpurowe mundury i białe hełmy ozdobione pióropuszem.

Morskie powietrze było bardzo łagodne, wcale nie zimne i mimo rozproszonej w nim soli Ancella czuła aromat pachnących nocą lewkonii i lilii.

Gdzieś w oddali słychać było muzykę orkiestrową; jakież to romantyczne, pomyślała, baśniowe miasto szczęścia, a jednak wydawało się niemożliwe, aby ci ludzie, którzy szarpia się, denerwują, robią wszystko, żeby tylko wygrać pieniądze, kiedykolwiek mogli to zauważyć.

Wyszła do ogrodu, patrząc na morze, które zdawało się jasno migotać światłami odbijających się w nim gwiazd.

Kiedy pomyślała, że powinna wrócić do księżnej, zobaczyła mężczyznę, który podobnie jak ona, wyszedł na taras i osunął się na jedną z ławek.

Ancella wyraźnie usłyszała, jak jęknął. Potem zgiął się wpół, jakby z bólu, twarz zakrył rękami, głowę pochylił do przodu, aż prawie dotknął nią kolan.

Obserwowała go przez chwilę, myśląc, że z pewnością jest chory, a kiedy znowu jęknął, wiedziała, iż musi mu pomóc.

Podeszła do niego i przez parę sekund stała myśląc, że może przemówi do niej, ale wciąż miał zakrytą twarz.

W końcu powiedziała cicho i nieco nerwowo:

— Czy mogę... panu pomóc?

Odruchowo odezwała się po angielsku i mężczyzna się nie poruszył. Po chwili odpowiedział stłumionym głosem:

— Nie! Nic nie może pani zrobić!

— Ależ pan jest chory — nalegała Ancella.

Myślała, że nie zareaguje, ale podniósł głowę i w świetle padającym z kasyna przerażona zobaczyła, że po policzkach spływają mu łzy.

— Nie jestem chory — powiedział zbołałym głosem. — Jestem trupem. Albo przynajmniej wkrótce nim będę!

Nagle Ancella przypomniała sobie, co czytała o samobójstwach w Monte Carlo.

— Co ma pan... na myśli? — spytała.

— To, co mówię — odrzekł. — Muszę się zabić, nie mam wyjścia!

Oczy Ancelli rozszerzyły się i rzuciła szybko:

— Nie wolno panu tak mówić! To grzech!

— Więszym grzechem jest to — oświadczył z pasją — że zabiłem swoją żonę! Właśnie to zrobiłem! Zabiłem ją, słyszy pani?

Ancella milczała oszołomiona, a kiedy spojrzała na niego z lękiem, powiedział spokojniejszym już głosem:

— Przepraszam. Nie znam pani i nie powinienem jej tym obarczać. Ale zapytała mnie pani, więc odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Ancella zorientowała się, że mężczyzna ma około trzydziestu pięciu lat, jest Anglikiem i z pewnością dzentelmenem. Jednocześnie uświadomiła sobie, że nigdy nie słyszała takiego cierpienia w męskim głosie i nie widziała, żeby mężczyzna płakał.

— Proszę mi pozwolić... panu pomóc — rzekła cicho.

Usta wykrzywiła mu gorycz, kiedy odpowiadał:

— Jest pani bardzo uprzejma, ale nic nie może pani dla mnie zrobić. Byłem piekielnym głupcem. Ale właśnie tego oczekuje się tutaj od ludzi, prawda? Powinni robić z siebie głupców!

— Stracił pan wszystkie pieniądze? — spytała Ancella z sympatią w głosie.

Mówiąc to usiadła obok mężczyzny na ławce, a on wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł oczy.

— Straciłem wszystko, za co mogłem choć trochę dłużej utrzymać przy życiu żonę.

Wyprostował się i Ancella widziała, że stara się nad sobą zapanować. Spytała:

— Czy naprawdę jest aż tak źle?

— Nie może być gorzej — odpowiedział. Znów uśmiechnął się gorzko i dodał: — Chyba wzbudziłem pani ciekawość? To było do przewidzenia. Cóż, powiem pani prawdę. Lekarze dają żonie miesiąc, może dwa miesiące życia, jeśli nie zabiorę jej do Szwajcarii, do specjalisty, który może zoperować jej nietypowy przypadek. Istnieje pięćdziesiąt procent szans, że zabieg się uda.

Zamilkł.

— I grał pan, żeby zdobyć pieniądze na operację? — spytała Ancella.

— To oczywiście bardzo dużo kosztuje — odpowiedział — a już sprzedaliśmy wszystko, co się dało, żeby tu przyjechać. Myślałem, iż może słońce zdziała cuda. — Przerwał, po czym gwałtownie dodał: — Ale Bóg wie, że cuda się nie zdarzają i teraz zaprzepaciłem

ostatnią szansę, jaką mieliśmy na to, żeby być razem.
— Westchnął głęboko. — Przypuszczam, że miesiąc po tej stronie wieczności nie jest taki ważny.

— Oczywiście, że jest — powiedziała Ancella. — Czy nic nie może pan zrobić?

— Nic — odrzekł — poza tym, że mam nadzieję, umrę jak džentelmen bez robienia takiego zamieszania jak przed chwilą, kiedy odezwała się pani do mnie.

— Nie chciałam wprawiać pana w zakłopotanie — wyjaśniła Ancella. — Myślałam, że jest pan chory.

— Była pani bardzo uprzejma — odpowiedział — a teraz muszę wrócić do żony i powiedzieć jej, że wszystko zaprzepaściłem. Zrozumie, ponieważ już taka jest.

W jego głosie pojawił się cieplejszy ton i nagle Ancella uświadomiła sobie dramatyzm tego, co się wydarzyło. Kochali się i dlatego postanowili podjąć ryzyko, sprzedać wszystko, co posiadali, wiedząc, że jeśli stracą pieniądze, pozostanie im tylko śmierć.

Mężczyzna wstał.

— Dziękuję, że zechciała mnie pani wysłuchać.

Odwrocił się, by odejść, ale Ancella nagle podjęła decyzję.

— Proszę poczekać! — zawołała.

Stał już do niej tyłem i kiedy się odwrócił, zobaczyła, że jest bardzo błady. Mimo to całkowicie panował nad sobą, a w jego postawie było coś heroicznego.

— To co chcę zaproponować, może się panu wydać bardzo dziwne — oznajmiła Ancella — ale chcę, żeby wrócił pan ze mną do kasyna i pozwolił mi spróbować sobie pomóc.

— Jak może pani tego dokonać? — spytał posepnie, bez większego zainteresowania w głosie.

— Zaufa mi pan? — spytała Ancella.
— Jeśli mnie pani o to poprosi — odpowiedział
— Ale nie rozumiem.

— Niech mi pan pozwoli zrealizować pewien pomysł i o nic nie pyta — poprosiła Ancella.

Spojrzał na nią i miała wrażenie, że zobaczył ją po raz pierwszy.

— Dobrze — rzekł cicho — i jeszcze raz dziękuję, że była pani taka miła.

— Chciałabym panu pomóc w bardziej praktyczny sposób — odparła Ancella — proszę mi zatem zaufać, tak jak pan obiecał.

Ruszyła z powrotem do salonu gier, a mężczyzna podążył za nią.

Podeszła do stołu, przy którym grała z księżną.

Wyjęła z torebki pięćdziesiąt franków, które zostały jej z pieniędzy, jakie wymieniła w Calais, i zamieniła je na żetony.

Stała patrząc na tarczę ruletki i kiedy jedna z grających kobiet wstała od stołu, lokaj zaproponował Ancelli, żeby usiadła, ale przecząco potrząsnęła głową.

Chciała stać dokładnie tak samo jak wtedy, gdy grała w imieniu księżnej.

Krupier puścił w ruch tarczę i teraz, kiedy biała kulka wirowała dookoła, Ancella znowu przeczuwała, że wyjdzie numer jedenaście.

Dała do ręki żeton stojącemu obok mężczyźnie.

— Jedenaście — powiedziała.

Jakby nagle zrozumiał, co próbowała zrobić, pochylił się do przodu i położył żeton na stole w chwili, gdy krupier powiedział:

— *Rien ne va plus.*

Kula znów obróciła się dwa razy i Ancella wstrzymała oddech.

— *Onze, noir, impair et manque.*

Odwróciła się z uśmiechem do mężczyzny i zobaczyła, że przygląda się jej z wyrazem niedowierzania w oczach.

— Jak pani to zrobiła? — spytał.

— Nie mogę wyjaśnić — odparła Ancella.

Krupier zgarnął pieniądze ze wszystkich numerów z wyjątkiem jedenastki; potem pchnął 1750 franków na numer jedenaście i spojrzał pytająco na Ancellę. Dokładnie obliczyła, ile zarobiła. Siedemdziesiąt funtów, pomyślała, nie wystarczy na operację oraz dłuższy pobyt w kosztownej klinice.

Musieli także tam dojechać, a to też kosztuje.

Stojący obok niej mężczyzna chciał wyciągnąć ręce po pieniądze, ale go powstrzymała.

— Proszę je zostawić! — poleciła.

— Czy to rozsądne? — spytał cicho i zrozumiała, że jest bardzo spięty.

— Proszę je zostawić! — powtórzyła Ancella.

Wydawało się, że minęły wieki, zanim wszyscy postawili pieniądze.

Kiedy czekali, Ancella czuła, że nieznajomy mężczyzna uważa, iż musi być szalona, nie zabierając ze stołu wygranej.

Była pewna, że gdyby postawili jego pieniądze, nie posłuchałby jej, ciesząc się z wygranej i nie chcąc ponownie ryzykować.

— Przynajmniej — powiedział natarczywie — postawmy parę franków na *rouge* lub *noir*. Może coś oszczędzimy.

Ancella potrząsnęła głową na znak odmowy.

— Prosiłam, żeby mi pan zaufał.

Podniósł oczy znad stołu i spojrzał na nią.

— Myślę, że każdy by to zrobił — wyjaśnił cicho.

Uśmiechnęła się do niego, ale nie odpowiedziała.

Usłyszała, jak krupier mówi:

— *Rien ne va plus.*

I po chwili tarcza ruletki znów wirowała.

Ancella nie poruszyła się, ale była dziwnie spokojna. Po prostu miała głębokie przekonanie, którego nie potrafiła wytłumaczyć, że wygra numer jedenaście.

— *Onze, noir, impair et manque.*

Gdy krupier wyrzekł te słowa, stojący obok niej mężczyzna wydał dźwięk, którego nie da się opisać.

— Jak pani to zrobiła? — spytał.

— Nie mam pojęcia — odrzekła Ancella i była to prawda.

Tylko jedna osoba postawiła na jedenastkę. Krupier pchnął okazałą kupkę wygranych w kierunku tego numeru.

No, ponad dwa tysiące funtów, przeliczyła Ancella w myśli.

To wystarczy — była pewna, że to wystarczy — na wszystko co było potrzebne, by uratować życie tamtej kobiety.

— Czy mam je teraz zabrać? — spytał mężczyzna niepewnym głosem.

— Tak.

Ancella dała znać krupierowi, by przesunął pieniądze w jego kierunku. Mężczyzna rzucił na stół parę żetonów dla personelu i biorąc obiema rękami pozostałe, wyciągnął je w kierunku Ancelli.

— Czy weźmie pani połowę? — spytał.

Potrząsnęła przecząco głową.

— Należą do pana — odpowiedziała — czy raczej do pańskiej żony. Teraz może mieć operację, która mam przecucie, będzie udana, tak jak czułam, że wygramy!

Zobaczyła, że łzy napłynęły mu do oczu. Odwrócił się bokiem do stołu i powiedział:

— Nie wierzyłem, że na świecie jest jeszcze tyle życzliwości i dobroci. — Spojrzał na pieniądze, które trzymał w rękach. — Jest pani zupełnie pewna? — spytał z wahaniem. — A co z pieniędzmi, które pani na początku postawiła?

— Niech pan za nie kupi żonie kwiaty ode mnie — odpowiedziała. — I proszę jej przekazać, że będę się modliła o to, byście oboje znaleźli szczęście.

Mówiąc to odwróciła się od niego i odeszła.

Był tak poruszony jej słowami i otumaniony tym, co się wydarzyło, że zniknęła mu z oczu, zanim zdołał się odezwać.

Ancella zastała księżną pogrążoną w rozmowie z hrabią.

Nie dołączyła do nich, lecz usiadła na krześle pod ścianą, gdzie mogła zaczekać, aż będzie potrzebna.

Nagle poczuła się dziwnie wyczerpana, jakby przeżyła gwałtowne emocje.

Potem przyłapała się na modlitwie o to, żeby pieniądze, które wygrała w kasynie tego wieczoru, przyniosły ludziom dobro, a nie zło.

ROZDZIAŁ 4

Następnego ranka doktor Groves przyjechał odwiedzić księżną i spędziwszy z nią mniej więcej kwadrans, poprosił o rozmowę z Ancella,

Zeszli na dół do bawialni, która nie była tak imponująca jak salon, jednakże bardzo sympatyczna, z oknami wychodzącymi na Ezę.

— Księżna mówi o pani bardzo pochlebnie, panno Winton — zaczął doktor Groves.

— Cieszę się — odpowiedziała Ancella. — Miałam nadzieję, że zasłużę na zaufanie, jakim obdarzył mnie sir Feliks.

— Byłem tego pewien.

Doktor Groves przypominał z wyglądu sir Feliksa Johnsona. Był mniej więcej w tym samym wieku i miał taki sam czarujący sposób bycia.

Podobnie jak sir Feliks nosił tradycyjny surdut i cylinder, a także zawiązany po mistrzowsku krawat, w który wpięta była pośrodku szpilka w kształcie podkowy.

W Monte Carlo, pomyślała Ancella, wszystko niezmiennie musiało być symbolem szczęścia.

— Jeśli jednak mam być szczerzy — mówił dalej doktor Groves — muszę przyznać, że spodziewałem się kogoś starszego. Ale skoro księżna jest zadowolona, to nic innego nie ma znaczenia.

— Czy księżna naprawdę jest chora? — spytała Ancella.

Wydawało się jej to mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę ostatnie godziny, które księżna spędziła w kasynie, a także fakt, że robiła wszystko, co chciała.

— Myślę, że jako pielęgniarka Jej Wysokości — powiedział wolno doktor Groves — powinna pani poznać fakty dotyczące tego szczególnego przypadku.

— Przerwał, po czym spytał, lekko się uśmiechając:

— Jak się pani wydaje, ile księżna ma lat?

Ancella nie spodziewała się takiego pytania.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała — ale sądząc z jej wyglądu myślę, że jest bardzo stara... ma dobrze po siedemdziesiątce.

— W rzeczywistości — odpowiedział doktor Groves — ma zaledwie sześćdziesiąt dwa lata!

Ancella wyglądała na zdziwioną.

— To naprawdę bardzo smutna historia — rzekł.

— Niech mi ją pan opowie — poprosiła.

— Przypuszczam, że księżna była śliczna w młodości — zaczął doktor Groves. — Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy jakieś dwadzieścia lat temu, wciąż była niezwykle piękna.

Przypomniawszy sobie profil księżnej, Ancella uwierzyła, że to prawda; sama zauważyła ostatniej nocy, kiedy Jej Wysokość rozmawiała z hrabią Andre, że gdy jest podniecona i czymś zainteresowana, jej twarz staje się piękna.

— W młodości — kontynuował doktor Groves — księżna wyszła za mąż za księcia Serge'a Vsevolovskiego; pan młody, którego wybrali jej rodzice, piętnaście lat od niej starszy, był jak przypuszczam, najprzystojniejszym mężczyzną w Rosji.

Ancella już miała powiedzieć, że jego syn jest zupełnie taki sam, ale ugryzła się w język.

— To było nieuniknione — mówił dalej doktor Groves — że do szaleństwa zakocha się w mężu. Bardzo pragnął mieć dzieci. Księżna z nie znanej mi przyczyny najpierw nie mogła zająć w ciążę, a potem kilka razy poroniła. W rezultacie miała trzydzieści pięć lat, kiedy urodził się książę Vladimir.

— Książę Serge musiał być bardzo zadowolony! — zawołała Ancella.

— Oczywiście, że się cieszył. Niestety, nie przeszkadzało mu to bezustannie jej zdradzać.

Ancella spojrzała pytająco na doktora, który mówił dalej:

— Trzeba pamiętać, jakie czyhały na niego pokusy. Książę wiele podróżował, odwiedzał Anglię, stale bywał w Paryżu i oczywiście, kiedy Monte Carlo stało się modne, przyjechał tutaj. — Uśmiechnął się. — Nigdy nie brakowało niezwykle atrakcyjnych kobiet gotowych rzucić się w jego ramiona, a księżna, która była niebywale, niemal fanatycznie zaborcza, stawała się coraz bardziej zazdrosna.

Oczy Ancelli pełne były współczucia, gdy doktor Groves mówił dalej:

— Urodzenie dziecka oraz choroby, które trawiły ją z przerwami przez kilka lat, niekorzystnie odbiły się na jej wyglądzie. Dlatego chcąc odzyskać urodę, radziła

się każdego specjalisty w Rosji i innych krajach Europy. Próbowała różnych środków polecanych przez znachorów. — Przy dalszych słowach głos doktora Grovesa nabrał ostrości: — Zawsze znajdują się szarlatani gotowi wykorzystać taką sytuację na tyle, na ile się da, żerując na nieszczęściu bogatej kobiety, nie zważając na krzywdę, jaką mogą jej wyrządzić.

— Co się stało? — spytała Ancella, domyślając się odpowiedzi.

— Jeden ze znachorów — odrzekł doktor Groves — sprzedał jej „cudowny preparat”, dzięki któremu, jak zaręczał, w ciągu jednej nocy tak się zmieni, że będzie wyglądała niczym osiemnastoletnia dziewczyna. I sama pani widzi, co się zdarzyło!

— Jej skóra! — wykrzyknęła Ancella.

— No właśnie — potwierdził doktor Groves. — Tak zwany cudowny preparat zniszczył tkanki jej skóry, która stała się taka, jaką ją pani widziała: siatka zmarszczek niczym chiński pergamin.

Ancella opisała ją dokładnie tak samo już przedtem i teraz czuła głębokie współczucie dla księżnej, która z miłości do męża usiłowała poprawić swoją urodę.

— Nic nie można zrobić? — spytała.

— Absolutnie nic — odpowiedział doktor Groves. — To oczywiście sprawiło, że Jej Wysokość zaczęła wyglądać niezwykle staro i kiedy jeszcze żył książę Serge, było źródłem nieopisanej tragedii.

— Wydaje mi się, że każda kobieta, bez względu na wiek, dba o swój wygląd — rzekła Ancella.

— Oczywiście, ma pani rację — przyznał doktor Groves — ale księżna przeniosła swą namiętą, za-

borczą miłość na syna. W przeszłości była zazdrosna o męża, a teraz jest zazdrosna o księcia Vladimira.

Ancella zaczynała powoli rozumieć to, co powiedziała jej księżna.

— Opowiadam o tym — kontynuował doktor Groves — żeby panią ostrzec, iż czasami księżna może sprawiać wrażenie odrobinę niezrównoważonej, szczególnie wtedy, gdy chodzi o jej syna.

— Już się zorientowałam, że w myślach myli go czasami ze swoim mężem — rzekła Ancella.

— Jest pani bardzo spostrzegawcza, panno Winton — zauważył doktor Groves. — Podejrzałem coś takiego, ale odkąd księżna przybyła tu w tym roku, nie byłem z nią wystarczająco długo, by zdobyć pewność.

— Czy nic nie możemy zrobić? — spytała Ancella.

— Nic — odrzekł doktor Groves. — Możemy tylko dbać o to, by była zdrowa, nie brała żadnych leków i interesowała się jeszcze innymi sprawami poza księciem Vladimirem i jego romansami.

— Ma ich wiele?

Ancella wiedziała, że pytanie było niedyskretne, ale nie mogła się powstrzymać, by go nie zadać.

— Tutaj ludzie zajmują się tylko dwiema rzeczami. Hazardem i plotkami! Jeśli wierzyć tym ostatnim, gdziekolwiek znajdzie się księżę Vladimir, zostawia za sobą górę złamanych serc. — Doktor zaśmiał się. — Może to zabrzmie zbyt dramatycznie, panno Winton, ale zapewniam panią, że często muszę leczyć złamane serca, chociaż zazwyczaj mówi się o nich, używając o wiele bardziej skomplikowanych terminów medycznych.

Ancella miała wrażenie, że doktor Groves próbuje ją ostrzec, choć nie zwraca się do niej bezpośrednio.

Upewniła się, że to prawda, kiedy wolno dodał:

— Gdyby znalazła się pani w jakichś kłopotach, panno Winton, mam nadzieję, że uzna mnie pani za przyjaciela, z którym można zupełnie szczerze porozmawiać. Sir Feliks powiedział mi, że bardzo lubił pani ojca i chciałbym, żeby pani wiedziała, iż w razie potrzeby zawsze może na mnie liczyć.

— To bardzo miło z pańskiej strony, doktorze Groves, naprawdę to doceniam — powiedziała Ancella. — Mam jednak nadzieję, że w żaden sposób nie będę się panu naprzykrzała, zaopiekuję się natomiast księżną, gdyż po to tu przyjechałam. — Uśmiechając się lekko, dodała: — Jednak nie spodziewałam się, że każdej nocy będę w kasynie.

— Gdyby mieszkała pani tutaj tak długo jak ja — odrzekł doktor Groves — przekonałaby się pani, że jest to okropnie nudne, zwłaszcza kiedy nie można sobie pozwolić na przegrywanie pieniędzy.

— Ja na pewno nie mogę sobie na to pozwolić! — zawołała Ancella. — Ale uważam, że to bardzo interesujące, iż mogę obejrzeć miejsce, które wiele osób w Anglii napawa takim przerażeniem.

— Chyba tak — powiedział doktor Groves — i biskupi bardzo ostro je atakowali. Ale szczerze mówiąc, oskarżenia, jakie skierowano pod adresem kasyna, są bardzo przesadzone.

— Myślałam, że to prawda — odpowiedziała Ancella — z wyjątkiem...

Już miała wspomnieć o mężczyźnie, który wczoraj w nocy przegrał wszystko, co posiadał; po czym pomyślała, że mówienie o tym nawet doktorowi Grovesowi byłoby błędem.

— Prawda jest, że kasynu nadaje się zbyt duży rozgłos — przyznał — jak z tą piosenką: „Mężczyzna, który rozbił bank w Monte Carlo”.

Ancella, która ją słyszała i wiedziała, że uchodzi teraz za przebój grany na każdej katarynce w Londynie, roześmiała się.

— Czy on naprawdę istniał? — spytała. — Myślałam, że jest po prostu fikcyjną postacią.

— Bynajmniej — odpowiedział doktor Groves. — Nazywał się Charles Deville Wells i spotkałem go tutaj siedem lat temu.

— I naprawdę rozbił bank?

— A jakże, kilka razy w ciągu trzech dni. Kiedy to się zdarza, a na stole do ruletki zabraknie pieniędzy, zakrywa się go prześcieradłem z czarnej krepy, dopóki z siedziby zarządu nie zostaną przyniesione nowe banknoty i pudełka ze złotem.

— Fascynujące! — wykrzyknęła Ancella. — A ile wygrał pan Wells?

— Chodzą słuchy — odparł Groves — że pierwotny kapitał, wynoszący czterysta funtów, zamienił w ciągu trzech dni w czterdzieści tysięcy funtów! Był nieprzyjemnym, niskim mężczyzną, teraz siedzi w więzieniu.

— W więzieniu? — zdziwiła się Ancella.

— Zbyt wielu ludzi powierzyło mu swoje pieniądze. Zebrał prawie trzydzieści tysięcy funtów, zachęcając ich, by zainwestowali w jego wynalazek: nowe urządzenie oszczędzające węgiel na statkach parowych. W rzeczywistości nie było żadnego wynalazku.

Ancella pomyślała, że w tym wypadku pieniądze nie tylko nie przyniosły zwycięzcy szczęścia, ale zrobiły z niego przestępcę.

Doktor Groves zerknął na zegarek.

— Chciałbym tu zostać i dłużej z panią porozmawiać, panno Winton — powiedział — ale mam paru pacjentów, którzy na mnie czekają, choć muszę dodać, że tak naprawdę żadnemu z nich nie jest potrzebna pilna pomoc. — Podeszedł do drzwi i zatrzymał się. — Proszę uważać na księżną — dorzucił — i na siebie.

Ancella znów wyczuła w jego głosie ostrzeżenie, a kiedy opuścił dom, nieco zadumana poszła na górę odszukać księżną.

Jej pracodawczyni była w wyjątkowo dobrym humorze, a to dlatego, że ostatnią noc przesiadywała z hrabią Andre, rozmawiając z nim aż do rana.

Później, wracając do powozu zaprzęzonego w cztery szybkie konie, powiedziała do Ancelli z nie znaną jej miękkością w głosie:

— Hrabia Andre jest mi bardzo droгим przyjacielem.

— Tak myślałam — odrzekła Ancella.

Była senna. Wydawało się jej, że godziny wloką się w nieskończoność, kiedy siedziała czekając na księżną, lecz jednocześnie czuła pewną ulgę, że nie musi stać przy ruletce i obstawiać pieniędzy w jej imieniu.

— Był dla mnie bardzo miły, kiedy spotkało mnie straszne nieszczęście — wyznała księżna. Mówiła tak, jakby wspominała przeszłość dla własnej przyjemności, a nie dla Ancelli. — Wydawało mi się, że moje życie się skończyło, lecz on mi pokazał, ile wciąż jest w nim szczęścia i radości.

— On... zakochał się w pani? — spytała Ancella.

Gdy tylko to powiedziała, uświadomiła sobie, że może zachowuje się impertynecko podsuwając takie myśli.

— Ależ oczywiście — odpowiedziała księżna. — I był ognistym, elokwentnym kochankiem, jak większość Francuzów.

— Chciała pani z nim uciec? — spytała z zaciekawieniem Ancella.

Księżna zaśmiała się.

— Nie było takiej możliwości — odpowiedziała. — Miał bardzo zazdrosną żonę i wciąż ją ma. Co więcej, ona trzyma rękę na domowej kasie. — Potem ze zjadliwą nutką w głosie, której przedtem nie było, dodała: — Jest jedną z tych amerykańskich multimilionerek, które odziedziczyły dolary w spadku i polując na tytuł, zalewają Europę niczym szarańcza; rwą się do panów wielkich rodów w taki sam sposób, jak do obrazów i wszelkiego rodzaju *objets d'art*.

Jej gwałtowna nienawiść do żony hrabiego tak bardzo rzuciła się w oczy, że Ancella postanowiła nie zadawać już więcej pytań, lecz księżna nie chciała przerwać rozmowy.

— Kobiety to harpie — powiedziała. — Wszystkie kobiety! Potrzebują mężczyzn tylko po to, by coś z nich mieć. Wyssą ich do ostatniej kropli krwi! Są nienasycone — domy, konie, klejnoty, stroje — nie ma nic takiego, czego nie zażądałyby od mężczyzny, i oczywiście jeśli są pozbawione skrupułów i dostatecznie mądre, zmuszą ich także, by dali im swoje nazwisko! Ostrzegałam Vladimira, ostrzegałam go! Ale on mnie nie słucha tak jak Serge. — Głos jej się załamał i tylko wymamrotała pod nosem: — Harpie! Wiedźmy! Wampiry bez serc, bez duszy, a mężczyźni są tak głupi, że nie potrafią im uciec.

W milczeniu jechały w kierunku willi d'Azar. Dopiero później księżna spokojniejszym już głosem rzekła:

— Mieszane małżeństwa między ludźmi różnych narodowości zawsze są błędem. — Spojrzała na Ancellę i dodała: — Myślisz, że ta angielska markiza chce poślubić mojego syna?

Ancella szybko się zastanowiła, po czym powiedziała:

— Wasza Wysokość zapomina, że przyjechałam dopiero wczoraj.

— Tak, tak, oczywiście. Ale kiedy Vladimir się ożeni, co nie powinno nastąpić przed moją śmiercią, to koniecznie z Rosjanką — z Rosjanką!

Ancella nic nie odpowiedziała, lecz teraz idąc na górę pomyślała, że to co doktor Groves powiedział o księżnej, tłumaczy jej wczorajszy wybuch niechęci wobec kobiet.

Było jej ogromnie przykro, że księżna starając się pozostać piękną i atrakcyjną, w gruncie rzeczy zniszczyła wszystko, co pragnęła zachować.

Rozumiała teraz, dlaczego różowała twarz i pociągała usta czerwoną szminką, co w Anglii uważano za wysoce niestosowne. Jedyne wiadomy typ kobiet, o których nie wypada nawet wspominać, używa wszelkiego rodzaju kosmetyków.

Przynajmniej ciotki Ancelli zawsze tak mówiły; ale nie mogła się powstrzymać od podejrzeń, że markiza nie miała tak perłowobiałej cery, jak się to wydawało wieczorem, a niezwyklej odcień różu na wargach nie był wyłącznie dziełem natury.

Ale stosowała środki upiększające z ogromnym zjawstwem.

Poprzedniej nocy w kasynie Ancella widziała kobiety, które wcale nie kryły się z tym, że są bardzo mocno

umalowane, chociaż nie było wątpliwości, iż właśnie dzięki temu wyglądały niezwykle pociągająco.

Księżna pracowała nad nowym systemem gry.

Jej łóżko było zasłane kartkami papieru z obliczeniami, kopiami ruletki i pół tuzinem książek, które jak dowiedziała się Ancella, są do nabycia w Monte Carlo i opisują rozmaite „niezawodne” systemy.

Były ich dziesiątki — *Gra Turyńska, Gra Samurśka, Trójkąt Pascala, Dominujące Liczby, Rachunek Różniczkowy a Astrologia.*

Kosztowały od pół szylinga do dwudziestu czterech funtów, lecz Ancella była pewna, że gdyby któraś z tych metod istotnie przynosiła szczęście, to osoba, która ją odkryła, nie czułaby się zobowiązana do jej ujawnienia.

Ale w kasynie widziała wiele kobiet z którąś z tych książek.

— Zastanawiam się, czy nie miałabym więcej szczęścia w bakarata — powiedziała księżna z zadumą.

— Ciekawa jestem, czy Jego Wysokość wygrał wczorajszej nocy — rzekła Ancella bez zastanowienia.

— Grał w bakarata? — spytała księżna.

— Gdy przekazywałam mu od pani wiadomość, wydawało mi się, że miał taki zamiar — odpowiedziała Ancella.

— A kto z nim był? — zainteresowała się księżna.

Ancella zbyt późno się zorientowała, że lepiej było nie wspominać o tym, co się wydarzyło, ale teraz nie pozostało jej nic innego, tylko powiedzieć prawdę.

— Markiza.

— No właśnie! — rzuciła księżna ostrym tonem. — Jestem absolutnie przekonana, że ta kobieta nie powinna się tu zatrzymywać, a Boris powiedział mi, że...

Przerwała, jakby uświadomiła sobie, że może być niedyskretna i podnosząc z łóżka kartkę papieru, zaczęła ją analizować.

Wkrótce nadszedł czas, żeby księżna przebrała się do lunchu i kiedy zniesiono ją na dół, razem z idącą za nią Ancellą weszła do salonu, w którym zgromadzili się już goście.

Dwanaście osób, wśród których znalazły się dwie dystygowane pary z sąsiednich willi. Ancella została przedstawiona gościom, lecz nikt nie próbował z nią rozmawiać, więc się dyskretnie wycofała.

Podczas lunchu toczyła się ogólna rozmowa, dzięki czemu nie musiała prowadzić konwersacji z dżentelmenami siedzącymi po obu jej stronach.

Księżę Vladimir siedział przy stole na głównym miejscu, naprzeciwko matki.

Ancella zauważyła, że księżna obserwuje syna, wsłuchując się w każde słowo skierowane do markizy, która siedziała z jego prawej strony i wyglądała niezwykle pięknie.

Gdy kończono wyborny posiłek, księżna spytała:

- Co robisz dziś po południu, Vladimirze?
- Jadę do Monte Carlo, mamó.

Mówił do matki głosem pełnym miłości i ciepła, a Ancella, która nie mogła się powstrzymać przed patrzeniem na niego podczas lunchu, pomyślała to samo co wczoraj w nocy — bez wątpienia jest najatrakcyjniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu.

Nie tylko dlatego, że jest taki przystojny; ale również dlatego, że jego twarz ożywia się, kiedy mówi, że błyszczą mu szarozielone oczy, a na ustach igra uśmiech, któremu nie można się oprzeć.

Nie rozmawiał z nią przed lunchem, gdyż była w drugim końcu pokoju, a gdy księżna powitała swoich gości, niemal natychmiast podano do stołu.

Ancelli wydawało się jednak, chociaż nie była tego pewna, że zerknął na nią raz czy dwa razy. Potem pomyślała, że to zarozumiałe z jej strony sądzić, iż w ogóle zauważył jej istnienie.

— Ciekawa jestem — odezwała się markiza, gdy tylko księżna skończyła mówić — czy mogłabym skorzystać z powozu dziś po południu? Muszę zrobić parę sprawunków w Beaulieu.

— Ależ oczywiście — odpowiedział księżę. — Zamówię dla ciebie lekki dwuosobowy powóz. Przekonasz się, że jest bardzo wygodny.

— Dziękuję ci, Władimirze — rzekła markiza, uśmiechając się do niego z widocznym wyrazem zażyłości w niebieskich oczach.

— Skoro wybiera się pani do Beaulieu — wtrącił kapitan Sudley — to czy mógłbym także pojechać? Chcę między innymi kupić parę nowych spinek do kołnierzyków.

— Ależ oczywiście — odparła markiza. — Jeżeli nie przeszkadza panu to, że zamierzam spędzić trochę czasu w sklepach.

— Postaram się nie okazywać zniecierpliwienia — powiedział śmiejąc się głośno.

Z pewnością mądrze to zaplanował, pomyślała Ancella, przypomniawszy sobie, jak umawiali się z markizą, kiedy przysłuchiwała się im ukryta pod balustradą. Okazało się, że pozostali goście mają coś do zrobienia, natomiast baron Mikhovovitch stwierdził całkiem zdecydowanie, że zamierza się położyć i odpocząć.

— Te nocne godziny są bardzo męczące — zauważył.

— Dla kogoś, kto przegrywa pieniądze, są jeszcze bardziej męczące — zaśmiał się ktoś.

— To prawda — zgodził się baron.

— Wiecie państwo, wczorajszej nocy wydarzyło się w kasynie coś niezwykłego — powiedział kapitan Sudley.

— Co takiego? — spytała markiza.

— Zostawiłem panią i Jego Wysokość przy grze w bakarata — odrzekł Freddie Sudley — ponieważ zobaczyłem znajomego, nazywa się Harnsworth. Ściśle rzecz biorąc, jest członkiem mojego klubu. Stał przy stole do ruletki, przy tym, przy którym pani grała, Wasza Wysokość. — Zwrócił się do księżnej, która słuchała go, podobnie jak reszta gości przy stole. — Harnsworth stał tam trzymając w obu rękach znaczną sumę pieniędzy — kontynuował kapitan. — Podszedłem do niego i powiedziałem: „Szczęśliwa passa, Harnsworth? Zazdroszczę ci!” Spojrzał na mnie z dziwnym wyrazem twarzy. Po czym odpowiedział: „Był tu anioł, który wygrał je dla mnie! Teraz ta kobieta zniknęła i nie mogę jej znaleźć!” — „Anioł?” — wykrzyknąłem. „Dobry Boże! W tym miejscu nie ma wielu aniołów!” Śmiałem się, mówiąc te słowa. Prawdę powiedziawszy, myślałem, że jest pijany. „To był anioł”, nalegał, „i nie mogę w to uwierzyć!” — „Ja także!” powiedziałem mu, „Ale ta znajomość chyba dobrze ci zrobiła! Jeszcze jedna rundka?” — Przez chwilę nie odpowiadał, po czym oznajmił: „Wracam do mojej żony, Sudley, i oboje padniemy na kolana, by podziękować Bogu za to, że nam pomógł”. — Kapitan Sudley zawahał się, zanim dokończył: —

Mówił tak poważnym tonem i z takim przekonaniem, że wiedziałem na pewno, iż nie tylko jest zupełnie trzeźwy, ale także wierzy w to, co mówi!

— Co za niezwykła historia! — krzyknął baron.

— Pragnęłabym, żeby jakiś anioł zechciał mi pomóc! — zawołała markiza, wybuchając na chwilę śmiechem, który przypominał głos dzwonów, jak ktoś to kiedyś określił.

— Naprawdę mu pan uwierzył? — spytała księżna.

— Cóż, coś mu się musiało przywidzieć — odpowiedział kapitan Sudley. — Ale było to całkiem realne, poza tym nigdy nie słyszałem, żeby Harnsworth miał takie zasoby pieniężne, by mógł pozwolić sobie na grę o równie wysokie stawki.

— Wszyscy musimy poszukać aniołów! — wykrzyknęła markiza. — Czyż nie byłoby to cudowne, gdyby udało nam się je znaleźć?

Księżna wstała i lunch się zakończył.

Ancella była niezmiernie rada, że nie powiedziano nic więcej na temat anioła. Wkrótce zapomną o wygranej Harnswortha, pomyślała, gdy tylko w kasynie wydarzy się coś podniecającego. — Chwała Bogu, nikt mnie z nim nie widział.

Doskonale wiedziała, że jej życie stanie się nie do zniesienia, jeśli księżna i jej goście zorientują się, iż w jakikolwiek sposób mogłaby przynieść im szczęście przy stole. Księżna poszła się położyć i Ancella wróciła do swojego pokoju.

Mając teraz wolny czas postanowiła, że nie będzie go tracić w domu, lecz pójdzie do parku.

Przyszło jej do głowy, żeby naszkicować widok z willi od strony Ezy.

Kiedy chorował jej ojciec i nie opuszczała jego pokoju, często szkicowała, żeby go zabawić. Czasami rysowała ludzi, czasami krajobrazy, konie, krowy, świeżo ustawiony stóg siana czy też krzewy w ogrodzie.

Przywiozła ze sobą do Monte Carlo blok rysunkowy i biorąc teraz ołówki pomyślała, że jeśli szkic będzie udany, może go później pokolorować.

Słońce grzało mocno i nie było wiatru, kiedy po marmurowych stopniach schodziła do ogrodu.

Drzewa dawały chłodny cień, a kwiaty o jaskrawych barwach wyglądały jak klejnoty na zielonym tle.

Morze mieniło się błękitem, a fale nie rozbijały się dziś o cypel, tylko cicho pluskały.

Ancella nie podeszła do balustrady. Skręciła w lewo i znalazła miejsce w cieniu wielkiego drzewa chleba świętojańskiego, które już wcześniej zauważyła.

Tutaj miała wspaniały widok na zatokę Moors, a za nią, na tle niebieskiego nieba, wyraźnie rysował się spiczasty szczyt Ezy, konturami przypominający zamek. Było to tak urocze, że przez parę minut siedziała tylko i patrzyła, aż w końcu, jakby karcąc się za to, że traci czas, otworzyła szkicownik i wzięła ołówki.

Rysowała przez jakiś czas, zastanawiając się, czy będzie możliwe, aby dostała powóz i pojechała na Ezę lub na półwysep St. Hospice, kiedy nie będzie tam markizy i kapitana Sudleya.

Potem pomyślała, że jest bardzo zarozumiała: oczywiście, że nie może poprosić o powóz, a jeśli chce zobaczyć Ezę, będzie musiała wejść na nią pieszo.

Zastanawiała się, ile czasu jej to zabierze. Kiedy podniosła głowę, by znów spojrzeć na wysoki szczyt, poczuła, że ktoś stoi tuż za nią.

Wiedziała, kto to jest, zanim się odezwał.

— Nie miałem pojęcia, że jest pani artystką — rzeki księżę.

Ancella chciała wstać, ale powiedział szybko:

— Nie, proszę się nie ruszać.

Usłuchała i spojrzała na stojącego nad nią mężczyznę. Jego głowa rysowała się na tle ciemnozielonych gałęzi drzewa. Ich oczy się spotkały i w niewytłumaczony sposób stało się coś dziwnego, tak jak ostatniej nocy w kasynie, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy.

Spojrzeni na siebie i nie była w stanie odwrócić oczu.

— Zatem sprawdziła się pani liczba — rzucił.

Nie udawała, że nie rozumie.

— Skąd... pan wie? — spytała nerwowo.

— Widziałem, jak stała pani przy stole razem z mężczyzną, któremu pani pomogła — wyjaśnił księżę.

— Jego Wysokość... nie powie... o tym... nikomu?

— Oczywiście, że nie — odpowiedział. — Jestem zadowolony, przez wzgląd na panią, że nie zobaczyli pani, tak jak ja.

Westchnęła cicho z ulgą.

— Mam tyle pytań — zaczął — ale zdaje sobie pani sprawę, że tutaj nie możemy rozmawiać?

Mimo woli spojrzała przez ramię w stronę willi.

— Właśnie — potwierdził. — Do której jest pani wolna?

— Do piątej.

— Tak przypuszczałem. Mamy zatem sporo czasu.

Ancella czekała. Nie była pewna, co zamierza jej zaproponować, ale wiedziała, że się zgodzi bez względu na wszystko.

— Wracam do willi — oświadczył. — • Odjadę moim samochodem, jakbym wybierał się do Monte Carlo.

— Pańskim... samochodem? — spytała Ancella.

— Boi się pani takiej jazdy?

— Oczywiście, że nie!

— Zatem będę czekał na panią przy drodze. Proszę skrócić w prawo, kiedy wyjdzie pani za bramę.

Ancella spojrzała na niego rozszerzonymi oczami, powiedział więc z uśmiechem:

— Jest pani Angielką. Spodziewają się, że pójdzie pani na spacer. — Ancella nie odezwała się, dodał więc po chwili: — Proszę mi dać mniej więcej dziesięć minut. Samochód nie zawsze zapala tak szybko, jak bym chciał.

Uśmiechnął się i odszedł nonszalanckim krokiem.

Chcąc, by ich spotkanie wyglądało na przypadkowe, poszedł do końca małego ogrodu, po czym znowu wrócił z drugiej strony.

Ancella dalej szkicowała, ale nie bardzo wiedziała, co rysował jej ołówek.

Serce waliło jej jak młotem i ogarniało ją dziwne podniecenie. Książę chciał z nią rozmawiać, podobnie jak ona z nim.

Nie powinnam tego robić, pomyślała, ale z drugiej strony, dlaczego nie?

Był panem domu. Był niejako jej pracodawcą, tak jak księżna.

Powiedział jej, żeby się z nim spotkała, i nie było w tym nic złego. Wiedziała jednak, że jeśli rozejdzie się wieść o ich spotkaniu, to nie tylko wyda się to dziwne, ale także rozzłości księżną.

Doktor Groves powiedział, że jest chorobliwie zazdrosna o syna.

Chociaż Ancella pomyślała, że byłoby śmieszne sądzić, iż Jego Wysokość może być nią w jakikolwiek sposób zainteresowany, nie była jednak tak naiwna, żeby nie wiedzieć, iż księżna poczułaby się dotknięta, gdyby jej syn zainteresował się, nawet pozornie, kobietą, która była służącą.

Muszę być ostrożna... bardzo ostrożna!

I choć rozsądek nakazywał jej nie wychodzić, zamierzała spotkać się z księciem, tak jak proponował.

Zaczekała dziesięć minut, które wlekły się w nieskończoność. Potem zamknęła blok rysunkowy, wspięła się wolno po marmurowych schodach, przeszła przez taras, salon, aż dotarła do swej sypialni na górze.

Włożyła słomkowy kapelusz, kupiony w Londynie, i pięknie przystroiła go białymi różyczkami harmonizującymi z białym kołnierzykiem i mankietami przypiętymi do jasnoliliowej sukni, którą miała na sobie. Podnosząc torebkę oraz parasolkę, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i dostrzegła, że oczy błyszczą jej z podniecenia.

Muszę wyglądać zwyczajnie, pomyślała i rozmyślnie wolno zeszła po schodach do holu.

Kiedy dotarła do drzwi frontowych, majordomus, który rozmawiał z jednym z lokai, podszedł do niej i powiedział:

— Jeśli chciała pani jechać do Beaulieu, *M'mselle*, to jaśnie pani przed chwilą wyruszyła w drogę.

— Wybieram się na spacer — odpowiedziała Ancella — Muszę zażyć trochę ruchu.

Majordomus uśmiechnął się.

— *Ah! Les Anglaises!* — wykrzyknął. — Zawsze chcę być w ruchu. Francuzka raczej by odpoczęła o tej porze.

Ancella się uśmiechnęła i zaczęła wchodzić pod górę krętym podjazdem, a nie chcąc sprawiać wrażenia osoby, która się spieszy, zatrzymywała się co jakiś czas, żeby popatrzeć na geranium.

Dopiero kiedy doszła do bramy wychodzącej na drogę i skręciła w prawo, przyspieszyła kroku z nieokreślonym zapałem, by odnaleźć księcia.

Czekał w odległości stu jardów i kiedy zobaczyła na drodze jego samochód, wstrzymała oddech ze zdziwienia.

Jasnożółty pojazd miał otwarty czarny dach i czerwone skórzane siedzenia.

Księżę podszedł do niej, gdy tylko się ukazała.

Wyciągnął rękę i kiedy nieśmiało podała mu swoją dłoń, podniósł ją do ust.

— Trochę się bałem, że zabraknie pani odwagi, by tu przyjść — powiedział.

— Chciałam zobaczyć... samochód Waszej Wysockości — wymamrotała Ancella.

— A także, mam nadzieję, jego właściciela — odpowiedział.

Patrzyła na samochód, gdyż była zbyt onieśmielona, by spojrzeć na księcia. Rzekł:

— Pozwoli pani, że pomogę jej wsiąść i pojedziemy tak wolno, by nie zdmuchnęło pani kapelusza. Ale jeśli boi się pani go stracić, to mam szyfonowy szal, którym może go pani przewiązać.

Podał jej szal i nic nie mogła poradzić na to, że zaczęła się zastanawiać, ile kobiet używało go przed nią.

Zakręcił korbą samochodu, uruchamiając z łatwością silnik i łagodnie ruszyli.

— Co to za samochód? — spytała Ancella.

— Panhard — odpowiedział — ostatni model. Kupiłem wóz tej marki po wspaniałym wyczynie Emile'a Levassora w wyścigu z Wersalu do Bordeaux przed trzema laty.

— A cóż on zrobił?

— Jechał przez czterdzieści osiem godzin i czterdzieści osiem minut. Tylko raz się zatrzymał, w Bordeaux, zaledwie na dziesięć minut. Było to nadzwyczajne osiągnięcie.

— Ależ to z pewnością nowy samochód — zauważyła Ancella.

— Właśnie mi go dostarczono — odrzekł książę. — To już mój trzeci panhard. Drugi zamówiłem po wyścigu Paryż—Marsylia. Musiała pani o nim słyszeć?

— Obawiam się, że nie — wyznała Ancella przepraszającym tonem.

— O czym wy rozmawiacie w Anglii? — spytał książę i roześmiał się. — Naprawdę sądziłem, że wszyscy na świecie słyszeli o wyścigu na ponad tysiąc mil; proszę sobie wyobrazić, że ukończyło go piętnaście z *trzydziestu* dwóch samochodów, które stanęły na starcie.

— I wygrał panhard?

— Istotnie! A ten najnowszy model osiąga prędkość piętnastu mil na godzinę! — I jakby uznał, że na myśl o tym Ancella może się przerazić, dodał: — Ale nie ośmieliłbym się wieść pani z taką prędkością. Nie zapominam, że przybyła pani z Anglii, gdzie jeszcze dwa lata temu obowiązywało ograniczenie prędkości do czterech mil na godzinę.

— Teraz to zmieniono — szybko odpowiedziała Ancella.

— Wiem — odrzekł książę — ale karze się grzywną za przekroczenie dwunastu mil na godzinę, co moim zdaniem jest śmieszne, skoro w krótkim czasie samochody będą mogły jeździć z prędkością trzydziestu mil.

— Ależ to zbyt duża prędkość! — krzyknęła Ancella.

— Proszę nie oczekiwać, że zgodzę się z panią, gdyż zostałem właśnie członkiem Klubu Automobilowego Wielkiej Brytanii i Irlandii — oznajmił książę. — Utworzono go w zeszłym roku.

— Zamierza pan brać udział w wyścigach w Anglii? — spytała Ancella.

Mówiąc to pomyślała, że może zdobędzie dzięki temu pewność, iż zobaczy go po swym wyjeździe z Monte Carlo.

— Kiedy zorganizujecie wyścigi, postaram się je wygrać — odparł książę. — Tymczasem jest ich mnóstwo we Francji.

Rozmawiając jechali główną drogą, z której teraz skręcili przy Lower Corniche i zaczęli wjeżdżać pod górę wąską, krętą dróżką, mając po jednej stronie głębokie wąwozy, a po drugiej — wzgórze.

Kwiaty chowały się w parowach i w kępach traw porastających stoki. Ancella widziała kwitnące maki, perłowobiałe gwiazdy betlejemskie i dzikie orchidee.

Różowe kwiaty okrywały migdałowce i drzewa brzoskwińowe, a mimoza mieniła się złotem.

Jakież to podniecające jechać tak samochodem i patrzeć na otaczające ją zewsząd piękno. Jednocześnie z trudem mogła oderwać myśli od księcia.

Świetnie zdawała sobie sprawę, jaki jest atrakcyjny, kiedy prowadzi samochód ze znanstwem, które zauważyła i podziwiała.

Czasami droga stawała się wyboista.

— Pewnego dnia zabiorę panią do Monte Carlo — powiedział książę: — Aby mieć pewność, że widzów *Concours d'elegance* nie okryją tumany kurzu, Blanc sprowadził włoskiego specjalistę, który pokrył powierzchnię drogi smołą.

— Smołą? — spytała Ancella ze zdziwieniem.

— Dzięki temu nawierzchnia jest równa, wspaniale się po niej jeździ i nie ma kurzu — odpowiedział książę.

Ancella pomyślała, że jeśli to prawda, oznacza ogromny postęp.

Chociaż siedziała z przodu i wydawało się jej, że wieje wiatr, wiedziała, iż zostawiają za sobą ogromny obłok kurzu, który z powodu upału wisi w suchym powietrzu niczym mgła.

Wkrótce dojechali do drogi powyżej Lower Corniche i Ancella zobaczyła ogromną skałę — Eżę, a u jej podnóża kilka oddalonych od siebie domów, otoczonych wysokimi, rzucającymi cień drzewami.

W dole paru starszych mieszkańców wioski grało w kule, a mali chłopcy naśladowali ich grę kamiennymi kulkami. Kilka wieśniaczek napełniało naczynia i prało ubrania w dużej kamiennej fontannie.

Wszyscy przerwali swoje zajęcia na widok samochodu zatrzymującego się w cieniu ogromnego drzewa; wieśniacy otoczyli pojazd, przyglądając mu się z lękiem i podziwem.

Książę wybrał z gromady gapiów mniej więcej czterastoletniego chłopca i powiedział mu, żeby pilno-

wal samochodu. Po czym pomagając Ancelli wysiąść, poprowadził ją do miejsca, z którego zobaczyła wąską ścieżkę biegnącą urwiskiem w górę.

— Mam nadzieję, że starczy pani sił — powiedział książę. — To podejście ma około pięciuset stóp.

— Lubię spacerować — odparła Ancella.

— Tak myślałem — rzekł. — Mieszka pani na wsi?

— Tak.

— Wiedziałem! Byłem pewien, że nie jest pani dzieckiem miasta.

Nie spytała go, skąd to wie, i poszli dalej, wspinając się w kierunku dużej bramy prowadzącej do wioski. Uliczka była tak wąska, że pod górę można było wjechać tylko na koniu, ale starannie pokryta płytami i biegnącym pośrodku ozdobnym wzorem z czerwonej cegły.

Po obu jej stronach znajdowały się niezwykle malownicze domy jak ze średniowiecznego miasta. Zbudowano je solidnie, wszystkie piętra i drzwi były zwieńczone kamiennymi łukami.

Gdy szli uliczką pod górę, Ancella widziała dziwne stare klatki schodowe, kamienne posagi za małymi bramami z kutego żelaza i wijące się po ścianach gęste kolorowe pnącza.

Rosły tam rododendrony, azalie, róże i słodko pachnące kapryfolium, lecz książę prowadził ją dalej, dopóki nie doszli do końca wioski i na sam szczyt Ezy.

Zachował się tutaj fragment nierównych kamiennych murów pochodzących chyba jeszcze z czasów Saracenów. Obok stała otoczona kwiatami ławka z widokiem na morze.

Zacieniał ją baldachim z dzikich róż oraz powoi i Ancella pomyślała, że nie potrafiłaby sobie wyobrazić bardziej romantycznego miejsca czy zachwycającego widoku. Po obu stronach widzieli ciągnące się milami wybrzeże, a przed sobą ciemnoniebieskie, przechodzące w jasnoszmaragdowe, skrzące się w upalnym popołudniowym słońcu Morze Śródziemne.

— Ależ tu ślicznie! — zawołała Ancella, gdy księżę usiadł obok niej. — Dziękuję, że przywiózł mnie pan w tak piękne miejsce!

— Jak wspominałem, chcę z panią porozmawiać — przypomniał księżę — a tutaj przynajmniej jesteśmy sami, nikt nas nie zobaczy.

Ancella nie odpowiedziała. Podziwiała widoki świadoma, że księżę nie spuszcza z niej oczu.

— Nie jestem zdziwiony — zauważył cicho — że ten mężczyzna w kasynie uznał panią za anioła. Kiedy panią ujrzałem, od razu pomyślałem, że wygląda pani jak anioł!

W jego głosie zabrzmiała nuta, która zmusiła Ancellę, żeby natychmiast na niego spojrzeć. Po czym opuściła oczy, tak że jej rzęsy wydawały się bardzo ciemne na tle jasnej, twarzy.

— Sądzę... że chyba przesadził... to po prostu był... szczęśliwy traf.

— Naprawdę? — spytał księżę.

Ancella czując, że musi odpowiedzieć zgodnie z prawdą, wyznała:

— Był zrozpaczony. Mając nadzieję, że zdobędzie pieniądze na opłacenie operacji, której musi się poddać jego żona, przegrał wszystko, co miał. I nic im nie zostało, oboje by umarli, gdybym im nie pomogła.

— Jak się pani to udało?

— Ja... ja miałam po prostu... przecucie, że dany numer... wyjdzie.

— Skąd pani to wiedziała?

— Nie potrafię... wyjaśnić.

Bezradnie rozłożyła ręce.

— I sądzi pani, że w ten sposób mogłaby pani pomóc każdemu?

— Nie. Jestem pewna, że byłoby to niemożliwe — odparła szybko. — Jak powiedziałam, sprawił to po prostu... przypadek. Ten mężczyzna był zrozpaczony! Gdyby ktoś chciał zdobyć pieniądze jedynie dla... przyjemności, jestem pewna, że... nic nie mogłabym zrobić. — Po chwili dodała: — Dlatego... błagam pana, aby nie...

Księżę wyciągnął rękę i położył na jej dłoni.

— Nie musi mi pani tego mówić — rzekł. — Dokładnie wiedziałem, co pani czuła podczas lunchu.

— Wiedział... pan? — spytała Ancella.

Mówienie przychodziło jej z trudem, gdyż pod dotykiem jego ręki doznawała dziwnego uczucia.

Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć. Podniecenie, które czuła od chwili, kiedy poprosił ją o spotkanie, stało się tak silne, że było niemal bolesne, a jednocześnie — cudowne!

— Ancello, spójrz na mnie — poprosił swym niskim głosem.

Nie zdziwiło jej, że zwrócił się do niej po imieniu. Posłusznie odwróciła głowę i podniosła na niego oczy.

— Jesteś bardzo piękna — powiedział. — Ale to nieważne. — Wpatrując się w nią swymi szarozielonymi

mi oczami, mówił dalej: — Wiem, że za wcześnie na wyjaśnienia, za wcześnie na słowa, ale sądzę, że czujesz tak jak ja, iż coś się stało, kiedy spotkaliśmy się wczoraj w nocy.

Ancella nie mogła nic powiedzieć, ale czuła, że gdy patrzą na siebie, ich oczy mówią więcej, niż potrafiliby wyrazić słowami.

Książę westchnął cicho i cofnął rękę.

— Przynaglłam cię, jeszcze jest za wcześnie, powinienem poczekać — rzekł. — Zdaję sobie z tego sprawę, ale wszystkie argumenty wydają mi się nieprzekonywające, nierzeczowe. Liczy się tylko to, co teraz czuję, i wydaje mi się, chociaż mogę się mylić, że to rozumiesz. — Ancella wciąż nie mogła zdobyć się na odpowiedź, więc po chwili dodał: — Jesteś taka śliczna, tak niewiarygodnie piękna, na pewno wielu mężczyzn musiało ci to mówić.

Ancella zdobyła się na nikły uśmiech.

— Nie... nikt... tego nie powiedział.

— Jestem pierwszy?

Kiwnęła potakująco głową.

— I nikt cię nie całował?

Zarumieniła się, mówiąc zdecydowanie:

— Oczywiście, że... nie!

— Och, moja kochana, nie wierzyłem, że to możliwe, by spotkać kobietę, która wygląda tak jak ty, poznać ją w kasynie i wiedzieć, że jest niewinnym aniołem! — Uśmiechnął się dodając: — Może to było prorocze, że kiedy się urodziłaś, nazwano cię Ancella.

— Niewiele osób wie, że po grecku to znaczy... anioł.

— Trochę zaniedbałem grekę — rzekł książę — ale przypomniałem sobie to słowo, gdy tylko się przedstawiłaś.

— Nie powinien pan... rozmawiać ze mną w ten sposób — powiedziała z trudem Ancella. — Zostałam zatrudniona przez Jej Wysokość i gdyby wiedziała, że jesteśmy... razem... chyba odesłałaby mnie... z powrotem do Anglii.

— Dlatego, mój słodki aniele, musimy bardzo uważać — wyjaśnił książę.

Ancella wyprostowała się.

— Nie będzie ku temu powodu, Wasza Wysokość. Zaśmiała się cicho.

— Robisz mi wyrzuty, i słusznie. Ale razem przeszliśmy już tyle, że nie możemy wrócić do punktu wyjścia. To niemożliwe!

Ancella też tak pomyślała, ale stanowczo nie mogła pozwolić księciu, by zwracał się do niej w taki zażyły sposób.

— Przywiózł mnie pan tutaj, żebym zobaczyła Ezę... — zaczęła.

— Nic podobnego — przerwał jej książę. — Przyjechaliśmy tutaj, ponieważ musiałem cię zobaczyć i porozmawiać z tobą na osobności. Niedługo mieszkasz w willi, ale na pewno wiesz, że Boris donosi mojej matce o wszystkim, co się dzieje. Podślučuje pod drzwiami, a czego nie dosłyszysz, sam zmyśla.

— Tak przypuszczałam — przyznała Ancella, wiedząc teraz, kto przeszukał jej pokój, gdy tylko przyjechała. — Ale jeśli pan ó tym wie... czemu... go pan trzyma?

— Ponieważ zawsze był osobistym służącym mojej matki, a ona lubi wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. To ją bawi i na ogół nikomu nie szkodzi. Jednocześnie... — Twarz mu się zasepiła, gdy powiedział zmienionym głosem: — Nie wierzę Borisowi i nigdy go nie lubiłem,

— Uważam, że to okropny człowiek — rzekła An-
cella. — I boję się go!

— Czy zachował się impertynencko wobec ciebie?
— ostro spytał ksiązę.

— Nie, nie, oczywiście, że nie! Po prostu na myśl o nim... ciarki mnie przechodzą, a poza tym świadomość, że jest się... obserwowanym, uwłacza godności Anglika.

Zastanawiała się nad tym, czy powiedzieć księciu, że jest pewna, iż Boris przeszukał jej pokój i przejrzał rzeczy, ale wiedziała; że nie ma żadnych dowodów i wydałoby się to mało ważne.

— Chcę, aby matka była szczęśliwa — oświadczył ksiązę. — Lekarz ci powie, że niekiedy bardzo się martwi i denerwuje. Zatem kiedy jest ze mną, tu czy gdzie indziej, staram się jej nie denerwować. Dlatego nie chcę, aby się dowiedziała, że spotkaliśmy się dzisiejszego popołudnia. I to jest jedyny powód!

Mówił stanowczo i szczerze, a Ancella wiedziała, że nie wstydzi się tego, iż pragnął się z nią spotkać, i gdyby mógł, otwarcie by się do tego przyznał.

Była zadowolona. Jednocześnie cały czas się zastanawiała nad tym, co pomyślałaby markiza.

— Opowiedz mi o sobie — poprosił ksiązę.

— Niewiele jest do opowiadania — odrzekła An-
cella. — Od śmierci matki prowadziłam spokojne życie

na wsi. Przez ostatni rok opiekowałam się ciężko chorym ojcem, który zmarł zaledwie miesiąc temu.

— Nie prowadziłaś zatem ożywionego życia towarzyskiego i poznałaś bardzo niewielu mężczyzn.

— Bardzo niewielu — potwierdziła z uśmiechem.

— Może dlatego nie jesteś zepsuta i przez to taka wyjątkowa — zauważył książę. — Ale chodzi też o coś więcej.

— O co? — spytała bez zastanowienia.

— O uczucie, jakie do siebie żywimy.

— Chyba... pan się... myli — powiedziała Ancella. — Może to tylko dlatego, że spotkaliśmy się... tak niespodziewanie... a później zobaczył pan, jak robię coś... co może się nie powtórzyć... przez następne tysiąc lat.

— Ale jeśli się powtórzy, będę tam! — krzyknął książę. — Wiem o tym tak, jak jestem pewien, że tysiąc lat temu siedzieliśmy w tym miejscu i rozmawialiśmy ze sobą albo odnaleźliśmy siebie, tak jak stało się to wczorajszej nocy.

Powiedział to takim tonem, że zadrżała, choć nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć.

Kiedy poprzedniego dnia przysłuchiwała się rozmowie, którą prowadził przy balustradzie, przyłapała się na tym, że słucha raczej jego głosu niż tego, co mówi.

Teraz brzmiało to niemal jak muzyka, która poruszyła w niej jakąś nieznaną strunę, tak że z trudem się powstrzymała, by nie wyciągnąć ręki i go nie dotknąć.

— Pewnie mi powiesz, że jestem Rosjaninem i o wiele łatwiej poddaję się uczuciom niż Europejczyk. Ale przysięgam ci, Ancello, że nigdy w życiu nie darzyłem kobiety podobnym uczuciem!

— Co... próbuje... mi... pan powiedzieć? — spytała szeptem Ancella.

— Że zakochałem się w tobie od pierwszego wejścia!

— Ależ to... nonsens!

— Naprawdę? Czyż nie poczułaś tego samego, kiedy na siebie spojrzeliśmy? Oboje wiedzieliśmy, że stało się coś dziwnego, że rozpozналиśmy się nawzajem.

— To... nie może być... prawdą — powiedziała Ancella drżącym głosem.

— To prawda i wiesz o tym — odrzekł. — Kiedy cię tu przywożem, nie miałem zamiaru ci tego mówić. Chciałem z tobą porozmawiać, może cię oczarować czy też, jeśli mam być szczery, zabiegać o twoje względy. W zamian powiedziałem ci, co czuje moje serce. Pragnę, żebyś i ty wyznała mi, co czuje twoje.

— To... niemożliwe! Wie pan, że to... niemożliwe!

Właśnie gdy to mówiła, przypomniała sobie, że w Rosji, tak jak we Francji i często w Anglii, małżeństwa były kojarzone. Przypomniała sobie, co księżna sądziła o małżeństwach mieszanych, i zrozumiała, że jeśli książę mówi o miłości, to nie jest to miłość, która kończy się małżeństwem.

Nadludzkiem wysiłkiem zmusiła się, żeby oświadczyć stłumionym głosem:

— Sądzę, że Wasza Wysokość się myli, a ponieważ zatrudnia mnie pańska matka, powinnam postępować rozważnie i nie słuchać tego, co pan mówi. Albo porozmawiamy o czymś innym, albo musimy wracać do willi.

— Wiedziałem, że uznasz to za przedwczesne wyznanie — rzekł książę. — Ale kiedy jestem z tobą,

mogę mówić tylko prawdę, bo czuję, że jakiegokolwiek wykręty lub udawanie są nienaturalne. — Westchnął. — Mogę cię tylko prosić, żebyś mi wybaczyła. — Wyciągnął dłoń do góry wewnętrzną stroną. — Wybaczysz mi, mój mały grecki aniele?

Ancella czuła, że drży, słysząc jego pełne namiętności słowa. Nie mogła się powstrzymać, by nie wziąć go za rękę.

Jego palce zacisnęły się na jej dłoni, a kiedy ją pocałował, poczuła, jak całe ciało osłabło od dotyku jego ust.

Puścił jej rękę i wstając powiedział:

— Chodźmy! Muszę odwieźć cię do domu, ale najpierw napijemy się wina w starej tawernie, która jestem pewien, już tutaj istniała, kiedy przybyli Rzymianie.

Ślizgając się trochę na gładkich skałach, zeszli kawałek niżej i książę otworzył drzwi domu, na którym widniał szylt przedstawiający okręt z taranem. Wewnątrz było ciemno i chłodno. W jednym końcu stał dębowy bar i dwie ławy z drewna obok masywnych stołów.

Usiedli i książę zamówił butelkę wina u sympatycznej kobiety w stroju wieśniaczki, która miała na sobie białą, lnianą haftowaną fartuszek.

Gdy poszła po wino, na zapleczu rozległ się krzyk płaczącego kapryśnie dziecka, i kiedy kobieta wróciła z butelką, Ancella spytała po francusku:

— Czy to pani dziecko płacze, *Madame*?

— Mały ząbkuje — odpowiedziała. — I jest taki rozdrażniony, że nic nie mogę z nim zrobić. Płacze nie tylko w ciągu dnia, ale i w nocy, co bardzo złości mojego męża. Proszę wybaczyć, *Madame*, jeśli zirytował panią.

Zanim Ancella zdążyła się odezwać, odeszła, by wrócić z talerzem oliwek i krzyczącym dzieckiem pod pachą.

Było malutkie, ciemnowłose, raczej drobne i sprawiało wrażenie nieszczęśliwego, tak jakby i ono spędziło parę bezsennych nocy.

— Czy próbowała pani dać mu trochę miodu? — spytała Ancella.

— *Mieli* — krzyknęła kobieta. — Po co?

— Uspokoi go i pozwoli mu usnąć — wyjaśniła Ancella.

— Mamy mnóstwo miodu — powiedziała kobieta.

— Ile powinnam mu dać?

— Tylko troszkę, na końcu palca — rzekła Ancella — i pół łyżeczki do butelki. — Mając wrażenie, że kobieta przygląda się jej podejrzliwie, spróbowała ją przekonać. — Obiecuję, że dzięki temu nie będzie płakało, natomiast stanie się silne. Miód jest bardzo dobry dla dzieci.

— Nigdy o tym nie słyszałam! — zawołała kobieta.

— Ale teraz sobie przypominam, że moja teściowa czasami wciera miód w bolący ząb.

Podeszła do baru, rozejrzała się i znalazwszy to, czego szukała, postawiła garnuszek z miodem na ladzie. Ancella wstała.

— Potrzymam małego, kiedy będzie mu to pani dawała — zaproponowała.

Kobieta popatrzyła na nią ze zdziwieniem, ale podała jej niemowlę.

Wciąż głośno kaprysiło.

Ancella trzymała je mocno w ramionach, kołysząc łagodnie. Mały zapłakał słabo i ucichł.

Kobieta otworzyła garnuszek, znalazła łyżeczkę, którą nabrała trochę miodu i nałożyła go sobie na koniec palca.

Zawahała się i spytała:

— Jest pani pewna, że to mu nie zaszkodzi?

— Przyrzekam, że zdziwi się pani widząc różnicę — odpowiedziała Ancella.

Matka włożyła dziecku miód do buzi. Rozchyliło usta jakby do płaczu, ale potem zaczęło zachłannie ssać.

— Smakuje mu — stwierdziła zdziwiona. — Mogę dać mu jeszcze trochę?

— Odrobinę, tylko nie za dużo! — ostrzegła Ancella. — Później będzie mu się chciało pić, ale zawsze kiedy będzie niespokojne, może mu pani dawać miód. I trochę na noc, to mu nie zaszkodzi. Będzie lepiej spało.

— To dopiero! — zawołała kobieta. — Mówi pani tak, jakby sama miała z pół tuzina dzieciaków.

— Mam nadzieję, że kiedyś będę miała syna — odrzekła Ancella z uśmiechem.

Kobieta dała dziecku jeszcze trochę miodu. Ssało z zadowoleniem. I gdy Ancella kołysała je w ramionach, uspokojone zamknęło oczy.

— Naprawdę ma zamiar spać — stwierdziła zdziwiona matka.

— Proszę go włożyć do łóżeczka i ciepło otulić — powiedziała Ancella. — Uśnie, a kiedy obudzi się na karmienie, niech mu pani da na koniec posiłku trochę miodu i pamięta, żeby zawsze robić to wieczorem, tuż przed położeniem spać.

— Nie zapomnę — obiecała kobieta — i nie tylko ja będę panią błogosławiła, *Madame*, ale także mój mąż. Ma już dość tego ciągłego budzenia!

— Na pewno — zgodziła się Ancella. — Może pani spróbować i jemu dać miodu.

Kobieta roześmiała się, jakby wzięta to za dowcip. Po czym spytała:

— Mówi pani poważnie, *Madame*?

— Oczywiście — rzekła Ancella. — Miód wszystkim pomaga dobrze spać, a szczególnie dzieciom i starszym ludziom.

— *Tiens*, człowiek uczy się przez całe życie — zauważyła kobieta zabierając dziecko.

Ancella czuła, że zaniedbała księcia i siadając znowu przy nim na drewnianej ławie nieśmiało uśmiechnęła się do niego.

— Czy niosący pomoc anioł nigdy nie odpoczywa? — spytał.

Wiedziała, że się z nią drażni, i uśmiechnąwszy się powiedziała:

— Mój ojciec uważał, że jedynie miód pozwala mu zasnąć, a ja zawsze miałam pewność, że będzie miał po nim lepszy humor.

— Jesteś pełna niespodzianek — oznajmił. — Jak słusznie zauważyła ta kobieta, człowiek uczy się przez całe życie.

Ancella pociągnęła łyk wina. Miało delikatny zapach i choć nie było tak wyborne, jak to, które pili w willi, smakowało jej.

Książę nie spuszczał oczu z twarzy Ancelli, a ona czuła rosnące zakłopotanie.

— To wnętrze jest bardzo stare — powiedziała, rozglądając się po niskiej ciemnej tawernie. — Zastanawiam się, ile osób siedziało tu w ciągu wieków, martwiąc się o siebie i o swą przyszłość.

— Nie interesuje mnie przeszłość czy przyszłość
— odparł księżę — tylko teraźniejszość i ty.

Czuła, że drży, słysząc jego niski, przepełniony miłością głos. Mówił dalej:

— Wiesz, że to co się nam przytrafiło, różni się od tego, co spotkało nas w życiu do tej pory!

— W moim... życiu — zgodziła się Ancella — ale...

— Nie ma żadnego „ale” tam, gdzie chodzi o nas — przerwał. — To jest zupełnie inne i absolutnie cudowne.

Ich oczy się spotkały i Ancella wciągnęła powietrze. Gdzieś w oddali usłyszała, jak bije zegar.

— Powinniśmy... wracać — oznajmiła.

— Trudno mi uwierzyć, że czas może tak szybko płynąć — zauważył księżę.

Odstawił kieliszek, położył obok niego parę franków i wstał. Otwierając drzwi zawołał:

— *Au revoir, Madame, et merci!*

— *Merci beaucoup, Monsieur et Madame!* Byli państwo bardzo uprzejmi. Proszę znów tu wkrótce przyjść!

— Przyjdziemy — obiecał księżę.

Wyszli na słońce i zaczęli schodzić w dół do samochodu, który czekał na nich, wciąż otoczony tłumem podziwiających go wieśniaków.

Księżę pomógł Ancelli zająć miejsce z przodu i hojnie wynagrodził małego chłopca, który pilnował auta. Po czym uruchomił silnik i samochód ruszył.

Jazda krętą drogą w dół sprawiała, że włosy stawały na głowie i Ancella przypominała sobie opowieści o pojazdach, w których psuły się hamulce i dochodziło do katastrofy.

Ale nieszczęśliwy wypadek się nie wydarzył i właśnie gdy dojechali do końca drogi, tam gdzie zbiegała się ona z Lower Corniche, książę spytał:

— Byłaś ze mną szczęśliwa?

— Wie pan, że... byłam — odrzekła Ancella.

— Tylko to chciałem usłyszeć — powiedział.

— Musimy coś wymyślić, żeby znowu być razem, jutro czy pojutrze, ale nie zawsze będzie to łatwe. Rozumiesz?

— Rozumiem — przytaknęła Ancella stłumionym głosem.

— Wiem, co sobie myślisz — rzekł książę — ale to nieprawda. Chcę być z tobą. Chcę cię wszędzie zabierać, pokazać światu, lecz na razie to niemożliwe.

— Przerwał i po chwili wolno mówił dalej: — Nie będę nic wyjaśniał, gdyż wierzę, że nie musimy porozumiewać się słowami. Chcę cię tylko prosić, żebyś mi zaufała. Zrobisz to?

Mówił z taką szczerością w głosie, że Ancella wiedziała, iż zrobi i obieca wszystko, o co ją poprosi.

Spojrzała na niego i oczy ich się spotkały. Świat znieruchomiał w swoich obrotach.

— Ja... panu wierzę — wyszeptała.

ROZDZIAŁ 5

- Musimy wracać.
- Nie ma pośpiechu.
- Co pomyślą służący? — mówiąc to markiza wyprostowała się i jęknęła cicho z bólu, jakby zeszywniały jej plecy.

— Niech diabli wezmą służących! — zawołał Freddie Sudley. — Po raz pierwszy odkąd przyjechaliśmy na południe, przyjemnie spędzam czas!

— Mam wyrzuty sumienia — oznajmiła markiza — nie dlatego, że tutaj jesteśmy, ale dlatego, że powinniśmy się zastanowić nad tym, skąd wziąć pieniądze na opłacenie naszych rachunków. Dziś rano dostałam pełen złości list od Paquina.

- Jakich złości?
- Straszą, że mnie zaskarżą!
- Ile jesteś im winna?
- Prawie dwa tysiące funtów!
- Mój Boże, Lily! — krzyknął Freddie Sudley.
- Na co wydałaś taką masę pieniędzy?
- Muszę się ubierać — powiedziała markiza.
- Jak dobrze wiesz, tylko mężczyźni uważają, że

można być piękną bez żadnego upiększania, i plotą, że „młodość nie potrzebuje szminki”.

— Ale czy szminka musi być tak potwornie droga?

— Kiedy zamawiałam większość sukien, sądziłam, że lord Corwen zamierza za nie zapłacić, ale jak wiesz, zostawił mnie i ożenił się z tą młodą dziewczyną o tłustej twarzy, tylko dlatego, że posiadłość jej ojca graniczy z jego własną.

— Corwen, jak dobrze wiemy, zachował się haniebnie — przyznał Freddie Sudley — i dlatego księżę...

— Wiem, wiem — przerwała mu markiza. — Nie ma potrzeby w kółko tego powtarzać, ale wkrótce muszę coś zrobić.

— Co masz na myśli? — spytał Freddie Sudley.

Patrzył w górę na rosnące nad nim gałęzie drzew, lecz teraz także się wyprostował i poprawił krawat.

— Naprawdę nie wiem — rzekła markiza. — Wczoraj w nocy po powrocie z kasyna leżałam w łóżku i zastanawiałam się nad tym, czy nie popełniam jakiegoś błędu.

— Na początku wieczoru wydawało się, że księżę jest w tobie zakochany — zauważył Freddie Sudley.

— Był — zgodziła się markiza. — Kiedy spotkaliśmy się po obiedzie, na który zaprosił go Wielki Księżę Michaił, miałam wrażenie, że naprawdę się ucieszył na mój widok. — Westchnęła cicho. — Potem, kiedy poszliśmy grać w bakarata — ciągnęła — zaproponowałam, że usiądę obok niego, lecz chciał, abym także zagrała. Dał mi trochę pieniędzy, ale wiesz tak samo jak ja, że trudno zbliżyć się do kogoś przy stole hazardowym.

— Wygrałaś? — spytał Freddie Sudley innym już tonem.

— Trochę — odpowiedziała markiza. — A to oznacza, że mogę sobie zostawić wszystkie pieniądze, jakie dał mi książę. Przyniosłam ci je. Poszukaj w mojej torebce.

— Dziękuję, Lily! — Mówiąc to kapitan Sudley wyciągnął rękę i podniósł jasnoniebieską atłasową torebkę, którą markiza położyła pod drzewem. Otworzył ją i gwizdnął cicho. — Ale się obłowiłaś!

— Wyślij część tych pieniędzy swoim wierzycielom w Anglii — błagała markiza. — Freddie, obiecaj mi, że to zrobisz.

— W drodze powrotnej zatrzymamy się przed pocztą — zgodził się Freddie Sudley. — Nawet sto funtów da im odczuć, że sprawy idą we właściwym kierunku.

— Dla Paquina sto funtów nic nie znaczy. — Zapadła cisza, a po chwili markiza powiedziała: — Mam pomysł!

— Jaki? — spytał Freddie Sudley.

— Próbowałam niemal wszystkich swoich sztuczek na księciu — odrzekła. — Prowokowałam go, kusiłam, byłam oschła i pełna rezerwy. Próbowałam nawet wzbudzić w nim zazdrość.

— Z jakimś skutkiem?

— Był uroczy, delikatny, schlebiał mi, ale nigdy nie powiedział tego, co chciałam.

— Jaki masz pomysł?

— Pamiętasz, w jaki sposób Daisy Warwick zdobyła księcia Walii?

— Jego Królewska Wysokość połknął z pewnością haczyk, ale nigdy nie wiedziałem, jak wyciągnęła z wody tę rybę.

— Powiem ci — rzekła markiza. — Wypłakała się w jego kamizelkę i poprosiła go o pomoc.

— Z jakiego powodu?

— Na pewno pamiętasz, a może byłeś wtedy ze swoim pułkiem za granicą — odpowiedziała markiza.

— Poszło o bardzo niedyskretny list, który napisała do lorda Charlesa Beresforda. Małżonka Charlesa otworzyła go i zagroziła, że opublikuje. Książę Walii próbował pomóc Daisy, ale mu się nie udało.

— I kiedy trwały pertraktacje, Jego Wysokość się zakochał?

— Właśnie! A jedyną sztuczką, której nie wypróbowałam na księciu, są łzy.

— Większość mężczyzn nie lubi płaczących kobiet — zauważył Freddie Sudley.

— Ty się przejmujesz, kiedy płacę.

— Oczywiście, że tak, ale ty jesteś inna.

— Książę też tak powinien uważać — powiedziała markiza. — Będę mu się wypłakiwała w kamizelkę, wyglądając przy tym bardzo ponętnie i kusząco.

Freddie parsknął głośno.

— Zachowaj dla siebie te informacje — rzucił szorstko. — Wiesz, że nie mogę znieść myśli, iż jesteś z innym mężczyzną, nawet jeśli nie mamy innego wyboru.

— Rzeczywiście nie mamy — zgodziła się markiza. — Ale Freddie, przecież wiesz, kogo kocham?

Odwrocił się do niej.

— Naprawdę mnie kochasz? — spytał. — Bardziej niż innych mężczyzn, których znałaś?

— Wiesz, że tak — odpowiedziała markiza z nutą szczerości w głosie. — Och, Freddie, gdybyś tylko był

bogaty! Jacyż bylibyśmy szczęśliwi i jak świetnie moglibyśmy się razem bawić!

— Biednemu zawsze wiatr w oczy.

— A my jesteśmy biedakami — westchnęła markiza — siedzimy po uszy w długach, grozi nam postępowanie sądowe i nie wiemy, jak z tego wybrnąć!

— Wydawało mi się, że właśnie przyszedł ci do głowy jakiś pomysł.

— Na pewno warto go wypróbować — rzekła markiza z zadumą. — Im więcej o nim myślę, tym większą mam pewność, że jest dobry. Nic bardziej nie przemawia do uczuć silnego i władczego mężczyzny niż słaba i bezradna kobieta.

— Miejmy nadzieję, że masz rację.

— Oby tak było — przytaknęła. — Nie wolno nam więcej ryzykować. To naprawdę szaleństwo przychodzić tutaj dzisiejszego popołudnia.

— Nie rozumiem dlaczego — wyznał ponuro Freddie Sudley. — Powiedzieliśmy, że będziemy podziwiali krajobraz, i Bóg mi świadkiem, że to jedyna rzecz, za którą nie trzeba płacić w tej części świata.

Markiza wyciągnęła rękę i podniosła torebkę, którą położył obok niej. Wyjęła małe lusterko i przejrawszy się w nim, krzyknęła z przerażeniem.

— Jak ja wyglądam! Włosy opadają mi na plecy, a suknię mam tak pomiętą, że na pewno wyda się to dziwne pokojówce z willi.

— Włóż kapelusz — rzekł Freddie — a będziesz wyglądała oszałamiająco, tak jak zawsze. Kiedy wstąniesz, oczyszczę ci ubranie.

— Ależ mężczyźni mają szczęście — rzuciła zirytowana markiza. — Bez względu na to co robicie,

nigdy, jak się wydaje, nie ma to wpływu na wasz wygląd.

Freddie uśmiechnął się.

— Nie sprawiłoby mi różnicy, gdyby miało. Cudownie, że dziś po południu mogliśmy być tu sami, Lily. Myślałem, że oszaleję, jeśli dalej będę musiał prowadzić z tobą tylko uprzejme pogawędki, nigdy nie mając cię dla siebie nawet przez chwilę.

— Wszędzie pełno Borisa, tego okropnego służącego — powiedziała markiza. — Przygląda mi się tymi przymkniętymi oczami i mam uczucie, iż lada chwila przyłapię się na histerycznym wyznawaniu moich grzechów, po prostu dlatego, że się go boję.

— Rosjanie są mistrzami indagacji — zauważył Freddie. — Jeśli będzie zachowywał się impertynencko wobec ciebie, powiem o tym księciu. W końcu jest sługą Jej Wysokości, a nie jego.

— Wiesz, że Vladimir nie chce słyszeć złego słowa o swojej matce — warknęła ze złością markiza. — Ktoregoś dnia, kiedy zaczęłam ją troszkę krytykować, Vladimir przerwał mi gniewnie.

— Głupio zrobiłaś — zauważył Freddie.

— Wiem. Więcej już tego nie zrobię.

Włożyła ogromny słomkowy kapelusz przystrojony niebieskimi i białymi kwiatami, które harmonizowały z jej suknią, i odpowiednio przypięła go dwiema długimi szpilkami o niebieskich łebkach.

Uśmiechnęła się czarująco do siedzącego obok mężczyzny.

— Chyba musimy już iść — powiedziała i uświadomiła sobie, że Freddie Sudley patrzy na nią z ogniem w oczach.

— Jeśli będziesz się tak do mnie uśmiechała — ostrzegł — nie pozwolę ci odejść.

— Och, proszę cię, Freddie, nie zaczynaj wszystkiego od nowa! — krzyknęła natychmiast. — I tak zniknęliśmy na parę godzin. Służba zacznie nas szukać, jeśli nie będziemy ostrożni.

— Służba! Zawsze martwisz się o służbę — rzucił ze złością Freddie. — A powinnaś mieć wzgląd na moje uczucia.

— Mam wzgląd na naszą trudną sytuację — odpowiedziała z nutą godności w głosie. — Próbuję wybawić nas z przerażających kłopotów, a gdyby Władimir zaczął podejrzewać, że łączy nas coś więcej niż przyjaźń, jak wiesz, oznaczałoby to koniec naszych planów!

Mówiła tak poważnym tonem, że Freddie Sudley skapitulował.

— Masz rację. Musimy wracać. — Wstał i wyciągając ręce, pomógł markizie się podnieść. Potem objął ją i pocałował delikatnie w usta. — Dziękuję ci, kochanie. Byłaś dzisiaj jak zawsze cudowna.

Markiza uwolniła się od niego i zaczęła czyścić suknię.

— Otrzep mnie z tyłu, Freddie, sam masz na spodniach parę zeschniętych liści.

Przyjrzeni się sobie uważnie. Potem podnosząc niebieską parasolkę od słońca, markiza poszła przodem między drzewami i zobaczyła niski, lekki powóz oraz czekającą przy drodze służbę w liberii.

Gdy lokaj pomógł im wsiąść, markiza powiedziała:

— Wracamy do willi, ale najpierw proszę się zatrzymać przed pocztą w Beaulieu.

— *Certainement, Madame* — powiedział lokaj, po czym wskoczył na kozioł obok woźnicy.

Markiza otworzyła parasolkę i wytwornie trzymała ją nad głową.

Gdy jechali wąską, pokrytą kurzem drogą przez St. Hospice, myślała o tym, że przyjemnie byłoby posiadać dwuosobowe powozy, jednokonne karety, kabriolety, landa i zawsze gotową na rozkazy służbę, która by ich wozila.

Punktualnie o piątej Ancella przyszła do sypialni księżnej jedynie po to, by się dowiedzieć, że jest niepotrzebna.

— Jest u niej ta Cyganka, *M'mselle* — powiedziała Maria. — A później przyjdzie astrolog. *Le Bon Dieu* wie, że nie są warci czasu i pieniędzy, jakie Jej Wysokość na nich traci, ale skoro ją to bawi...

— Mogę wrócić do swojego pokoju? — spytała Ancella. — A gdyby Jej Wysokość mnie potrzebowała, może da mi pani znać?

— Dobrze, *M'mselle* — zgodziła się Maria. — Proszę trochę odpocząć. Słyszałam, że była pani na spacerze. To zbyt męczące w taki upał.

Ancella zorientowała się, że sprawa jej spaceru była z pewnością roztrząsana przez większość służby w willi.

Poczuła lekki dreszcz strachu na myśl, że mogliby się dowiedzieć, gdzie naprawdę była, ale uznała, że książę był nadzwyczaj ostrożny.

Kiedy zostawił ją na drodze niedaleko willi, odjechał do Monte Carlo i istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, żeby ktoś się zorientował, iż wyruszając zaraz po lunchu, przybył tam dwie godziny później, niż powinien.

Wróciła do willi oszołomiona, a słońce wydawało się jej bardziej złociste niż poprzednio.

Bez przerwy zastanawiała się nad tym, co powiedział jej książę, myślała o jego ustach całujących jej rękę, czuła na skórze dotyk jego warg.

W pokoju stanęła przy oknie, patrzyła na lazuruowe morze i myślała, że teraz wszystko ma jakiś czar, którego przedtem nie miało.

Czy kiedykolwiek mogła przypuszczać lub wyobrazić sobie, że gdzieś na świecie jest mężczyzna taki jak książę Vladimir, który powie jej tak czarujące rzeczy i obudzi w niej uczucia, z jakich nigdy nie zdawała sobie sprawy?

— Czy to miłość? — spytała, obawiając się odpowiedzi.

Wszystko to było zbyt kłopotliwe, zbyt trudne do zrozumienia. Co miał na myśli mówiąc, że się w niej zakochał? A jeśli to prawda, jakie ma zamiary?

Powiedział, że nie interesuje go przyszłość, tylko teraźniejszość. Ale Ancella, choć niewinna, wiedziała, że to bardzo niebezpieczne wyznanie.

Może wrócić do Rosji, zostawiając za sobą, jak ostrzegął ją doktor Groves, górę zranionych serc. Jej pozostawała tylko Anglia i jałowa, pełna ograniczeń egzystencja u boku ciotek, chyba że...

Ancella aż bała się pomyśleć o takiej możliwości.

Uznała, że to szaleństwo wyobrazać sobie choć przez chwilę, iż książę Vladimir będzie chciał poślubić nieznaną Angielkę, która była damą do towarzystwa i pielęgniarką jego matki.

Nawet gdyby był gotów zastanowić się nad „mieszanym małżeństwem”, jak to zjadliwie określała księżna,

z pewnością nie zawarłby go z kimś, kto jego zdaniem stoi niżej w hierarchii społecznej.

Jak w tych okolicznościach mogła wierzyć jego uroczystym zapewnieniom o miłości?

Wszystko było takie przygnębiające, a jednocześnie nic nie mogła poradzić na to, że czuła się niewypowiedzianie szczęśliwa i podniecona tylko dzięki temu, co jej powiedział i jak na nią patrzył.

Pomyślała, że żaden mężczyzna nie powinien być tak przystojny i atrakcyjny, żeby nie można mu się oprzeć. To nieuczciwe wobec kobiet.

Tak długo siedziała, wyglądając przez okno i myśląc o księciu, że nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, iż najwyższy czas zacząć się przebierać do obiadu.

Liczącym się damom, takim jak markiza, które przyjeżdżały z wizytą, pokojówki przygotowywały kąpiel w sypialni. Do pokoju przynoszono olbrzymie srebrne dzbany z gorącą i zimną wodą, którą napełniano nasiadówkę, ustawioną w dogodnym miejscu na dywanie.

Ancella wiedziała, że tak samo odbywało się to w znamienitych angielskich domach i że każdą wielką damę przeraziłby pomysł chodzenia w szlafroku po korytarzu.

Ku zdumieniu Ancelli w willi znajdowało się kilka łazienek, z których jedna prawie przylegała do jej sypialni i jak się dowiedziała, mogła z niej korzystać.

Łazienka była bogato zdobiona: podłoga z białego marmuru, ściany wyłożone kafelkami, ozdobne złote kurki. Ancella pomyślała, że to coś lepszego niż ciągle kłopotanie się koniecznością napełniania gorącą i zimną wodą wanny, którą trzeba przynieść do sypialni.

Leżała wyciągnięta w gorącej wodzie, zastanawiając się, dlaczego więcej osób nie ma łazienek przy swoich sypialniach; poza wszystkim oszczędziłoby to ludziom ogromnie dużo pracy. Co prawda nie miało to żadnego znaczenia, gdyż w bogatych domach było mnóstwo pokojówek i lokai, gotowych nosić srebrne lub mosiężne dzbany wysoko po schodach i na każdą odległość.

Ancella dodała do kąpieli olejku z fiołków, które jak zobaczyła na butelce, pochodziły z Grasse.

Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie miała okazję obejrzeć fabrykę, która dostarcza wszystkich najszlachetniejszych francuskich perfum.

Tyle rzeczy chciałabym zrobić, gdybym miała czas, pomyślała, nie wiedząc, jak długo uda się jej pozostać na Lazurowym Wybrzeżu.

Kiedy wróciwszy do sypialni podeszła do szafy, by wyjąć suknię, zorientowała się, że podczas jej kąpieli była tu pokojówka, która położyła na łóżku wieczorowe stroje. Obok siebie leżały dwie suknie — biała, kupiona przed wyjazdem z Londynu, i czarna, którą przywiozła myśląc, że może ją włożyć, gdy będzie spędzała wieczory tylko z księżną.

Teraz przyjrzała się jej z uwagą i pomyślała, że chyba tę suknię powinna wybrać na dzisiejszy wieczór.

W pełni zdawała sobie sprawę, że istnieje niebezpieczeństwo, iż ktoś skojarzy ją z osobą, która wygrała pieniądze dla pana Harnswortha i którą kapitan Sudley tak plastycznie opisał przy lunchu.

Jeśli znowu zobaczą mnie w bieli, pomyślała, może przypomną sobie, jak wyglądałam wczorajszej nocy.

Było to mało prawdopodobne, istniało jednak pewne niebezpieczeństwo.

Włożyła czarną, zdecydowała i zaczęła się zastanawiać, czy książę, jeśli nie lubi czerni, może dojść do wniosku, że nie jest piękna.

Doprowadzona do rozpacz, powiedziała sobie, że nie może bez przerwy myśleć o księciu: to, co on uważa za dobre lub złe, nie powinno jej powstrzymywać przed robieniem tego, co słuszne.

Kiedy jednak się ubrała i spojrzała na swe odbicie w stojącym w rogu pokoju dużym lustrze w mahoniowej ramie, doszła do wniosku, że wygląda dość smętnie i niepozornie.

Ale wcale tak nie wyglądała.

Czarna suknia została uszyta z bardzo cienkiego materiału i ozdobiona na ramionach kropkowaną siatką. Odcieniem nie przypominała głębokiej czerni i widać było, że kupując ją, Ancella jak zwykle wykazała dobry smak.

Wyglądała w niej tak samo dziewczęco, jak w białej, gdyż suknia przeznaczona była dla młodej osoby.

Ale Ancella, patrząc raczej na strój niż na siebie, nie zdawała sobie sprawy, że stanowi on wspaniałą oprawę dla jej jasnej karnacji. Zdawał się podkreślać delikatną niebiańskość jej drobnej pociągłej twarzy, ogromne szare oczy i miękkie jasnozłote włosy.

Nie miała na sobie biżuterii, a jednak zdołało ją jakieś dziwnie uduchowione piękno.

Gdy weszła za Jej Wysokością do salonu, książę pomyślał, że Ancella wygląda jak pierwsza biała smuga słońca, kiedy wschodząc nad horyzontem zdaje się spychać czerń nocy, wciąż zasnuwającą niebo.

Gwałtownie odwrócił głowę, bojąc się, że zbyt wiele można by wyczytać z wyrazu jego twarzy.

Tego wieczoru na obiedzie gościło więcej niż dwadzieścia cztery osoby: stół ozdobiono orchideami i oświetlono ogromnymi złotymi kandelabrami, które księżna przywiozła z Rosji.

Przygotowano jeszcze wyśmienitszy obiad niż poprzedniego dnia; dla Ancelli było zbyt wiele dań, chociaż dzięki zdobytemu już doświadczeniu zjadła bardzo niewiele z tego, co podano na początku, więc nie musiała później dziękować za kolejne potrawy.

Wśród gości było dzisiaj kilku niesłychanie wesołych i rozbawionych Francuzów, a ponieważ na przyjęciach w willi nie obowiązywała sztywna dworska etykieta, wszyscy rozmawiali ze sobą, nie ograniczając się do najbliższych sąsiadów przy stole.

Ancella przyłapała się na tym, że interesowało ją i bawiło samo przysłuchiwanie się konwersacji.

Dyskutowano o polityce, plotkowano o wielu osobach przebywających w Monte Carlo, obgadywano księcia Walii, który gościł właśnie w Cannes.

Tylko księżna sprawiała wrażenie nieco zamyślanej. Ancella zastanawiała się, czy astrolog i Cyganka zniechęcili ją swymi przepowiedniami do gry, ale pomyślała, że to mało prawdopodobne.

Byli na tyle przebiegli, by dawać swoim klientom przynajmniej nadzieję, jeżeli nic więcej nie mieli do zaoferowania, a milczenie księżnej pewnie wynikało ze zmęczenia lub z chęci jak najszybszego zakończenia obiadu i ponownego spotkania się z hrabią Andre w kasynie.

Ancella nie mogła się powstrzymać, żeby od czasu do czasu nie zerknąć na koniec stołu, chociaż starała się tego unikać.

Kiedy patrzyła na niezwykle przystojnego i swobodnie zachowującego się księcia Vladimira — który śmiał się i rozmawiał z markizą siedzącą po prawej jego stronie, lub z pełną życia francuską hrabiną zajmującą miejsce po lewej stronie — zastanawiała się, czy wszystko, co wydarzyło się po południu i to, co jej powiedział, było tylko snem.

Czy się omyliła? Czy źle zrozumiała jego słowa i wyraz jego oczu?

W porównaniu z siedzącymi przy stole kobietami czuła się bardzo młodo i naiwnie.

Cóż wiem o życiu czy... miłości? zapytała siebie.

Była tylko młodą dziewczyną ze wsi, nieobeznana z regułami życia towarzyskiego, w które nie została wprowadzona jako debiutantka, co zapewniłaby jej matka, gdyby żyła.

Nagle zapragnęła uciec, wrócić do Anglii i być sama. Wiedziała, że powodem tego jest ból, jaki czuje, patrząc na księcia. Ból, który płynął z głębi serca.

Gdy tylko zakończono obiad, księżna jak najszybciej chciała wyruszyć do Monte Carlo.

Zapędziła panie do salonu i gdy wnoszono ją na górę do sypialni, poleciła Ancelli, by poszła po swój płaszcz wieczorowy, gdyż nie zamierzała na nikogo czekać.

Tak jak poprzedniej nocy, same znalazły się na drodze do Monte Carlo i pędząc, jak się wydawało, na złamanie karku, pozostawiły resztę gości w tyle.

— Dzisiaj mam zamiar grać w bakarata — oznajmiła księżna.

— Mam nadzieję, że pani wygra, *Ma'am* — odpowiedziała Ancella.

— Mój astrolog powiedział, że gwiazdy mi sprzyjają. Trzeba przyznać, że nie potrafił dokładnie określić dnia, w którym wszystkie będą mi przychylne, ale z pewnością nastąpi to w tym tygodniu.

— Będę się pani przyglądała z ogromnym zainteresowaniem — rzekła Ancella. — Wydaje mi się, że trochę trudno zrozumieć tę grę.

— Jedyłą trudnością — odparła księżna — jest wyciągnięcie karty, która wygrywa.

To było nie do odparcia. Ancella pograżyła się w milczeniu i wyglądała przez okno, zastanawiając się, czy w tawernie dziecko śpi spokojnie po zjedzeniu miodu.

Kasyno wydawało się równie jasno oświetlone jak poprzedniej nocy, ale dziś jeszcze bardziej przypominało tort weselny.

Na księżną czekał już fotel na kółkach, którym szybko przewieziono ją przez „Kuchnię”, gdzie do każdego stolika przywarło po sześciu graczy.

W *Salle Touzet* także pełno już było kobiet obwieszonych wspaniałymi klejnotami i niewątpliwie wybitnych mężczyzn.

Wydawało się, że niemal wszyscy znają księżnę, która wolno przesuwiała się w kierunku stołów, gdyż bez przerwy ktoś podchodził do niej porozmawiać.

Był między nimi wysoki dystyngowany mężczyzna z małym wąsikiem, co do którego Ancella miała pewność, że jest Rosjaninem, nawet zanim się odezwał.

Nie myliła się.

— Dobry wieczór, Wasza Cesarska Wysokość — powiedziała księżna. — Mój syn był zachwycony wczorajszym obiadem z panem.

— Mam nadzieję, że i pani uczyni mi ten zaszczyt któregoś wieczoru — odrzekł Wielki Książę Michaił.

— Gdy tylko mnie pan zaprosi — oświadczyła niemal kokieteryjnie.

Wielki Książę zawiesił oko na Ancelli, kiedy stanęła obok krzesła książęcej. Po chwili powiedział:

— Nowa twarz w kasynie, i jaka śliczna. To swego rodzaju wydarzenie. Nie przedstawi mnie pani?

Księżna krzyknęła cicho, jakby przypomniawszy sobie nagle o obecności Ancelli, i pospieszyła z wyjaśnieniem:

— Wasza Cesarska Wysokość pozwoli, że mu przedstawię pannę Ancellę Winton, moją damę do towarzystwa i pielęgniarkę, która właśnie przyjechała z Anglii.

Ancella pochyliła się w głębokim ukłonie.

— Jestem pewien, że panna Winton dobrze się panią opiekuje — zauważył Wielki Książę.

— Istotnie — przyznała księżna. — A teraz, jeśli Wasza Cesarska Wysokość pozwoli, poszukam miejsca przy stole do bakarata.

Wielki Książę się cofnął, by zrobić miejsce dla fotela na kółkach, a gdy Ancella chciała także przejść, ku swemu zdumieniu poczuła na ramieniu dłoń.

— Chwileczkę, panno Winton — powiedział cicho Wielki Książę. — Chciałbym z panią porozmawiać. Czy wypiłaby pani ze mną kieliszek szampana?

Przez moment Ancella była zbyt zaskoczona, żeby odpowiedzieć. Potem rzekła szybko:

— Obawiam się, że to niemożliwe, Wasza Cesarska Wysokość. Księżna życzy sobie, abym jej towarzyszyła.

— Kiedy ludzie grają — oznajmił Wielki Książę — są głusi i ślepi na wszystko, co się wokół nich dzieje. Spotkajmy się w barze później, mniej więcej za godzinę.

— To niemożliwe — odparła Ancella, lecz on jedynie się do niej uśmiechnął i rzekł stanowczo:

— Będę czekał!

Szybko się odwróciła i pospieszyła za księżną.

Poczuła się zdenerwowana zaproszeniem Wielkiego Księcia.

Zeszłej nocy wydawało się jej, że nikt nie zwróci na nią uwagi i pozostanie tylko anonimową postacią w błyszczącym tłumie kobiet zapełniających kasyno.

Ale nikt nie mógł się mylić, nawet ktoś tak niewinny jak ona, co oznacza blask, jakim płonęły oczy Wielkiego Księcia, i sposób, w jaki się do niej zwracał.

Ancella pomyślała, że musi być mądra i mieć się na baczności, gdyż nie chciała wiązać się z Wielkim Księciem.

Nie tylko sir Feliks i doktor Groves opowiadali o rosyjskich wielkich księżętach, o ich rozrywkach i wyuzdanych szaleństwach.

Był to jeden z wielu zarzutów wobec Monte Carlo, że przyciąga wielkich utracjuszy ze wszystkich krajów, a rosyjscy wielcy książęta należeli do najbardziej znanych i szczególnie rozrzutnych.

Idąc w kierunku stołu do bakarata, przy którym księżna znalazła już miejsce, nie mogła się powstrzymać, żeby się nie obejrzeć.

Zobaczyła, że Wielki Książę wciąż stoi w tym samym miejscu, ale przyłączyła się do niego dama nosząca wysadzany perłami i najeżony egretami diadem. Wo-

kół szyi miała owinięte trzy sznury olbrzymich pereł, które sięgały jej prawie do kolan.

Chociaż Ancella nie wiedziała, kim są kręcący się po kasynie ludzie z wielkiego towarzystwa, nikt, nawet ktoś, kto mieszkał na wsi, nie mógł się mylić co do pozycji obwieszanej ozdobami, egzotycznej postaci Gaby Delys.

Była francuską aktorką, która nagle stała się sławna.

Angielskie czasopisma zamieszczały zdjęcia i rysunki przedstawiające ją i chyba nikt nie mógł wspomnieć o Paryżu, nie opisując Gaby, jej pereł i kapeluszy z piórami.

Ancella przypomniała sobie, co powiedziała sir Feliksowi, i nie mogła opanować uśmiechu.

Z pewnością jestem małym angielskim wróbelkiem w porównaniu z takim rajskim ptakiem, powtórzyła w myśli.

Po czym stojąc za fotelem księżnej, usilnie próbowała zrozumieć grę, podczas której karty wyciągano z czegoś, co nazywano „butem”.

Księżna grała mniej więcej kwadrans, nim pojawili się markiza oraz księżę Vladimir i usiedli z drugiej strony stołu.

Ancella zobaczyła, że księżę położył sporo pieniędzy przed markizą, podczas gdy sam zadowolony był o wiele skromniejszą pulą.

Przez chwilę wydawało się, że żadne z nich nie zauważyło księżnej. Markiza podniosła swą śliczną twarz i spojrzała na księcia niebieskimi oczami w sposób, który nazbyt dobitnie wyrażał jej intencje.

Jak może się oprzeć komuś tak pięknemu? zastanowiła się Ancella.

Pomyślała, że musi wyglądać szaro i nieciekawie w porównaniu z markizą, której przetkana srebrem suknia była bardzo *decollete*. Nosiła naszyjnik z turkusów i diamentów, a długie kolczyki wysadzone tymi samymi kamieniami zwisały z jej doskonale ukształtowanego uszu. We włosach miała białą egretę, którą przytrzymywała diamentowa broszka, a nad długimi, zakrywającymi łokcie rękawiczkami z białej skóry zapięte były dwie bransoletki.

Wyglądała naprawdę imponująco i dostojnie, w dodatku była tak piękna, że Ancella odniosła wrażenie, iż rzeczywiście byłaby odpowiednią żoną dla księcia.

Stanowiłaby ozdobę klejnotów księżnej, które kiedyś będą jego, szczególnie dobrze wyglądałaby w olbrzymiej błyszczącej sali balowej Pałacu Zimowego, a jeszcze piękniej, kiedy otulona futrami podróżowała by saniami po okrytym śniegiem kraju.

Ancella, zatopiona w myślach o markizie i księciu, które zadawały jej dziwny ból, jaki odczuła już przy obiedzie, nie zorientowała się, że hrabia Andre przyłączył się do nich, dopóki nie usłyszała, jak księżna mówi:

— Dzięki Bogu, że tu jesteś, Andre! Niedobrze mi się robi od tego siedzenia i patrzenia, jak ta kobieta po drugiej stronie stołu pożera oczami mojego syna.

Trudno było nie usłyszeć jadu w głosie księżnej i hrabia Andre odrzekł:

— Zapomnij o tym. Chcę z tobą porozmawiać.

Lokaj odciągnął fotel księżnej od stołu i kiedy zaczął go pchać, Ancella idąc tuż za nim dojrzała kątem oka, że książę podniósł głowę, by zobaczyć, jak jego matka odjeżdża.

Potem zdecydowanie spojrzała w drugą stronę, nie chcąc, by pomyślał, że interesuje ją to, co on robi.

Księżna i hrabia udali się do tego samego salonu, w którym siedzieli ostatniej nocy, i niemal natychmiast pograżyli się w rozmowie.

Ancella, idąc w kierunku stojącego pod ścianą krzesła, na którym przesiadzała tyle długich godzin poprzedniej nocy, zauważyła Wielkiego Księcia Michaiła.

Trochę się przestraszyła, że podejdzie do niej, sądząc, iż przyszła na umówione spotkanie.

Mając nadzieję, że nikt jej nie widzi, szybko, tak jak ostatniej nocy, wyslizgnęła się przez otwarty balkon do ogrodu, w którym poprzednio spotkała pana Harnswortha.

Teraz było tu zupełnie pusto, towarzyszyły jej tylko promieniste gwiazdy na niebie i księżyc w nowiu.

Każdy będzie mu się kłaniał i obracał w palcach momenty, pomyślała z uśmiechem Ancella, wiedząc, że to przesąd, o którym wszyscy gracze pewno będą pamiętali.

Wolno podeszła do krawędzi tarasu, który opadał setki stóp w kierunku morza.

Roznosił się ten sam co wczoraj słodki zapach lilii, dochodziła także muzyka — wolny walc wiedeński.

Spojrzała w dół, na port, i zobaczyła nie tylko zakotwiczone jachty, ale także płynący wolno na otwarte morze ogromny statek, którego światła odbijały się w wodzie.

— Pewnego dnia oboje znajdziemy się na statku, podróżując ku nowemu, lepszemu życiu — rozległ się obok niej niski głos.

Ancella drgnęła.

Nie słyszała, jak księżę się zbliża, a jednak teraz kiedy tu był, wydawało się, że piękno nocy osiągnęło doskonałość.

— Pojedziesz ze mną? — spytał.

— Dokąd...? — zapytała.

— To bez znaczenia, ważne, że bylibyśmy razem.

Nie mogła znaleźć odpowiedzi. Wiedziała tylko, że serce bije jej coraz szybciej i gwałtownie ogarnia ją dziwne uczucie, które zawsze w niej wywoływał, aż coś ścisnęło ją za gardło, tak że trudno było jej mówić.

— Jesteś jeszcze śliczniej sza, niż kiedy cię widziałem po południu — wyznał. — Myślałaś o mnie?

— Nie byłam w stanie... nie myśleć... o panu — odrzekła Ancella.

Jej usta wyszeptwały te słowa i czuła, że się uśmiechnęła, mówiąc cicho:

— Miałem nadzieję, że to powiesz.

— Skąd... pan wiedział... że tu jestem?

— Domyśliłem się, że tu przyjdiesz. — I jakby odpowiadając na nie zadane pytanie, mówił dalej: — Markiza wygrywa. Nie zauważy, że mnie nie ma.

Ancella się nie odezwała, a on po chwili dodał:

— Wiesz, co to za męczarnia nie być obok ciebie, nie móc z tobą porozmawiać? Odkąd cię znam, Ancello, dręczą mnie tysiące rozmaitych uczuć, których nigdy przedtem nie doznałem. — Przerwał, po czym powiedział bardzo cicho:

— Kocham cię!

Przez chwilę Ancelli się wydawało, że oślepiło ją jasne światło gwiazd, ale oświadczyła:

— Wie pan... że nie powinien... mówić mi... takich rzeczy... i wie pan, że nie wolno mi... tego słuchać!

— Nic nie mogę na to poradzić — oznajmił tylko.
— Spójrz na mnie!

Było to polecenie i Ancella posłusznie, bez chwili namysłu odwróciła ku niemu głowę.

Twarz księcia rysowała się wyraźnie w świetle księżycy, a kiedy zobaczyła wyraz jego oczu, nie była w stanie się poruszyć.

— Kocham cię — powtórzył, a ton jego wypowiedzi stał się gwałtowniejszy. — Kocham cię i tylko o tobie myślę, aż zaczynam się zastanawiać, jak długo to potrwa, zanim porwę cię w ramiona i zabiorę tam, gdzie będziemy sami.

— Proszę... proszę... — wyszeptała Ancella.

Nawet kiedy mówiła te słowa, wiedziała, że nie mają sensu.

Podniosła tylko na niego oczy, a on łagodnie i tak wolno jak statek wypływający z portu przytulił ją do siebie.

Było to nieuniknione, nie mogła się oprzeć. Przyciągał ją do siebie coraz bliżej i bliżej. Spojrzał na jej twarz, podniesioną ku niemu, po czym przylgnął wargami do jej ust.

Ancella przez chwilę była świadoma tylko tego, że jego usta są twarde, a podświadomie spodziewała się, że będą miękkie. Nagle jak błyskawica przeszył ją ogień, który w nim wyczuwała.

Wnikał w nią drażniaco, podniecająco, ogarniając ją nieubłaganie, a wraz z nim nadeszła słabość, przynosząc ze sobą wrażenia tak rozkoszne, że Ancella nie mogła już myśleć, tylko czuła.

To była miłość — miłość gwałtowna, namiętna, wymagająca, miłość, która była wieczna i boska.

Zdawało się, że wszystko — gwiazdy, morze, zapach kwiatów, muzyka — należy do niej i do księcia.

Wszystko zniknęło, pozostali tylko oni i piękno, które sprawiało, że nie byli już ludźmi, lecz jakby bogami.

Ramiona księcia objęły ją mocniej i instynktownie przycisnęła się do niego jeszcze mocniej. Nie byli już dwojgiem ludzi, lecz jednością, złączeni uczuciem tak ekstatycznym, że było częścią stworzenia.

— *Doczka*, moja kochana — wymamrotał księżę z ustami przy jej ustach.

Potem znów ją całował gwałtownie, namiętnie, zaborczo, aż się wydawało, że wszystkie gwiazdy spadły z nieba i leżą u ich stóp. Nagle ją puścił.

Po czym tak cicho jak przyszedł, odszedł bez słowa i zanim Ancella uświadomiła sobie, co się stało, zniknął w oświetlonym oknie kasyna.

Nogi odmawiały jej posłuszeństwa i miała wrażenie, że za chwilę upadnie. Przycisnęła ręce do piersi, by uspokoić serce, które waliło jak młotem.

Nigdy nie sądziła, że można doznawać tego, co czuła w tej chwili, unoszona ku niebu, spowita chwałą, wrażliwa na cuda przynależne do świata ducha. Drżała i dygotała.

Stopniowo powróciła do rzeczywistości — do zapachu kwiatów, dźwięków muzyki, odbicia gwiazd w morzu. Muszę wracać, pomyślała.

Ale nie mogła się ruszyć, nie mogła na razie wrócić do codziennego, ziemskiego życia, skoro była u bram raj.

Kocham go, wyszeptwała. Kocham go! Nadludzkiem wysiłkiem zdołała się odwrócić i pójść w kierunku kasyna.

Na myśl, że musi wracać, że minie oczarowanie, które uniosło ją ku niebu, skurczyła się wewnątrz z bólu.

Ale pomyślała, że pewnie będzie potrzebna księżnej, a nie miała pojęcia, jak długo była w ogrodzie.

Wszystko wydawało się zamazane; realne były tylko jej drżące wargi, na których wciąż czuła dotyk jego ust.

Weszła przez drzwi balkonowe i na moment oślepiły ją jasne światła.

Potem ku swemu przerażeniu zobaczyła, że księżna samotnie siedzi w fotelu na kółkach i nie ma już z nią hrabiego.

Ancella szybko do niej podeszła.

— Gdzie byłaś? — spytała gniewnie księżna. — Powinnaś być tutaj do moich usług. Jak śmiesz znikać w ten sposób?

— Bardzo mi przykro, *Ma'am* — odpowiedziała Ancella. — Myślałam, że hrabia zostanie z panią dłużej i poszłam do ogrodu.

— Dłużej! — prychnęła księżna. — Czyż mogę być z nim długo przy tej kobiecie, która wydaje mu polecenia i zmusza go, żeby jej słuchał?

— On... opuścił kasyno? — spytała wymijająco Ancella.

— Wrócił do żony — warknęła księżna. — Musi teraz wyjechać — dziś w nocy — żeby jutro rano spotkać się z nią w Paryżu. Potrzebuje go. Rozkazuje mu! A on jej słucha, ponieważ jest słaby, wszyscy mężczyźni są słabi.

— Przykro mi — powiedziała Ancella.

W głosie hrabiny była nie tylko złość, wyczuwało się w nim również, że cierpi. Nagle zagłębiła się w fotelu, jakby była wyczerpana.

— Zabierz mnie do domu — poleciła. — Już dłużej nie wytrzymam.

Ancella kiwnęła na służącego, który pospiesznie stanął przy księżnej.

— Z powrotem do stolika, Wasza Wysokość? — spytał.

— Wychodzimy — rzuciła Ancella, zanim księżna zdążyła się odezwać. — Proszę odprowadzić nas do drzwi i zamówić powóz Jej Wysokości.

Kiedy szli szybko przez *Salle Touzet* i „Kuchnię”, Ancella zastanawiała się, czy powinna zawiadomić księcia o tym, że wychodzą, lecz wzdragała się przed rozmową z nim, a poza tym widziała, że księżna źle wygląda.

W oczy rzucały się jaskrawe płamy rózu na jej policzkach, robiła wrażenie jeszcze starszej niż normalnie, pomarszczona staruszka z głęboko pooraną twarzą, w której nie było teraz nic pięknego.

Trwało to zaledwie parę minut, zanim powóz podjechał pod wejście do kasyna.

Lokaj i Ancella pomogli wsiąść księżnej. Położyła się na miękkim siedzeniu, kolana okryto jej sobolową narzutą.

Konie ruszyły, ciągnąc powóz wzdłuż pagórka, który prowadził do portu, wolniej niż na głównym trakcie.

Podczas jazdy księżna zaczęła mamrotać:

— Andre, Serge, Vladimir, zawsze to samo! Odbierają mi ich, nie mogę ich zatrzymać. Bez względu na to co powiem, bez względu na to co czuję, oni mnie opuszczają.

Ancella pragnęła ją pocieszyć, ale nie wiedziała, co powiedzieć.

— Nienawidzę tej kobiety, nienawidzę jej! — nagle oświadczyła księżna z nowym jadem w głosie. — Posłała po Andre, bo wie, że mógłby spotykać się ze mną. Jest o mnie zazdrosna. Zawsze była. *Ta parvenue*, ta amerykańska parweniuszka, która nie może nic dać mężczyźnie poza swoimi dolarami! — Głowa opadła jej na piersi i stara dama wymamrotała: — Dawno temu powinnam ją zabić, wtedy byłby wolny!

Ancella pomyślała, że musiała się przestyszeć. Jej Wysokość jednak kontynuowała, mówiąc jakby do siebie:

— Byłam za młoda i za mało doświadczona, żeby zabić tamte kobiety, które kusily Serge'a, ale pozbyłam się tej dziewczyny, z którą miał się ożenić Vladimir, i tej tancerki! One nie żyją!

— O czym pani... mówi? — wyszeptała Ancella. Przejęta nagłym strachem, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

— Zabiłam je — powiedziała księżna. — Słyszysz mnie? Ocaliłam Vladimira, tak jak dawno temu powinnam była ocalić Andrego. Ta kobieta musi umrzeć! Boris znajdzie sposób!

ROZDZIAŁ 6

Kiedy Ancella znalazła się w łóżku, nie mogła zasnąć.

Wcześniej poszła z księżną do jej sypialni, gdzie czekała Maria, i tak cicho, żeby nikt nie usłyszał, powiedziała do służącej:

— Jej Wysokość nie czuje się dobrze.

Maria uważnie spojrzała na swą chlebobawczynię i rzekła:

— Spodziewałam się tego. Zawsze tak wygląda, kiedy jest z nim.

Ancella życzyła dobrej nocy i dygając wyszła z sypialni księżnej; ale wydawało jej się, że nie miało to znaczenia, czy została, czy wyszła, gdyż księżna pochłonięta była własnymi myślami.

Leżąc w łóżku w ciemnościach, przytapała się na tym, że ciągle powtarza sobie to, co wyznała jej księżna. Była tak wstrząśnięta tymi słowami, że nie mogła jasno myśleć.

Musiała się pomylić, stwierdziła, musiała źle ją zrozumieć. Niemożliwe, żeby to była prawda. Jej Wysokość na pewno nie mówiła poważnie, że z premedytacją

zabiła narzeczoną swego syna czy tancerkę, którą się interesował.

Ancella pomyślała, że musiała to być tylko metafora, a może księżna będąc odrobinę pomyłona, wyobraziła sobie, kiedy umarły, że miała coś wspólnego z ich śmiercią.

A jednak teraz hrabianka przypomniała sobie, że kapitan Sudley wspominał o tych kobietach — czy tylko jej się wydawało — kiedy przypadkowo go usłyszała ukryta pod balustradą.

Musi istnieć jakieś sensowne wyjaśnienie okoliczności, w jakich straciły życie, uznała.

Ale jakby dla zbiccia tych argumentów znów niemal usłyszała głos doktora Grovesa opowiadającego jej o tym, jak fanatycznie zaborcza jest księżna, jak zazdrośna — najpierw o męża, później o syna.

— To nie może być prawda... nie może — szepnęła Ancella w ciemności, ale pomyślała o Borisie i zadrżała.

To Boris wypełniał polecenia swojej pani i on zapewne jest odpowiedzialny za śmierć rosyjskiej dziewczyny, która się utopiła, i zapewne on wypchnął baletnicę z dużej wysokości przez okno.

Ancella pomyślała o księciu i jak morze, które uspokaja się po sztormie, poczuła, że opanowała wewnętrzne wzburzenie i ogarnia ją teraz zupełnie inne uczucie.

Jednego była pewna: jeśli doszło do zdrady, jeśli popełniono zbrodnię, księżę nie brał w tym udziału. Była tego tak pewna, że nawet gdyby księżna powiedziała jej, iż to on zamordował, oświadczyłaby, że jest niewinny bez względu na zgromadzone przeciw niemu dowody.

Niezbicie wierzyła, nie potrzebując już dalszych zapewnień, że ksiązę Vladimir jest zupełnie inny, niż powszechnie uważano.

Choć plotka głosiła, że jest uwodzicielem, bogatym rosyjskim arystokratą szukającym rozrywek, dla niej był zupełnie kimś innym. Człowiekiem, któremu powierzyłaby nie tylko własne życie, ale i duszę.

Kiedy ją pocałował, wiedziała, że ogień, który ich ogarnął, był boski w swym żarze.

Czuła, że znów ogarnia ją wspaniałość tego doznania, zadrżała, tym razem nie ze strachu czy obrzydzenia, lecz ze zdumienia i wdzięczności, która płynęła z głębi jej serca. Kocham go, pomyślała i odniosła wrażenie, że słowa te dźwięczą w ciemnościach zalegających jej małą sypialnię. Kocham go! Kocham!

Wydawało się jej, że znowu świecą nad nimi gwiazdy i on unosi ją aż do nieba, a zapach kwiatów i dźwięki muzyki nierozzerwalnie związane są z ich miłością.

Znała go bardzo krótko, ale teraz jej się zdawało, że miała go zawsze w myśli, że był jej nieodłączną częścią i rozpoznali się natychmiast, kiedy się po raz pierwszy spotkali.

Wiedziała o tym, kiedy na Ezie mówił o miłości, ale mimo to bała się ulec porywom serca.

Czuła, że ogarnia ją jak przypływ morza i musi walczyć, by odzyskać swą tożsamość; ale teraz, kiedy ją pocałował, wiedziała, że nie może odrzucić tego, co nieuniknione.

Ona należała do niego, on do niej.

Zamknęła oczy, znów czując, jak jego usta przyciskają się do jej ust, i wiedziała, iż nic nie jest ważne oprócz tego, że należy do niego i że on ją kocha.

Wydawało się to absolutnie nieprawdopodobne, kiedy jej o tym powiedział, gdy siedzieli patrząc na morze. Do tej chwili wymienili zaledwie parę zdań.

Ale teraz wiedziała, że książę miał rację: kiedy w kasynie spotkały się ich oczy i uczuli dziwne oszołomienie, odnaleźli się w wieczności.

Wszystko inne nie miało znaczenia; stopniowo mamrotanie księżnej przestało zaprzętać myśli Ancelli i w końcu zasnęła z uśmiechem na ustach.

Śniła, że książę trzyma ją w objęciach, a ona oparła mu głowę na ramieniu...

Rankiem powróciło jednak przerażenie wywołane słowami księżnej i Ancella ubierając się, rozmyślała, czy mądrze by postąpiła, posyłając po doktora Grovesa.

Wzdrygnęła się na samą myśl, że to co usłyszała od księżnej, mogłaby powtórzyć komuś, a zwłaszcza obcemu człowiekowi, nawet jeśli jest lekarzem.

Wiedziała, że nic nie powie księciu, że nie zdobędzie się na to, by powtórzyć mu słowa matki, nie obserwując wyrazu jego oczu.

Czy coś podejrzewał? Czy wyobrażał sobie, co stało się z kobietami, które kochał?

Ancella gwałtownie się wyprostowała.

Zakładała, że to, co powiedziała Jej Wysokość, jest prawdą; z drugiej jednak strony była przekonana, iż to tylko halucynacje — kiedy zdarzyły się te dwa wypadki, księżna bardzo się ucieszyła i gotowa była uwierzyć, że ponosi za nie odpowiedzialność.

Tak wygląda prawda, stanowczo pomyślała Ancella. Jeśli księżna lepiej się dzisiaj czuje, może nie pamięta,

co mi wczoraj powiedziała i już nigdy nie będę musiała o tym myśleć.

Było to pobożne życzenie, lecz zdawała sobie sprawę, że trudno jej będzie zapomnieć o tym, co usłyszała, uwolnić się od prześladujących myśli, które cały czas błędziły jej po głowie.

Kiedy się ubrała i zjadła śniadanie, poszła do pokoju księżnej. W korytarzu przed drzwiami spotkała Marię.

— Jak czuje się dzisiaj Jej Wysokość?

— Miała złą noc — odpowiedziała Maria. — Wezwwała mnie o świcie, żebym jej dała tabletkę nasenną. Jeszcze się nie obudziła.

— Przykro mi — rzekła Ancella. — Boję się, że księżną zdenerwowała wiadomość, iż jej przyjaciel, hrabia, musi wyjechać.

— Zawsze ją to denerwuje — oznajmiła Maria. — Tylko on naprawdę pamięta, jak kiedyś wyglądała. Jakaż była piękna, *M'mselle*. Żadna dama na dworze nie umywała się do niej!

— Wierzę w to — powiedziała Ancella. — Na pewno przykro się starzeć, kiedy jest się pięknym.

— Uroda nie chroni przed cierpieniem — rzuciła ostrym głosem Maria. Po czym, jakby uznała, że zdradziła za dużo, dodała: — Niech pani pospaceruje w słońcu, *M'mselle*. Księżna powinna się obudzić za jakieś pół godziny, wówczas będzie chciała się z panią zobaczyć.

Ancella ucieszyła się, że może odejść. Denerwowała się, że księżna przypomni sobie, co powiedziała w powozie.

Zeszła do ogrodu po białych marmurowych schodach.

Słońce pobłyskiwało w fontannach, a lekki wiatr od morza delikatnie poruszał liśćmi na drzewach.

Było ślicznie; Ancella, idąc w kierunku balustrady znajdującej się na końcu cypla, zauważyła, że ktoś już tam stoi.

Przez chwilę się wahała, miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi, po czym żywo ruszyła przed siebie.

Książę przestał patrzeć na morze i odwrócił głowę dopiero wtedy, gdy do niego podeszła.

— Ancella!

Sposób, w jaki to powiedział, był niczym uścisk. Spojrzała na niego, oczy jej błyszczały, usta miała rozchylone z podniecenia na jego widok.

— Myślałem o tobie — powiedział. — Zastanawiam się, kochanie, co ze mną zrobiłaś.

Ancelli trudno było mówić, ale jakoś udało się jej wreszcie wydobyć z siebie głos.

— Myślałam... o panu... wczoraj w nocy.

— Tak przypuszczałem — oznajmił książę. — Och, najdroższa, nie wiedziałem, że może być tak cudowna i magiczna chwila jak ta, w której dotknąłem twoich warg.

Ich oczy spotkały się i chociaż książę się nie poruszył, Ancella miała wrażenie, jakby znowu ją pocałował. Długo się jej przyglądał, zanim powiedział:

— Nie wolno mi tu dłużej z tobą rozmawiać, mam nadzieję, że to rozumiesz. Sprawdzę, co robią inni, może będziemy mogli spotkać się po południu.

Zobaczył, że oczy jej się rozjaśniły i niepotrzebne są dodatkowe słowa. Patrząc na jego twarz, wiedziała, co książę czuje.

Odwrócił się z wysiłkiem i poszedł w kierunku willi. Ancella trzymała się balustrady z szarego marmuru. Drżała z ekstazy, pod której wpływem jej ciało stało się tak słabe jak wtedy, kiedy trzymał ją blisko siebie, i miała uczucie, że wtopiła się nie tylko w jego ramiona, ale także w ciało, umysł i duszę.

— Kocham go — wyszeptała.

Wydawało się, że pluszczące w dole fale powtarzają bez końca te słowa:

Kocham! Kocham!

Kiedy Ancella wróciła do willi i szła na górę do pokoju księżnej, zobaczyła wychodzącego Borisa. Jego widok jak zwykle ją przeraził.

Tego ranka na wąskich wargach służącego błąkał się słaby uśmiech, a jego przymrużone oczy wydawały się bardziej ponure niż zwykle. Zauważyła, że jest z czegoś zadowolony, i instynktownie wyczuła, że przyniósł złe wieści.

Kiedy go mijała, pomyślała, że wydziela zło, i cofnęła się, jakby mógł ją splugawić.

Po Marii nie było już śladu, więc Ancella zapukała do drzwi pokoju księżnej.

Otworzywszy je, ujrzała Jej Wysokość siedzącą w łóżku. Ancella, gdy tylko na nią spojrzała, zorientowała się, że jest tak samo wzburzona jak w nocy.

— Och, to ty, tak? — powiedziała niemal niegrzecznie. — Cóż, może będziesz mogła potwierdzić to, co właśnie powiedział mi Boris.

— Co, *Ma'am*? — spytała Ancella, podchodząc do łóżka.

— Że markiza usidliła mego syna, co usiłowała zrobić już od dawna.

— Co pani przez to rozumie?

Poczuła się tak, jakby czyjaś zimna ręka kurczowo zacisnęła się na jej sercu.

— Boris twierdzi — ciągnęła księżna — że kiedy wczorajszej nocy wszyscy wrócili z kasyna, poszła do jego sypialni.

— Nie... wierzę w to — rozległ się głos Ancelli, zanim zdołała się powstrzymać.

— To prawda — potwierdziła księżna. — Boris nigdy się nie myli. Podeszła go ta niebieskooka angielska ladacznica! Widziałam, jak to robiła. Ciągłe się koło niego kręciła, dotykała go, patrzyła mu w oczy, zachęcała, by ją posiadał, i teraz dopięła swego!

Ancella stanęła jak skamieniała, krew odpłynęła jej z twarzy, bardzo pobladła.

Księżna nie patrzyła na nią; po chwili Ancella zdołała powiedzieć głosem, którego sama nie mogła rozpoznać:

— To musi być jakaś... pomyłka! Jestem całkowicie... pewna, że Jego Wysokość nie... interesuje się markizą w ten... sposób.

— Ale ona się nim interesuje — burknęła księżna. — A który mężczyzna oprze się pokusie? — Na chwilę przerwała, po czym mówiła dalej: — Oni wszyscy są tacy sami! Serge, Andre, Vladimir. Wystarczy, że piękna kobieta kiwnie na nich palcem, już za nią idą. Co prawda Vladimir nie musiał nigdzie chodzić, sama do niego przyszła!

Ancella myślała, że zemdleje.

Z trudem zmusiła się, żeby podejść do okna. Próbowała oddychać głęboko i walczyć z ciemnością, która zdawała się wkradać do jej umysłu, tak że nie mogła skupić myśli.

— Pozbędę się jej — odezwała się z tyłu księżna.
— Nie zostanie tu dłużej, nie zniosę tego! Uprzedzałam Vladimira, że nie będę odgrywała roli gospodyni wobec jego przelotnych miłości!

Ancella trzymała się parapetu. Nie wolno mi... zemdlec... Nie mogę dopuścić, by... księżna się dowiedziała, powtarzała sobie uparcie.

— Czy mam polecić, by przyniesiono Waszej Wysokości lunch do łóżka? — dobiegł od drzwi głos Marii.

— Do łóżka? Nie będę leżała. — odpowiedziała księżna. — Schodzę na dół. Chcę zobaczyć, co się dzieje!

— Byłoby lepiej, gdyby pani odpoczęła — oświadczyła Maria. — Wasza Wysokość jest wyczerpana. Proszę tu zostać.

— Nie ma mowy — sprzeciwiła się księżna. — Poza tym na lunchu będzie Jego Cesarska Wysokość. Sam się tu zaprosił i muszę być na dole, by go powitać.

— Wielki Książę zrozumie, jeśli się dowie, że Wasza Wysokość jest chora — czyniła wymówki Maria.

— Nie jestem chora — nalegała księżna. — Poza tym królewska krew ma swoje znaczenie, jak dobrze wiesz, Mario, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego Wielki Książę chciał zjeść z nami lunch.

Ancelli wydawało się, że głos księżnej dochodzi z oddali, uczucie omdlenia jednak powoli mijało i po paru minutach była w stanie się odwrócić.

— Czy mogłabym... coś zrobić dla... Waszej Wysokości? — spytała.

— Nie — oznajmiła księżna, po czym zmieniła zdanie. — Możesz mi poczytać, kiedy będę się ubierała.

Powinłam śledzić światowe wydarzenia, a w lokalnej gazecie znajdziesz listę osób, które ostatnio przybyły do Monte Carlo. Nie chcę przeoczyć kogoś ciekawego.

Księżna mówiła teraz zupełnie normalnym głosem, ale miała dziwny wyraz oczu, jakby była podniecona.

Ancella pełna niepokoju, że księżna cos' knuje, spytała się w duchu, dlaczego miałyby się tym przejmować?

Po tym wszystkim, co książe powiedział, po pocałunkach, które miały tak wiele znaczyć, markiza przyszła do jego pokoju, a on się zgodził, żeby została.

Gdyby kazał jej natychmiast wyjść, to Ancella była pewna, że Boris doniósłby o tym, a tak zastanawiała się zrozpaczona, ile czasu spędzili razem.

Czy całował te piękne różane i szalone usta? Czy markizie mówił to samo co jej?

Na myśl o tym wszystko w niej łąkało. Całą swą istotą zdawała się buntować przeciwko jego obłudzie.

A jednak, pomyślała, musi liczyć się z faktami. Markiza postanowiła za wszelką cenę zostać jego kochanką. Już pierwszego dnia po przyjeździe sama słyszała, jak o tym mówiła, a teraz bez większego trudu jej się to udało.

Rewelacje dostarczone przez księżną były dla Ancelli niczym sztylet, który wbito jej w serce. Nagły wstrząs chwilowo ją sparaliżował. Nie czuła nawet bólu, jakiego się spodziewała.

Wydawało się jej, że porusza się w ciemnej mgłę i nie jest już sobą, lecz lalką, która chodzi, mówi, ale nie ma nic wspólnego z człowiekiem.

Wzięła gazetę i przeczytała ją księżnej nie mając najmniejszego pojęcia, co czyta.

Jej usta coś mówiły, lecz myślami błądziła daleko, opuszczona i samotna na jałowym pustkowiu, opłakując utracony ideał.

Kiedy księżna ubrała się, nadeszła pora, by zejść na dół na lunch. Ancella zastanawiała się, czy powinna powiedzieć, że boli ją głowa i spytać, czy mogłaby pójść do swego pokoju.

Potem pomyślała, że w ten sposób zwróciłaby na siebie uwagę, a na tym najmniej jej zależało.

Chciałaby tylko zachować anonimowość, ukryć się, gdyby to było możliwe, pod skałą lub w najciemniejszej jaskini i wiedzieć, że nikt nie będzie jej szukał lub o niej myślał.

Kiedy księżna się przebrała, zmienił się jej nastrój.

Teraz, pomyślała Ancella, przypomina żołnierza szykującego się do walki, a błysk podniecenia, jaki dostrzegła w jej oczach, był mocnym, niemal brutalnym postanowieniem, żeby zniszczyć to, co ją obraziło.

Zauważyła, że Maria ze zdumieniem przygląda się swojej chlebodawczyni.

I gdy księżna włożyła na siebie jak zwykle dużo biżuterii, Ancella spostrzegła, że zrobiła to, jakby jej klejnoty były zbroją, która ma ją osłonić przed niebezpiecznym przeciwnikiem.

W końcu księżna była gotowa, miała na sobie długi podwójny sznur pereł owinięty dookoła szyi, a w uszach i na palcach połyskujące diamenty.

— Chodźmy, panno Winton — powiedziała.

Było to w jakiś sposób wezwaniem do boju.

— Nie wiem, co Wasza Wysokość zamierza — wymamrotała Maria — ale proszę się nie denerwować. Boris nie ma prawa przychodzić tutaj i zakłócać pani

spokoju swoimi opowieściami czy podstępny kowniem, co powtarzałam mu wystarczająco często.

— Boris robi to, co mu się każe — odparła księżna.

Powiedziała to w taki sposób, że Ancella zadrzała.

Czy naprawdę księżna kazała Borisowi utopić jedną kobietę, a drugą wyrzucić przez okno?

Znowu ogarnęło ją takie samo przerażenie jak w drodze powrotnej z kasyna.

Była jednak zbyt słaba, żeby zaprotestować albo zrobić coś innego, niż się po niej spodziewano, zeszła więc za księżną do salonu.

Nie było to tak duże przyjęcie jak poprzedniej nocy, ale goście mieszkający w willi już się zebrali i Ancella zobaczyła księcia stojącego w oknie i rozmawiającego z wysoką piękną kobietą.

Podprowadził ją do księżnej, gdy tylko się pojawiła, i powiedział:

— Mamo, jestem pewien, że pamiętasz księżnę Marlborough?

— Oczywiście — odrzekła księżna, wyciągając rękę. — Miło mi, że znowu panią widzę.

— Bardzo się cieszę, że tu jestem — oznajmiła księżna po francusku z lekkim amerykańskim akcentem.

Ancella przypomniała sobie, że pochodzi z rodziny bogatych Vanderbiltów, a o jej małżeństwie z księciem donosiły wszystkie gazety.

— Pozwoli pani, że przedstawię pannę Ancellę Winton? — spytał książę.

Wydawało jej się, że powiedział to łagodniejszym głosem, ale kiedy dygnęła, pomyślała, że go nienawidzi.

Jak mógł mówić w ten sposób, skoro zdradził wszystko, w co wierzyła, wszystko, co w swej głupocie i ciemnocie uważała, że pochodzi od Boga i jest częścią niebios?

Zaąnonsowano następne dwie osoby i ksiąę musiał odejść. Potem Ancella usłyszała, jak majordomus powiedział do niego:

— Wasza Wysokość, nadjeżdża powóz Jego Cesarzkiej Wysokości!

Ksiąę pospieszył do drzwi frontowych powitać Wielkiego Księcia. Kiedy obaj weszli do salonu, wszystkie damy złożyły głęboki ukłon.

Ucałował dłoń księżnej, po czym odszukał oczami Ancellę, która natychmiast się zorientowała, dlaczego wprosił się na lunch.

Dobrze wiedziała, że ma żonę i rodzinę mieszkającą w Rosji, a aktorka towarzysząca mu w kasynie była tylko jedną z wielu znanych kobiet, z którymi łączono jego nazwisko.

Wszyscy Rosjanie są tacy sami, pomyślała z goryczą. Ksiąę Vladimir nie różni się od reszty.

Wydawało się jej, że Wielki Ksiąę robi wszystko, by z nią porozmawiać, więc przesunęła się z premedytacją bliżej księżnej, jakby chciała pomóc jej wstać, kiedy podano lunch.

Ancella, siedząc przy stole z dala od Wielkiego Księcia i księcia Vladimira, miała nadzieję, że nie będzie musiała się odzywać i że nikt nie zwróci na nią uwagi.

Nie mogła nic jeść, wypła tylko odrobinę białego wina, które nalano jej do kieliszka. Bała się, że może znowu zasłabnąć.

Trudno jej było się skoncentrować i zrozumieć tocząca się wokół rozmowę. Goście równie dobrze mogli by rozmawiać w języku hindi.

Czuła, że nie jest w stanie spojrzeć na markizę.

Ale mimo to zdawała sobie sprawę, że ma ona welszy głos niż pozostali goście, a co chwila rozlegał się jej dźwięczny śmiech.

Musi być szczęśliwa, zauważyła w duchu Ancella, czując, że znów znalazła się zupełnie sama na pustkowiu.

Obiad włókł się w nieskończoność, dania podawano jedno po drugim. Wielki Książę opowiadał anegdoty, z których wszyscy się śmiali.

W pewnym momencie Ancella usłyszała, jak mówił:

— W tym roku gra się nowym systemem, którego nie znałem.

— Jakim? — spytała księżna.

— Byłem przekonany, że zna go pani — odpowiedział Wielki Książę. — Być może słyszała pani o nim? Polega na tym, że stawia się pieniądze na znaczenie czyjegoś imienia, a nie na samo imię.

— Chodzi panu o sumę liter, z których składa się nasze imię? — spytała markiza. — Wszyscy tego próbowaliśmy, ale mam wrażenie, że to działa tylko za pierwszym razem.

— Wróżbiarz wytłumaczył mi wczorajszej nocy — odparł Wielki Książę — że chytryść tego systemu zasadza się na konieczności poznania znaczenia danego imienia. To wiąże się ze znakami zodiaku i niezwykle dziwnymi zjawiskami fizycznymi. Tak czy owak Michaił ma liczbę siedem. Obstawiałem ją z uporem maniaka i muszę przyznać, że wyszła zadziwiająco wiele razy.

— Ale skąd możemy wiedzieć, co znaczą nasze imiona? — spytała księżna Marlborough.

— Z pewnością wszystkie coś oznaczają — odrzekł Wielki Książę. — Towarzyszył mi książę Frederich. W staroniemieckim jego imię znaczy „pokojowy wódz”. Składa się więc z dwunastu liter i rzeczywiście ta liczba wyszła aż cztery razy.

— Jakież to podniecające! — wykrzyknęła księżna. — Ale nie mam pojęcia, co znaczy moje imię — Consuela,

— Gdzieś w Monte Carlo musi być księga imion — powiedział z uśmiechem Wielki Książę.

— Na pewno nie znajdę w niej imienia Feodogrova! — krzyknęła zirytowana księżna.

— Myślę, że to mało prawdopodobne — zgodził się Wielki Książę — ale Alexandra, jak Wasza Wysokość ma chyba na drugie imię, po grecku znaczy „obrońca”.

— Siedem! — wykrzyknęła podniecona księżna. — Przez cały wieczór będę stawiała na tę liczbę!

— Ja mam na imię Helena — powiedziała jedna z pań. — Cóż to znaczy?

— Helena po grecku to „bystry” — odrzekł Wielki Książę. — A Ancella — „anioł”.

Ancella miała wrażenie, że wszyscy się odwrócili, by na nią spojrzeć, i poczuła, że krew gorącą falą zalewa jej policzki.

Mimo zawstydzienia spostrzegła kapitana Sudleya, który z wyrazem niedowierzania na twarzy wpatrywał się w nią z drugiego końca stołu.

Nagle jego oczy się zwęziły!

Panie opuściły pokój jadalny, wciąż z ożywieniem rozmawiając o liczbach, a księżna, jakby przestając in-

teresować się gośćmi, przeprosiła wszystkich, mówiąc, że musi odpocząć.

Ancella wdzięczna, że nie natknęła się na Wielkiego Księcia, poszła za swoją pracodawczynią na górę.

Pomyślała, że nie ma powodu, by ktoś skojarzył ją z opowieścią kapitana Sudleya o jego przyjacielu, panu Harnsworth.

Była jednak przerażona.

W końcu doszła do wniosku, że nie ma to żadnego znaczenia. Wróci do Anglii, a im wcześniej wyjedzie, tym lepiej.

Zakochana w księciu, nie mogła zostać, wiedząc, że ją zdradził.

— Muszę zdobyć tę księgę imion — rzekła księżna.

— Stajenny może pojechać do Monte Carlo. — Przerwała na chwilę, po czym dodała: — Dobrze, że markiza nie spytała, co znaczy jej imię. Zapewniam cię, że pomyślałam o czymś bardzo odpowiednim.

Jej głos znów stał się jadowity.

— Niech pani odpocznie — zaproponowała Maria.

— Wasza Wysokość będzie wyczerpana, jeśli się teraz nie prześni, a wieczorem znowu będzie grała.

— Muszę przemyśleć parę spraw — wymijająco powiedziała księżna.

— Nie ma powodu martwić się o Jego Wysokość — przestrzegwała Maria. — Jest dorosły. Może robić, co chce. Wszystkie matki, a Wasza Wysokość nie jest wyjątkiem, wcześniej czy później muszą to sobie uświadomić.

— Nie pozwolę na to! — rzuciła ze złością księżna.

— Nie pozwolę, Mario! Nie lubię jej. Nigdy jej nie lubiłam. Próbowała go usidlić, odkąd tu przyjechała.

— To nic poważnego, może pani być pewna — uspokajała Maria. — Mężczyźni pozostaną mężczyznami, o czym kobiety przekonały się już na początku swego istnienia.

Ancella poczuła, że dłużej już tego nie wytrzyma.

Mężczyźni pozostaną mężczyznami!

I ksiązę, który jak myślała, różni się od innych mężczyzn, wcale nie był od nich lepszy.

Taki sam jak kapitan Sudley, który brał pieniądze od ukochanej kobiety. Jak Wielki Ksiązę, który zostawił żonę w Rosji, a sam bawił się w Monte Carlo. Jak ksiązę Walii bezustannie zdradzający swą śliczną duńską żonę.

Wszyscy byli tacy sami.

Mężczyźni pozostaną mężczyznami!

Była idiotką, że spodziewała się czegoś innego.

Ale mimo to całe jej ciało zdawało się płakać gorzkimi łzami nad tym odkryciem.

Wróciwszy do swego pokoju, usiadła na krześle, ukryła twarz w dłoniach i zastanawiała się, czy to możliwe, by nie umarła, cierpiąc takie katusze.

Nie miała pojęcia, jak długo tak siedziała, ale przstraszyło ją pukanie do drzwi.

— O co chodzi? — spytała.

— Czy panienka mogłaby zejść do salonu? — spytała po francusku służąca.

Ancella zamierzała odmówić. Jeśli to ksiązę chce się z nią zobaczyć, nie wytrzyma rozmowy z nim; ale jeśli był to ktoś inny, nie ma mu nic do powiedzenia.

Pomyślała jednak, że zatrudniono ją po to, żeby wykonywała polecenia, a nie prośby.

— Za minutkę — odpowiedziała.

— *Merci, M'mselle.*

Wstała i podeszła do lustra.

Spojrzała na swe odbicie. Niemal się spodziewała, że zobaczy starą pomarszczoną kobietę, której zdążyły posiwieć włosy. Ujrzała natomiast bladą twarzyczkę, która patrzyła na nią ciemnymi, pełnymi cierpienia oczami, ale była bardzo młoda i delikatna.

Odruchowo poprawiła włosy, wyprostowała fałdy liliowej bawełnianej sukni i wyszła z pokoju.

Pomyślała, że jeśli to rzeczywiście książe chce z nią rozmawiać, powie mu, iż otrzymała złe nowiny z Anglii i natychmiast musi tam pojechać.

Pocztę dostarczano do willi około drugiej po południu.

Mogła utrzymywać, że był tam list, który nakazywał jej powrót do domu.

Książe może to kwestionować, namawiać Ancellę, żeby została, ale wiedziała, że będzie miała dość siły, by go nie posłuchać — żadne argumenty, żadne błagania nie zmuszą jej do zmiany decyzji.

Głęboko zaczerpnęła powietrza i z wysoko podniesioną głową wolno przeszła korytarzem i schodami na dół do holu.

Kiedy lokaj otworzył drzwi do salonu, Ancella zobaczyła, że czeka na nią nie książe, jak się tego spodziewała, lecz markiza.

Przez chwilę miała wrażenie, że nie będzie w stanie rozmawiać z kobietą, która zniszczyła, choć nieświadomie, jej szczęście — świat złudzeń, gdzie przez krótki czas przebywała.

Pomyślała, że jednak musi zachować się jak dama bez względu na to, co zrobi markiza.

Ancella podeszła do starszej od siebie kobiety i zgodnie z etykietą złożyła pełen szacunku, lekki ukłon.

— Chcę z panią porozmawiać, panno Winton — rzekła cicho markiza — ale nie tutaj, gdyż jak zapewne się pani orientuje, ktoś mógłby podsłuchiwać. — Ancella nie odpowiedziała i markiza mówiła dalej: — Pójdziemy do ogrodu. Wszyscy goście odjechali, będziemy tam same.

Ancella chciała odmówić, ale nie była w stanie tego zrobić; towarzyszyła więc markizie, która wyszła na taras i zaczęła schodzić po marmurowych schodach.

Miała na sobie jedną ze swych ulubionych niebieskich sukni i wychodząc na słońce otworzyła parasolkę w tym samym kolorze, ozdobioną bukietami jasno-czerwonych pączków róż.

Wyglądała ślicznie i okazała jak Junona.

Doszedłszy do ogrodu, zatrzymała się w cieniu najbliższego drzewa i odwróciła do Ancelli.

Było w niej coś władczego i jednocześnie bardzo wytwornego. A ponieważ była taka piękna, Ancellę dręczyła myśl, iż bez wątpienia może przydać wdzięku każdej sytuacji, w jakiej znajdzie się z księciem.

— Chciałam z panią porozmawiać, panno Winton — oznajmiła markiza surowym głosem — bo kapitan Sudley przypomniał sobie, że widział panią z jego przyjacielem — panem Harnsworthem przedostatniej nocy.

Ancella milczała. Nie odpowiadała. Pomyślała tylko, że niestety doszło do tego, czego się obawiała.

— Pan Harnsworth powiedział, że pomógł mu anioł — kontynuowała markiza. — Chyba nie ma sensu zaprzeczać, że to pani była tym aniołem.

— Udało mi się... pomóc panu Harnsworthowi — rzekła po chwili Ancella — ponieważ znalazł się w rozpaczliwej sytuacji... i bez pieniędzy... umarliby oboje z żoną. Coś takiego może się już nigdy nie powtórzyć.

— Niemniej jednak spróbujemy to sprawdzić.

— Obawiam się, że to niemożliwe — odparła Ancella. — Nie mogę pani pomóc. W gruncie rzeczy nikomu nie mogę pomóc.

— Skąd ta pewność? — spytała markiza. — Rozumiem, że nigdy przedtem nie była pani w kasynie. Tamtego wieczora grała pani pierwszy raz w życiu.

— I sądzę, że dlatego wygrałam — powiedziała szybko Ancella. — To stary przesąd, o którym Jego Cesarska Wysokość mówił podczas lunchu.

— Osobiście mi się wydaje, że chodziło o coś więcej — rzuciła markiza. — Może jest pani jasnowidzem... tak czy inaczej chcę, żeby pani dla mnie zagrała i obstawiała liczby jak tamtej nocy.

— Przykro mi — oświadczyła Ancella — ale nie mogę tego zrobić.

— Zrobi to pani! — zawołała gwałtownie markiza. — I to natychmiast! Zdażyłam już sprawdzić, że ma pani teraz wolne, panno Winton. Pojedziemy do Monte Carlo i będziemy grały w ruletkę, dopóki nie będzie musiała pani wracać. — Ancella milczała, więc markiza mówiła dalej: — Nikt nie musi o tym wiedzieć, oczywiście z wyjątkiem kapitana Sudleya, który pojedzie z nami. Jeśli pani jest nadwrażliwa lub ma zdolność jasnowidzenia, czy też coś podobnego, przekonana się pani, że można to równie dobrze wykorzystać dla mnie.

— Przykro mi — powtórzyła Ancella — ale nie pojedę z panią do kasyna i nigdy więcej nie zamierzam grać w ruletkę.

— Jeśli tak pani uważa — wycodziła markiza — to natychmiast pójde na górę i wszystko powiem księżnej. Orientuje się pani, jaka jest, gdy chodzi o hazard. Unie— szczęśliwi panią! Rozerwie na strzępy, gdy się dowie, że znała pani system, dzięki któremu mogła wygrać.

W jej głosie było coś tak nieprzyjemnego, że Ancella zeszywniała. Ale zdawała sobie sprawę, że markiza ma rację.

Nie ulegało wątpliwości, iż hazard opętał hrabinę.

Dobrze, że wyjeżdżam, pomyślała Ancella. Lepiej być w Anglii z ciotkami, niż tutaj cierpieć: najpierw z powodu księcia, a teraz tej szantażystki, której nie lubiła i którą pogardzała.

Spojrzała na markizę wyzywająco i rzekła:

— Proszę robić to, co uważa pani za słuszne. Ja mogę tylko przyrzec, że nie mam zamiaru pojechać z jaśnie panią do kasyna ani dziś po południu, ani nigdy!

Mówiąc to odwróciła się i zaczęła iść w kierunku schodów.

— Słuchaj, panno Winton...! — krzyknęła z furją markiza. Po czym z trudem zmieniła ton głosu i dodała: — To może być korzystne dla nas obu, zarówno dla pani, jak i dla mnie. Dam pieniądze na rozpoczęcie gry, a jedną czwartą wygranej będzie mogła pani zatrzymać.

— Nie jestem tym zainteresowana — odparła Ancella.

— Cóż zatem mogę pani zaproponować? — spytała markiza.

— Nic!

Ancella odezwała się nieco głośniej, niż zamierzała. Weszła właśnie na schody, kiedy markiza chwyciła ją za nadgarstek.

— Posłuchaj, ty mała idiotko! — zawołała ze złością. — Chcę, abyś mi pomogła, i nie wierzę, że nie potrzebujesz pieniędzy. Pojedziemy do kasyna i zobaczymy, czy będziesz miała takie samo szczęście jak tamtej nocy. Wierzę, że tak!

— Dałam już pani odpowiedź — ucięła Ancella.

Próbowała wejść na górę, lecz markiza wciąż ją trzymała, nie pozwalając się jej ruszyć.

— Proszę mnie puścić — powiedziała hrabianka oziębłym tonem. — Bez względu na to, co pani powie lub zrobi... nic... nie zmusi mnie do zmiany decyzji!

W niebieskich oczach markizy spostrzegła gniew, który wykrzywił jej także twarz.

Ancella, jakby nie mogła już tego dłużej wytrzymać, spróbowała wyswobodzić rękę, ale markiza jeszcze mocniej zacisnęła palce.

Mocowały się ze sobą przez chwilę, gdy nagle doszedł ich krzyk z tarasu.

Obie spojrzały w górę. Ku zdziwieniu Ancelli na szczycie schodów stała księżna!

Miała na sobie wyszukany atłasowy szlafrok obszyty koronką, w którym chodziła w sypialni; Ancella pomyślała, że księżna sama zesłała po schodach, gdyż nie widziała fotela na kółkach lub lokaja, który zazwyczaj jej towarzyszył.

W rękę trzymała list. Podniosła go do góry i spojrzawszy na markizę, krzyknęła:

— Jak śmiesz twierdzić, że poślubisz mego syna! Mówię ci, że to nieprawda. Nigdy się z tobą nie ożeni,

nigdy! Jesteś zwykłą ulicznicą, kobietą pozbawioną zasad moralnych; raczej cię zabiję, niż pozwolę, byś nim zawładnęła!

Głos księżnej był wzburzony, piskliwy i gniewny. Markiza puszczając rękę Ancelli odpowiedziała:

— Co pani robi z moim listem? Jak pani śmie go czytać. Nie ma pani prawa...

— Mam! — wrzasnęła księżna. — To, co tu napisałaś, jest kłamstwem, słyszysz, kłamstwem! Jesteś la-daczną i kłamczuchą, masz natychmiast opuścić ten dom!

Mówiąc przesunęła się do przodu, jakby chciała zejść po schodach i z bliska pokazać markizie to, co trzyma w ręce; zachwiała się jednak. Przez chwilę próbowała ratować się przed upadkiem, lecz straciła równowagę i runęła na marmurowe schody. Wrzeszcząc toczyła się z coraz większym rozpędem, aż w końcu sturła się z ostatniego stopnia prosto pod nogi markizy!

ROZDZIAŁ 7

Ancella obudziła się, słysząc, jak Maria wchodzi do jej sypialni. Podniosła się przestraszona.

— Księżna...? — chciała zapytać.

— Jej Wysokość zmarła dwie godziny temu — odparła Maria przechodząc przez pokój, żeby odsłonić okno.

— Powinnam tam... być — powiedziała Ancella.

— Jej Wysokość wcale tego nie chciała, *M'mselle* — odrzekła Maria. — Był przy niej lekarz, ale nic nie mogliśmy zrobić. Do końca nie odzyskała przytomności.

Głos się jej załamał i otarła oczy. W porannym świetle Ancella zobaczyła, że Maria ma zapuchnięte powieki od rozpaczliwego płaczu.

— Przykro mi — rzekła bezradnie.

Naprawdę nie mogła nic więcej powiedzieć. Wydawało się, że księżna nie żyje, kiedy podniesiono ją z ziemi i przetransportowano do sypialni.

Potem Ancella przeżywała koszmarne chwile.

Posłano lokaja po księcia Vladimira, który opuścił willę razem z Wielkim Księciem. Ktoś wezwał lekarza;

Ancelli wydawało się, że służący, goście i jacyś inni ludzie zadawali jej mnóstwo pytań, na które nie znała odpowiedzi.

Markiza zniknęła i Ancella już więcej jej nie widziała. Maria zabrała list, który księżna miała w ręce.

Ancella nie była w stanie go przeczytać, lecz zauważyła dołączony do niego świstek papieru i zorientowała się, że to czek.

Niemal odruchowo przebiegła go oczami, wciąż myśląc o bezwładnie leżącej księżnej.

Dopiero kiedy została sama, po tym jak doktor Groves odesłał ją do łóżka mówiąc, że w niczym nie może już pomóc, przypomniała sobie, iż czek podpisany był przez księcia i opiewał na tysiąc funtów.

Zeszłej nocy była zbyt zdenerwowana i zmęczona, aby się zastanawiać, dlaczego dał markizie tak dużo pieniędzy. Jedyne co przychodziło jej wtedy na myśl, to wbijające się w serce niczym sztylet słowa księżnej, która krzyczała, że syn ma poślubić markizę.

Więc do tego dążył cały czas, pomyślała Ancella. Utrzymawał w tajemnicy swą miłość do mnie, dlatego że chciał ją ukryć przed markizą, a nie przed matką!

Poczuła się tak, jakby odebrano jej dumę i szczęście.

Jak mogła być tak głupia, tak naiwna, by sądzić, iż księciu chodziło o coś innego niż tylko o to, by zrobić z niej swoją kochankę? Wybuch uniesienia, które jak wierzyła, ogarnęło także jego serce, okazał się złudzeniem.

Ostrzegano ją. Doktor Groves zwrócił jej uwagę na niebezpieczeństwo, ale nie chciała go słuchać.

Miała wrażenie, że teraz schodzi na sam dół bardzo ciemnego piekła, gdzie jej ideały leżały roztrzaskane,

a ją upokorzono tak bardzo, że wszystko w co wierzyła, co kiedykolwiek kochała, stało się bezwartościowe i niesmaczne.

Jak mogłam być taka głupia, zadawała sobie w kółko to samo pytanie, wiedząc, że jedyną odpowiedzią jest rozpacz, której nie ukoją nawet łyzy.

Długo leżała cierpiąc coraz bardziej, aż ból przeszył całe jej ciało i umysł. Wtedy wyczerpana usnęła.

Siedząc teraz w łóżku, szybko przypomniała sobie wczorajsze wydarzenia, myślała jednak wyłącznie o Marii. Wiedziała, że starej służącey będzie o wiele bardziej niż innym brakowało księżnej.

— Przykro mi, Mario — powtórzyła.

— To przez tego nikczemnika Borisa — odpowiedziała ze złością Maria. — Ciągłe intrygował, księżna zawsze się denerwowała tym, co jej opowiadał.

— To... on dał jej... list? — spytała Ancella.

— Jaśnie pani napisała go, po czym położyła do wysłania na stole w holu. Boris otworzył list nad parą, jak to często robił, i kiedy zobaczył, co zawiera, pobiegł na górę pokazać go Jej Wysokości.

Ancella na samą myśl o liście i o tym, co wyjawiał on księżnej, znów poczuła przeszywający ból.

— Jest nikczemny, zły — ciągnęła Maria. — Zawsze go nienawidziłam, *M'mselle*. I on mnie nienawidzi.

Ancella nie mogła się powstrzymać, by nie wyszeptać dręczącego ją pytania:

— Jej Wysokość... powiedziała mi — jąkała się — że Boris... utopił dziewczynę, która była zaręczona z księciem... Vladimirem. Czy... to prawda?

Maria potrząsnęła przecząco głową.

— Sprawiał, że księżna tak myślała, bo chciał się jej przypodobać; ten kłamca powiedział jej też, że wypchnął przez okno baletnicę, którą interesował się książę.

— To... nieprawda? — spytała Ancella.

— A skądże! — odparła Maria. — Księżniczka Natasha pływała z przyjaciółmi w morzu. Robili mnóstwo hałasu i nie zauważyli, że złapał ją skurcz. Kiedy próbowali ją ratować, było już za późno — utonęła!

— A... tancerka?

Ancella wiedziała, że nie powinna być taka wścibska, lecz musiała poznać prawdę.

— To był wypadek! Inni aktorzy powiedzieli księciu, co się naprawdę stało; Borisa nie było wtedy w pobliżu teatru.

Ancella zaczerpnęła powietrza.

— Ale ponieważ zawsze się przechwalał i próbował zdobyć względy księżnej, opowiadał jej mnóstwo kłamstw o tym, co zrobił. — Maria mówiła pogardliwym tonem. — Czasami mu nie wierzyła i naśmiewała się z niego za jego plecami. „Mario, on dużo gada, a mało robi”, mawiała. Kiedy jednak była zdenerwowana czy wyczerpana, chciała mu wierzyć; opowiadała wtedy niestworzone rzeczy, twierdząc, że Boris zrobił to wszystko na jej polecenie.

— Rozumiem, Mario — powiedziała cicho Ancella.

— Gdybym wiedziała, że słyszała pani, co mówiła Jej Wysokość, wcześniej bym to panience wyjaśniła. Wystarczająco często sama tego słuchałam. — Marii znowu załamał się głos i wydawało się, że wybuchnie płaczem. Wykrztusiła jednak z trudem: — Przyszłam powiedzieć, że doktor Groves dowiedział się, iż przyjaciółki pani, sir Feliks Johnson, wczoraj wieczorem

przyjechał do Cannes, by czuwać nad zdrowiem Jego Królewskiej Wysokości księcia Walii.

— Sir Feliks! — krzyknęła Ancella.

— Zanim księżna umarła, doktor Groves posłał do niego lokaja z prośbą, by ją zbadał. Wkrótce powinien przybyć, choć już jest za późno.

— Muszę wstać — rzekła Ancella. — Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś. Czy wszyscy wyjechali?

Wstała, zanim skończyła mówić, przypominając sobie, że po wczorajszym upadku księżnej goście zaczęli opuszczać willę.

— Wszyscy wyjechali — odparła Maria. — Jaśnie pani i kapitan Sudley jako ostatni. Teraz są gośćmi Jego Cesarskiej Wysokości, Wielkiego Księcia Michaiła.

— Tak też przypuszczałam — przyznała Ancella.

Późno w nocy majordomus przyniósł jej liścik.

— Co to? — spytała.

Opuściła pokój księżnej zaledwie na parę minut, a on czekał na nią na podeście.

— To od Jego Cesarskiej Wysokości, *M'mselle* — odpowiedział majordomus. — Przyniesiono go razem z listem zaadresowanym do Jego Wysokości. Stajenny czeka na odpowiedź.

Ancella otworzyła kopertę. W środku był bilecik napisany pewną, silną ręką.

Z powodu tragicznego wypadku księżnej zaprosiłem do siebie wszystkich gości z willi d'Azar. Oczywiście dotyczy to także pewnej uroczej damy, której imię znaczy „anioł”. Żywię nadzieję, że przyjmie ona moje zaproszenie.

Michaił książę Rosji

Ancella przeczytała to z pewnym zdziwieniem. Potem widząc, że majordomus czeka, powiedziała:

— Proszę powiedzieć stajennemu, by przekazał Jego Cesarskiej Wysokości, że panna Winton dziękuje za zaproszenie, ale natychmiast wraca do Anglii.

— Pomyślała, że właśnie to musi zrobić. — Czy mogłabyś powiedzieć lokajowi, żeby przyniósł moje kufry? — zwróciła się do Marii. — Jeśli pokojówki są zajęte, sama je spakuję.

— Jedzie panienka do domu?

— Tak, Mario.

— I ja wracam do domu razem z Jej Wysokością — załkała Maria. — Zostanie pochowana w St. Petersburgu obok księcia Serge'a. Potem będę musiała poszukać sobie jakiegoś miejsca, gdzie mogłabym mieszkać.

Maria, nie mogąc znieść tej myśli, wyszła cała we łzach z pokoju Ancelli, zamykając za sobą drzwi.

Ancella poruszyła się, jakby chciała pójść za starą służącą i spróbować ją pocieszyć, wiedziała jednak, że nic nie może zrobić.

Maria spędziła u księżnej wiele lat. Były bardzo żyte — dwie stare kobiety lubiące się kłócić, dogadywać sobie, a jednocześnie, jak zauważyła Ancella, darzące się głębokim uczuciem.

Teraz życie Marii stało się puste, na starość zabrakło jej towarzyski. Pewnie trudniej będzie jej znieść samotność niż żałobę.

Ja... też... będę sama, pomyślała.

Ubrała się, a nie mając nic czarnego włożyła najprostsza ze swych białych muślinowych sukien.

Schodząc na dół uważała, że powinna mieć na sobie coś ciemniejszego.

Gdy dotarła do holu, przed dom zajechał powóz. Zobaczyła wysiadającego sir Feliksa i podbiegła do niego ochoczo.

— Och, sir Feliksie, tak się cieszę, że pan przyjechał!

— Przybyłem najszybciej, jak mogłem — odparł.

— Czy księżna żyje?

Ancella potrząsnęła przecząco głową.

— Zmarła kilka godzin temu.

— Zatem się spóźniłem — stwierdził po prostu.

Ancella zwróciła się do majordomusa:

— Proszę powiadomić doktora Grovesa, że przyjechał sir Feliks Johnson.

Zaprowadziła gościa do salonu.

— Doktor Groves wyjaśnił mi w liście, że zdarzył się tu tragiczny wypadek — rzekł. — Przykro mi, moja droga. Naprawdę nie chciałem wciągać cię w coś tak nieprzyjemnego.

— Nic nie można było zrobić — odparła.

Była zdecydowana nie mówić sir Feliksowi, co się naprawdę wydarzyło.

Teraz, kiedy księżna nie żyła, nie było sensu wyjawiać przykrych szczegółów.

Sir Feliks podszedł do otwartego okna i wyrzął na taras.

— Bardzo tu pięknie.

— Ślicznie — przyznała Ancella.

— Myślałem, że wypoczywasz na słońcu, i miałem nadzieję, że wyjdzie ci to na zdrowie — powiedział sir Feliks. — Może znajdę ci inną posadę. Jeśli nie, zabiorę cię ze sobą, kiedy będę wracał do Anglii.

— Bardzo bym chciała.

Zanim skończyła mówić, otworzyły się drzwi i do salonu wszedł książę.

Chociaż w nocy Ancella myślała, że nie będą już dla siebie nic znaczyli, nagle poczuła, że serce jej skacze, jakby fikało w piersiach koziołki.

Sprawił wrażenie nieco zmęczonego, ale poza tym wyglądał niezwykle pociągająco, aż trudno było uwierzyć, iż rozegrała się wokół niego — zamierzona lub nie — taka straszna tragedia.

— To bardzo uprzejmie z pana strony, że zechciał pan przyjechać, sir Feliksie — rzekł książę, wyciągając do niego rękę.

— Przykro mi, że przybyłem zbyt późno, bym się mógł na coś przydać, Wasza Wysokość — odparł sir Feliks.

— Matka umarła w spokoju, nie zdając sobie sprawy z tego, co się wydarzyło — odparł książę.

— Proszę przyjąć najgłębsze wyrazy współczucia — odpowiedział sir Feliks.

— Dziękuję.

Książę spojrział na Ancellę, która nie chciała podnieść na niego oczu.

— Mówiłem właśnie hrabiance Ancelli — odezwał się sir Feliks — że mogę zabrać ją ze sobą do Anglii, gdy tylko Jego Królewska Wysokość zwolni mnie z moich obowiązków. — Zobaczył zdziwienie malujące się na twarzy księcia i pospieszył z wyjaśnieniem: — Zapomniałem! Wysłałem tu hrabiankę Ancellę, bo potrzebny jej był wypoczynek oraz słońce, a doszliśmy do wniosku, że lepiej dla niej będzie, jeśli podejmie pracę pod zmienionym nazwiskiem. W rzeczywistości jest córką zmarłego hrabiego Medwinu.

— Chciałem zaproponować zupełnie coś innego — powiedział książę. — Właśnie skontaktowałem się z kuzynką mego ojca, która mieszka w Grasse. Poprosiłem ją, żeby tu przyjechała i została z panną Winton, czyli jak pan twierdzi, hrabianką Ancellą, wtedy gdy będę zajęty przewożeniem trumny z ciałem mojej matki do Rosji.

Ancella znieruchomiała. Nie mogła nawet spojrzeć na księcia, który mówił dalej:

— Natychmiast po moim powrocie weźmiemy cichy ślub. Wydaje mi się, że dodałoby to otuchy mojej przyszłej żonie, gdyby udało się panu, sir Feliksie, dotrzymać jej towarzystwa podczas mojej nieobecności, a później, jako staremu przyjacielowi, uczestniczyć w ceremonii ślubnej.

Gdy książę skończył mówić, Ancella jęknęła cicho, tłumiąc w sobie krzyk. Podeszła do okna i stanęła tyłem do pokoju.

Jakby wyczuwając napięcie, które nagle wystąpiło między nimi, sir Feliks taktownie powiedział:

— Dziękuję Waszej Wysokości za zaproszenie i sędzę, że jeśli opuszczę moich londyńskich pacjentów, zasłaniając się Jego Królewską Wysokością, może będę mógł je przyjąć. A teraz powinienem się zobaczyć z doktorem Grovesem, który jak rozumiem, jest na gorze.

— Czekaj na pana — odparł książę, otwierając sir Feliksowi drzwi do holu.

Zamknął je i wrócił do salonu. Stał na środku pokoju i powiedział cicho:

— Ancello, mój skarbie, chodź tutaj!

Nie poruszyła się i po chwili podszedł do niej bliżej.

— Chcę z tobą porozmawiać.

Ancella z trudem wydobyła z siebie głos.

— Dlaczego... powiedział pan sir Feliksowi, że mamy... się pobrać?

— Bo mamy — odpowiedział po prostu. Milczała, więc dodał: — Czy to możliwe, żebyś naprawdę przejęła się tym, co według ciebie oznaczał list, który przyczynił się do śmierci mojej matki? Z pewnością nie uwierzyłaś w to kłamstwo?

— A to... było... kłamstwo? — spytała Ancella, wstrzymując oddech.

— Sądziłem, że mi ufasz — rzekł książę.

— Bo... ufałam — odparła Ancella. — Ale...

Mówiąc to odwróciła się, a na widok wyrazu malującego się na twarzy księcia serce zaczęło jej walić jak młotem.

— Kochanie, już ci mówiłem — powiedział. — Między nami nie ma żadnego „ale”.

Zaległa cisza.

Ancella wiedziała, że książę czeka, aż ona się odezwie, ale nie mogła znaleźć słów, by wyrazić swoje cierpienie i zakłopotanie. Nagle same wyrwały się z jej ust.

— Ale... ona... przyszła do pańskiego... pokoju? Pan... dał jej ten... czek na dużą sumę?

Wstrzymała oddech. Czekwała na odpowiedź i wydawało się jej, że cały świat zastygł w bezruchu.

— Kiedy po raz pierwszy rozmawialiśmy, powiedział mi, że pomagając temu zrozpaczonemu mężczyźnie w kasynie przeczuwałaś, jaki numer wygra. Czy to prawda?

— T...tak — wymamrotała Ancella, ciekawa, dokąd ta rozmowa prowadzi.

— Pragnę, byś wykorzystała teraz swój szósty zmysł — rzekł książę — zdolność jasnowidzenia, by przecucie ci powiedziało, jaki jestem. — Przerwał, po czym powiedział: — Ancello, spójrz na mnie!

Wiedziała, że czeka nie spuszczać z niej wzroku, ale jakoś nie mogła spojrzeć mu w oczy.

— Popatrz na mnie! — powtórzył rozkazującym tonem.

Niemal niechętnie podniosła na niego swe wylęknięte szare oczy.

— Teraz odpowiedz mi zgodnie z prawdą i z własnym sercem — poprosił łagodnie. — Wierzysz mi?

Jego oczy przyciągały jej wzrok niczym magnes.

Znów spadł na nią ten dziwny czar, któremu uległa przy ich pierwszym spotkaniu, nie mogła się poruszyć, prawie nie mogła oddychać.

Wiedziała, że on czeka, i po chwili wyszeptwała:

— T...tak!

— I kochasz mnie?

— Tak!

— Jesteś pewna? Czy w głębi duszy i serca jesteś przekonana, że należysz do mnie, jak ja do ciebie?

Ancelli rozbłyły oczy.

Teraz rozumiała, o czym mówi.

Kochała go! Ufała mu i nie miała wątpliwości, że należą do siebie.

Przestała cierpieć, pozbyła się wszelkich dręczących ją nocą wątpliwości. I jak w ogrodzie obok kasyna przysunęła się do niego, szukając w jego ramionach pocieszenia, ochrony i poczucia bezpieczeństwa.

Trzymał ją bardzo blisko siebie, a kiedy z utęsknieniem czekała, aż ją pocałuje, powiedział:

— Czy jesteś zupełnie pewna, moja ślicznotko? Czy masz takie przeczucie?

— Jestem pewna... absolutnie... pewna — powiedziała Ancella. — Jak mogłam coś innego myśleć... i wciąż... się bałam, że... cię straciłam.

— Nigdy mnie nie stracisz — rzekł książę. — Powiedziałem ci na Ezie, że jesteśmy razem od początku świata i będziemy razem przez wieczność.

Zadrżała, słysząc jego zdecydowany, pełen szczerości głos.

— Pragnę — mówił dalej — żebyś zapomniała o wczorajszych wydarzeniach. Nigdy nie powinnaś była tego doświadczyć. Ogromnym zalem przejmuję mnie myśl, że zadano ci ból i cierpienie. Czy mi wybaczysz, jeśli miałem w tym jakiś udział?

— Nie ma... czego... wybacząć — wymamrotała Ancella, traktując to poważnie.

— Markiza miała długi — rzekł książę. — Przyszła do mojego pokoju z prośbą o pomoc, a ponieważ wydawała mi się pociągająca, dopóki nie zobaczyłem ciebie, dałem jej tysiąc funtów. — Zawahał się, zanim powiedział: — Widziałem ten jej idiotyczny list do firmy, mającej właśnie się z nią procesować, w którym pisze, że resztę pieniędzy zwróci, kiedy wyjdzie za mąż, co zamierza wkrótce uczynić. — W jego głosie pojawiła się nutka złości.

— Ponieważ załączyła podpisany przeze mnie czek, nie ulegało wątpliwości, iż po przeczytaniu listu dojdą do wniosku, że ja jestem tym mężczyzną, którego ma poślubić — tak jak zrozumiwała to moja matka.

Ancella oparła głowę na jego ramieniu.

— Jest mi... wstyd! Ale... nie... zrozumiłam.

— Czyż mogło być inaczej, moje ty niewiniątko?
— spytał. — Jesteś taka młoda, niewiele wiesz o towarzyskich intrygach, fortelach i kłamstwach. Dlatego chcę ci coś zaproponować.

Jakaś nowa nuta w jego głosie kazała Ancelli podnieść głowę i spojrzeć na niego szeroko otwartymi oczami.

— Co...? — spytała.

— Nic strasznego — powiedział uspokajająco.
— Po prostu mi się wydaje, że odpowiednim miejscem dla aniołów nie jest ani Monte Carlo, ani St. Petersburg, Paryż czy Londyn. Chcę, żebyśmy wyjechali.

Poczuł, że z podniecenia Ancella zaczęła szybko oddychać.

— Nie na krótko, mój skarbie — rzekł — ale na parę lat, może na całe życie. — Milczała, więc mówił dalej: — Tak się składa, że mam sporo ziemi w Ameryce, na Florydzie, a ponieważ w życiu pragnę zrobić coś pożytecznego, a nie tylko uganiać się za rozrywkami po Europie, chcę wykorzystać tę ziemię i wybudować tam dom dla siebie i mojej żony. — Przycisnęła ją mocniej do siebie. — Kiedy ujrzałem cię w tawernie z dzieckiem w ramionach, pomyślałem, że Floryda będzie wspaniałym miejscem do wychowywania naszych dzieci. Za Atlantykiem kwitną nowe idee, pomysły, nowy styl życia. Czy zostawimy za sobą stary świat, śliczna *doczka*, i razem poszukamy lepszego, szlachetniejszego życia?

Nigdy nie widział, by twarz Ancelli tak promieniała, dzięki czemu stawała się jeszcze piękniejsza.

— Wie pan, że czułabym się jak... w niebie... gdziekolwiek bym z panem była — powiedziała. — Tutaj...

się boję... gdyż jest pan ważną osobistością, a ja nie znam takiego życia, jakie pan prowadzi. Mógłby się pan na mnie zawieść.

— Nigdy mnie nie zawiedziesz — rzekł książę.

— Ale w Ameryce mogłabym razem z panem pracować... opiekować się panem... pomagać... i kochać — wyszeptała Ancella.

— Tego właśnie pragnę — zapewnił. — Do tego tęskniłem przez te wszystkie lata, kiedy próbowałem cię odnaleźć. — Popatrzył jej w oczy. — Przeczucie mi mówiło, że gdzieś na świecie jest kobieta będąca moją drugą połową. Skąd mogłem wiedzieć, jak mogłem odgadnąć, że jest aniołem?

Ancella zaśmiała się, a książę przycisnął wargi do jej ust i poczuła, jak poprzedniej nocy, że unosi ją do nieba.

I znów wszystko co piękne i cudowne — słońce, niebo, kwiaty, morze — należało do nich.

Ancella czuła, jak pocałunki księcia stają się coraz gwałtowniejsze, bardziej gorące, i miała wrażenie, że rozdmuchał żar namiętności, którym ledwo zaczynała płonąć, pozyskując nie tylko jej miłość, lecz także ciało, serce i duszę.

Gdy przycisnął ją mocniej, zrozumiała, że miłość jest nie tylko delikatna i piękna, ale również burzliwa, płomienna, gwałtowna, tak majestatyczna i przytłaczająca, iż nie ma w niej już miejsca na sprawy drobne czy mało ważne.

Jak bogowie, a nie jak mężczyzna z kobietą, byli błogosławieni i otoczeni wszystkim co boskie.

— Kocham cię! Uwielbiam i szanuję! — usłyszała głos księcia. — Jesteś moja, Ancello, zawsze byłaś! Te-

raz, ukochana, zacniemy żyć pełnią życia, gdyż nareszcie się uzupełniliśmy.

W jego głosie rozległa się nuta triumfu, jakiś zachwyty; zabrzmiało to dla niej jak dźwięk trąbki, któremu nie można się oprzeć.

Spojrząwszy na niego pomyślała, że przypomina krzyżowca wyruszającego do walki o wszystko, co wspaniałe i wzniosłe, a jednocześnie jego potrzeba bycia z nią wydawała się bardzo ludzka.

— Kocham... cię — wyszeptała. — I... ufam ci.

— Właśnie pragnąłem to usłyszeć, maleńka — rzekł. — Musimy zawsze wierzyć sobie i wierzyć w przeznaczenie.

Ancella straszliwie się zawstydziła, że zważyła w niego.

— Przebacz mi — wyszeptała wiedząc, że zrozumie.

— Nie mam ci czego wybacząć — odparł. — Kochanie, przecież to ty mnie zainspirowałaś. Ty obudziłaś we mnie pragnienie osiągnięcia w życiu celu, który stał się jasny dopiero wtedy, gdy ciebie poznałem. Teraz wszystko się zmieniło. Teraz, najdroższa, jesteśmy razem i możemy wznieść się na szczyt świata i szturmować niebo, jeśli tak będzie trzeba!

Słuchając go Ancella miała wrażenie, że znów unosi ją do nieba. Wtedy przycisnął szalone, łakome pocałunków gorące usta do jej ust.

Bez reszty była jego i niezawodnym szóstym zmysłem czuła, że bez względu na trudności, jakie przed nimi wyrosną, ich miłość będzie trwała wiecznie.